

RYCERZ BEZKONNY



RW2010

Romuald Pawlak

Spis treści

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy.](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty.](#)

[Rozdział piąty.](#)

[Rozdział szósty.](#)

[Rozdział siódmy.](#)

[Rozdział ósmy.](#)

[Rozdział dziewiąty.](#)

[Epilog](#)

ROMUALD PAWLAK
RYCERZ BEZKONNY

Wydawnictwo RW2010 Poznań 2012

Korekta zespół RW2010

Redakcja techniczna zespół RW2010

Copyright © Romuald Pawlak 2012

Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2012

Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2012

e-Wydanie I

ISBN 978-83-63111-82-3

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań

Dział handlowy: marketing@rw2010.pl

Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

ROMUALD PAWLAK

Rycerz bezkonny

Kroniki Fillegana

**w postaci eposu drogi albo poematu
dygresyjno-aluzyjnego**

Wszystkie prawdziwe poezje prowansalskie z „Życie codzienne w czasach trubadurów” Claudie Duhamel-Amado w tłumaczeniu Jacka Kowalskiego. Nieudolne prze- i podróbki autorstwa mojego.

Prolog

Zapewne nikt nie spodziewał się, jak brzemienny w skutki okaże się edykt rajców miasta Florencja wydany w roku pańskim 1322, a zakazujący pasowania zwłok. Kim byłby Fillegan z Wake, gdzie by zawędrował, gdyby nie uchwała florenckich rajców? Może szczelby w jakimś wykrocie? Pewne wydaje się, że to w murach Miasta Róż odwrócił się jego zły los...

Hodia von Tutenberg, ***Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata***

Śnił się Filleganowi prawdziwy koszmar. Niby nie należało podejrzewać w tym niczego dziwnego – na jawie zdarzają się bardziej paskudne historie. A jednak rycerz był przekonany, że to nie sen, lecz wizja. I to z gatunku zwiastujących przyszłość mroczną i odległą. Takie dopadały go nie częściej niż raz na parę miesięcy – zwykle po wielkim pijaństwie, którego nie zaznał od ponad tygodnia, bo nie miał za co!

Cleuqi. Nazwa ta wypłynęła z pamięci, budząc dreszcz strachu i obrzydzenia. To tam pewien człowiek niegodnego imienia otworzy wrota Złu. Rozpęta się prawdziwe piekło, w którym rozum ustąpi przed szaleństwem, krowy przestaną dawać mleko, a Księżę Ciemności powoła swą armię, ludzi zamieniając w wilkołaki, harpije i talibany.

Albo i nie. Fillegan nie zamierzał sprawdzać, czy tak się stanie. Prorocze wizje mogły być jedynie wynikiem potężnego kaca. Na wszelki wypadek należało się od tego miejsca trzymać z daleka.

Wiercąc się na sianie i przeciągając dla rozgrzania mięśni, rycerz zastanawiał się melancholijnie, czy Cleuqi to – przypadkiem – nie owa cudowna akwitańska wieś, gdzie ubiegłego roku tak słodko barłoczył sobie z małodzieńką Lucyndą. Niby nazwa inna, ale nową można wymyślić z dnia na dzień.

Westchnął ciężko: przyjdzie omijać Lucyndę, ten wciąż piękniejący klejnot. A szkoda, bo cóż niewinne dziewczę mogło mieć wspólnego z takim idiotą? Fillegan z niesmakiem skrzywił usta: cham na zawsze pozostanie chamem, choćby go w obecności samego króla pasować na rycerza. Boże, co też za koszmar go dopadł w snach!

Wspomnienie Lucyndy na słodką chwilę rozjaśniło mrok spowijający duszę mężczyzny. Zaraz jednak znów ogarnęły go ciemne barwy rzeczywistości. Nawet gdyby wyobraził sobie ciężki trzos złota we własnej dłoni, w niczym nie zmieniałoby to faktu, że w gospodzie nim nie zapłaci.

Nasz bohater był splukany. Pozostawał chwilowo rycerzem zarówno bezkonnym (Bucefał, jego wierny karus, zdechł właśnie, nie wytrzymał trudów rycerskiego żywota i kłód rzucanych pod kopyta), jak i bezdomnym. Zamczysko w Wake razem z okolicznymi włościami dostało się w łapska kupca Ayermine'a, który przejął majątek rodzinny za długi. Poczynione zresztą nie przez Fillegana, lecz jego ojca. Ten ubzdurał sobie zyski z hodowli wielbłądów i wziął na to od kupca kredyt. Lecz, jak powszechnie wiadomo, wielbłąd to bydlę uparte, złośliwe i do ujeżdżania słabo się nadaje, do walki zaś – o czym marzył rodzic naszego rycerza – przyuczyć się go nikomu nie udało. Zyski nigdy się nie pojawiły, a na łożu śmierci ojciec przekazał w spadku Filleganowi jedynie bezkresne niebo nad głową oraz ostatnią mądrość życiową, ledwie pół słowa wypowiedzianego w chwili śmierci.

„Kur...”, tak się zaczynała owa esencja życiowego doświadczenia. Do tej pory nie udało się Filleganowi rozszyfrować jej ostatecznego sensu. „Kursy walut znaj”? „Kurdupel z ciebie”? „Kurdiuki hoduj”? Pozostawało to równie wielką tajemnicą, jak cel, w którym Opatrzność rzucała go tu i tam, pozornie zupełnie bez celu, zawsze jednak w porę, w najgorszej godzinie, dając jakiś ochłap do jedzenia i kąt do spania. Miał więc przecucie, że życie jego ma sens, choć dotąd nieodgadniony.

Z trudem wrócił do rzeczywistości. Stodoła z sianem okazała się miejscem mało gościnnym. Dach przeciekał, w nocnej porze coraz to rzeźwiły Fillegana z głębokiego snu lodowate fontanny. Przez szpary w ścianach zięb swobodnie docierał do wnętrza stodoły, kłując mdłe ciało rycerza. Szczurów i myszy, ubitych przed snem, uzbierało się na pryzmę wysoką do pół uda. A w dodatku dostęp do niej wczorajszego wieczoru musiał sobie wyrąbywać mieczem pośród natrętnego chłopstwa.

Stękał więc teraz, pokonując kurcze i zbierając porzucony dobytek oraz odzienie. Wreszcie narzucił na grzbiet lichą, rzadko plecioną kolczą tunikę, na to oponczę, i tak okryty wyszedł na dwór, powitać nowy dzień.

Gospodarz, rosłe chłopisko okutane w szmaty koloru rozkładającej się myszy, wciąż mókł na zewnątrz z widłami w ręku. Niemal dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej wczoraj pozostawił go Fillegan. Na widok wychodzącego ocknął się z niespokojnego snu, widły zakreśliły niewielki łuk w powietrzu.

– Nie, dobry gospodarzu – rycerz niedbale zsalutował mu mieczem – nie mam ochoty na poranne ćwiczenia.

I pozostawiając skonsternowanego chłopca własnemu losowi, podążył w stronę traktu wiodącego ku Florencji. Opuścił go wczorajszego wieczoru w poszukiwaniu darmowego noclegu, pora była jednak powrócić na właściwą drogę. Albowiem to właśnie tam, w Mieście Róż majaczącym na

horyzoncie, pewien kupiec, Carcassian, postanowił wzorem świętego Franciszka z Asyżu rozdać część swego majątku biednym. W szczególności zaś – Filleganowi. Należało się z owym zacnym człowiekiem spotkać, nim się rozmyśli albo popełni jakiś inny, niewybaczalny błąd, choćby zbędną mu sakiewkę florenów przeznaczając na walkę z niewiernymi.

Jakby na potwierdzenie prawa Fillegana do odrobiny szczęścia przestało padać i zza chmur wyjrzało słońce.

* * *

Trakt, którym podążał, wiódł do dzielnicy raczej biednej, gdzie dominowali marni tkacze i farbiarze, wszystko najniższego sortu. A jeszcze wymieszane to było z piekarstwem najgorszego autoramentu, z gatunku takich, co to do mąki dokładają mielonej słomy, trocin i suszonego tataraku. San Spirito zamieszkiwali głównie robotnicy zatrudnieni w tych podłych manufakturach i próżno by tu szukać jakiejś elegancji czy świetności.

Serce Florencji, miasta artystów, kupców handlujących z całym światem i książąt Kościoła, biło po drugiej stronie rzeki. By się do niej dostać, trzeba by jednym z trzech majestatycznych mostów przekroczyć Arno.

Tam jednak zmierzaj, kędy sakiewka twoja w nabitą kabzę się przemieni, powiada stare rycerskie zawołanie. Rycerz pokornie maszerował niemal pustym traktem w stronę tej marności nad marnościami. Raz czy dwa wyprzedziły go wozy, na które nie udało mu się zabrać, on z kolei prześcignął pielgrzymów poruszających się niczym energiczny ślimak. Ich kostury mlaskały w koleinach rozmokłego traktu niby mieszadła w dzieżach z ciastem na chleb.

Starając się wędrować nieco suchszym i bezpieczniejszym skrajem drogi, Fillegan zastanawiał się, kogo, za ile (bowiem kwota obiecywana nie zawsze pokrywała się z wypłaconą, jak nauczyło go życie) oraz – pardon – w jakiej konsystencji przyjdzie mu pasować delikwenta tym razem. To

bowiem różnie bywało. Czasem świeżo pasowany rycerz dosłownie wprost rozpływał się ze szczęścia.

Ostatnimi czasy interesy szły raczej kiepsko. Zdarzały się, owszem, chwile tłuste, ale najczęściej rycerz głodował i sypiał pod drzewem albo w jakimś zakamarku pośród skrzyń z towarem. Florencja, ku której zmierzał wytrwale, choć nie bez przeszkód, miała być wybawieniem po chudych tygodniach spędzonych w Pistoii.

Ach, Bucefale, karusie ty mój – rozmyślał Fillegan, miarowo stawiając kroki – gdybyś doczekał tej chwili...

Niestety, to właśnie w drodze do Florencji wierzchowiec ostatecznie odmówił dalszej egzystencji na tym łez padole. Kto wie, może było to z jego strony ostateczne poświęcenie wobec swego pana? Ten jednak nie zdołał go docenić. Mówiąc wprost, konina wydawała mu się zbyt słodka. Wziął więc tylko podkowę na szczęście i pomaszerował dalej, w nieznany, okrutny świat.

Toskania słynie z łagodnych, lesistych pagórków, pośród których wiją się drogi tej krainy mlekiem i miodem płynącej. Trakt wiodący do Florencji zakręcił wokół jednego z takich wzniesień, może nieco bardziej imponującego od pozostałych, zwieńczonego odsłoniętą, białą lśniącą w słońcu skałą porozszczepianą niby korona. Fillegan poczuł nieprzepartą ochotę ułożenia kilku strof wiersza na cześć złotych florenów czekających na końcu tej drogi.

Zebrał już nawet pierwsze słowa w myśli, że dwa razy w czasie tej poetyckiej ekstazy potykając się o wystające kamienie, kiedy znienacka, na dziesięć kroków przed nim, wyskoczyło z leśnej gęstwiny czterech zbójców z kijami i sztyletami w ręku. Rycerz zaklął szpetnie i odwrócił się w pośpiechu... Niestety, drogę ewentualnej ucieczki odcinało mu dwóch innych rabusiów. A pielgrzymi dotrą tu pewnie o zmierzchu. W samą porę,

żeby zmówić modlitwę za jego udręczoną duszę, choć bardziej by się Filleganowi przydały ich solidne kostury.

– Dawaj sakiewkę – zażądał herszt bandy, występując o krok przed swoich ludzi i wyciągając rękę w stronę potencjalnej ofiary. Jego twarz, przecięta szkaradną blizną zbiegającą od prawego ucha (którego nie posiadał), przez policzek, ku kącikowi ust, kazała odrzucić nadzieję na łagodną naturę i usposobienie skłonne do negocjacji. – Oddasz grzecznie, ujdiesz z życiem. Nie pójdzie po dobrej woli, obedrzemy trupa. No to jak będzie?

Być może, gdyby Fillegan miał przy sobie jakąś marną sakiewczyne, to by ją oddał w imię świętego spokoju i dla wspomżenia ubogich. A tak, cóż... Jakoś nie ufał swemu darowi przekonywania. Bo i któż rozumny by uwierzył, że rycerz poza mieczem ma tylko to, co nosi na grzbiecie? Zresztą miecz, jego narzędzie pracy, też mogli mu odebrać... i czym by wtedy pasował? Brzezinową różdżką?

Na szczęście, poza odebraniem mu lub nieodebraniem nieistniejącej sakiewki – co rodziło zresztą fascynujące sprzeczności logicznej natury – istniała trzecia możliwość. Swego czasu jedna z tych wizji, napadających Fillegana niby febra w wilgotną pogodę, zaprowadziła go na jakieś całkiem heretyckie ziemie, gdzie mnisi, zamiast w zgodzie z prawem bożym modlić się, wyrabiać ser, uprawiać winnice albo chociaż pocziwe żyto, robili...

– Uii aaa uh! – energicznym ruchem wbił miecz w ziemię przed sobą i uwolnione dłonie złożył gestem zapamiętanym u jednego z tych bezbożnych mnichów. Następnie rozsunął je powoli, kończąc wszystko jeszcze jednym głośnym okrzykiem.

Zbóje popatrzyli na siebie niepewnie. Gdzieś ponad głowami ludzi zaświergolił ptak, głośnym cuk, cuk obwieszczając urbi et orbi, że on też ma tu coś do powiedzenia.

– E, no co ty? – z wahaniem odezwał się herszt bandy. Rozejrzał się, czy krzaki nie ściągnęły jakichś ciekawskich, ale ku utrapieniu Fillegana trakt wciąż pozostawał pusty. – Walcz jak człowiek, dobra?

W odpowiedzi rycerz spojrział na niego z niesmakiem, wsparł dłonie na rękojeści miecza i... wyskoczył w powietrze! Niezbyt wysoko, bo jego wrodzona ciężkość zaraz ściągnęła go z powrotem na ziemię, ale sztuczka, kolejna z podpatrzonych u mnichów-heretyków, wywarła na zbójach stosowne wrażenie. Widać nie zetknęli się dotąd z takim stylem walki.

– Jam jest Fillegan z Wake, mag ponadczasowy, artysta-wizjoner i kat na heretyków, choć tonsury nie noszę – obwieścił możliwie najbardziej pewnym siebie głosem, starając się przy okazji nadać mu lekko grobowy ton. – Jakoż sybaryta i poliglota, ale tego pewnie nie zrozumiecie.

Jakoż i faktycznie nie zrozumieli. Z ich min można było wyczytać, że z całej tej płomienistej tyrady wyłowili jedynie słowo „mag”.

– Za to, przyjaciele, wszyscy w lot pojmiecie – ciągnął Fillegan, podnosząc głos, żeby mogli go dobrze usłyszeć – że zamienię was w zwierzęta, jeśli stąd zaraz się nie wyniesiecie. Konkretnie – w wielbłądy. Macie pojęcie, jaka to straszna bestia, taki wielbłąd?

Zbóje ze strachem patrzyli na swego herszta. Być może nie bardzo wiedzieli, co to jest wielbłąd, ale z pewnością dużo słyszeli na temat czarów zamieniających w słup soli, oślizgłą ropuchę, kulawego psa albo miejskiego głupka gadającego od rzeczy, którego każdy może kopnąć w tyłek.

Herszt długą chwilę przyglądał się wspartemu o miecz mężczyźnie. Wreszcie splunął na ziemię.

– My, prości zbóje, z czarownikami nie zadzieramy – rzekł ze złością podszytą lękiem. – Idź swoją drogą, nam też pozwól odejść i rabować zwykłych ludzi.

Rycerz postukał mieczem o cholewę buta, popatrzył na rzezimieszków, jakby chciał zapamiętać ich twarze. Odwracali głowy, ukradkiem czyniąc znak krzyża albo inne gesty mające odpędzić urok.

– To idę – odparł wreszcie. – Ale dobrze radzę, niech na tej drodze wasza noga więcej nie postanie.

Jakoś musiał przecież wrócić do Pistoii, prawda?

Zbóje skupili się w jednym miejscu, a kiedy Fillegan zrobił kilka kroków, już za jego plecami zaszeleściły krzaki – rozpląnęły się w lesie. Tylko energiczne „cuk, cuk” mieszające się z przekleństwami dowodziły, że Toskania to piękne miejsce do życia i układania namiętnych poezji.

– Ufff! – Fillegan wytchnął powietrze z płuc. – Kiedyś ubiją, jak amen w pacierzu...

Następnych kilkadziesiąt kroków w stronę sakiewki pełnej florenów poświęcił na przypomnienie sobie początku tego poematu w stu pieśniach i finalnym piętnastowersowym sonecie na dokładkę, który układał, zanim napadli go zbóje.

Lecz szczęście do przygód nie opuszczało go tego rzeńskiego poranka. W krzakach na skraju drogi ponownie zaszeleściło, budząc w duszy poetycko rozmarzonego Fillegana czterech jeźdźców Strachu. Uniósł miecz... i opuścił go zaraz, bowiem z gąszczu wyrzwał młody chłopak. Nie wyglądał na zbója, raczej na niemotę kryjącą się w chaszczach przed rzezimieszkami. Nie miał chyba więcej niż szesnaście lat, w jego ruchach wciąż widać było pewną niezgrabność.

– Wyście są naprawdę Fillegan z Wake, panie? – spytało chłopię. Widząc potakujące skiniecie głową, młodziak wylazł na trakt, po drodze otrzepując się z liści.

– Czekałem na was, panie, ale ci zbóje, niech ich zaraza... Naprawdę jesteście magiem? – gadał z przejęciem, wytrząsając z czarnej czupryny

liście i gałązki. – Bo kupiec Carcassian kazał wypatrywać rycerza, a wy, panie, wybaczcie śmiałość, na rycerza nie zanadto... Na maga także nie wyglądacie... i gdyby nie tak niezwykle odparcie napaści, pewnie bym i przegapił...

Fillegan opanował cisnący mu się na usta szereg przekleństw w różnych językach.

– Rycerzem, magiem, artystą, inkwizytorem jestem – rzekł gniewnie – a za chwilę wymierzę ci kopniaka, dumniu, więc pewnie jeszcze i nieposkromionym gwałtownikiem. Czy kupiec Carcassian kazał ci straszyć i obrażać wszystkich podróżników zmierzających do tego wspaniałego miasta, czy tylko szlachetnych rycerzy chcących ulżyć cierpieniu niespokojnych dusz?

W odpowiedzi młodzik zrobił dwa kroki w tył, na skraj traktu, prawie w to samo miejsce, z którego wyłonił się chwilę wcześniej. Fillegan westchnął z rezygnacją.

– Jak cię wołają?

– Duendain, panie. – Chłopak skłonił się dwornie, z ulgą pojmując, że nieznajomy nie zamierza ćwiczyć na nim czarnoksięskich praktyk. – Ale już niedługo. Mam zamiar jeszcze przed trzydziestką zostać mości Duendainem Capodimonte, szanowanym obywatelem Republiki Florenckiej, otoczonym żonką, wiankiem dzieci i cudem odnalezionych przyjaciół. Dopraszających się wsparcia lub pożyczki. – Duendain uśmiechnął się krzywo. – Bo to wiecie, panie rycerzu, nic tak nie odświeża pamięci przyjaciół, jak widok pękatej sakiewki.

Fillegan uśmiechnął się z lekką aprobatą i ruszył w stronę miasta. Chłopak podążył za nim, trzymając się przezornie dwa kroki z tyłu.

Naraz Fillegan zatrzymał się gwałtownie i odwrócił, niemal wpadając na Duendaina.

– A czy ten Carcassian, którego mam pasować, to nie Żyd aby? Bo ja Żyda na rycerza pasować nie będę!

Młodzieniec cofał się przed nim, nie zważając, że wchodzi w cuchnącą kałużę. W jego oczach pojawił się strach, jakby zobaczył przed sobą Dominika Guzmana we własnej osobie.

– Florentczyk z dziada pradziada, pobożny, że drugiego takiego ze świecą próżno by szukać. Tyle że lichwiarz – mówił szybko, połykając końcówki słów. – A wiadomo: Żydom lichwa dozwolona, nasi zaś w ukryciu muszą, bo to niechrześcijańskie i Kościół przecie zakazuje... Niepotrzebnie się, panie, żołądkujecie.

Fillegan odetchnął z ulgą.

– Tak samo mówił ten Montepaschi, ale mnie już nieraz próbowano oszukać. Ja tam do żydowskiej nacji nic nie mam, ale... wyobrażasz sobie rycerza w jarmułce?

Chłopak parsknął śmiechem. Zaraz jednak spoważniał.

– Wy, panie, zadaliście już swoje pytanie... – zaczął. – Teraz ja chciałbym zapytać, czy...

Rycerz wznosił oczy do nieba. Jakby w odpowiedzi, jakaś chmura przesłoniła słońce. Stanowczo niebiosy zbyt często dawały mu znaki.

– Pytaj, tylko krótko, bo cię mieczem pomacam! Za gadanie mi nie płacicie.

– Zbójcom mówiliście, żeście mag-wizjoner – zaczął Duendain. – To czemu, panie, nie przewidzieliście, że oni będą tam stali i nie ominęliście ich?

Fillegan oparł miecz na ramieniu i szybciej ruszył traktem w stronę miasta, zmuszając swego młodego towarzysza do energiczniejszego stawiania kroków. Lecz jego nadzieje, że Duendain skupi się na marszu, okazały się płonne. Chłopak całym swoim zachowaniem okazywał, że

milczenie rycerza uważa za niesprawiedliwe. Wzdychał przy tym, jakby od rozstrzygnięcia tej kwestii zależało czyjeś życie.

Wreszcie Fillegan miał dość.

– Po pierwsze, powiedziałem: mag ponadczasowy i artysta-wizjoner – uściślił, przystając, aby zrównać krok z Duendainem. – A po drugie, gdyby wszystko chcieć przewidzieć, świat byłby nudny. Moje wizje zwykle sięgają daleko w przyszłość, nie na dwa pacierze do przodu. Im dalej, tym wyraźniej. Jeszcze nie sprawdzałem, czy mi sumiennie zapłacicie, ale mam nadzieję...

Duendain spieszył się nieco. Zapewne nie takiego biegu rozmowy oczekiwał. Miał przed sobą człowieka, jak mniemał, bywałego w świecie – i o ten świat zamierzał pytać, tymczasem w gruncie rzeczy to ów obcy przepytывał go bezlitośnie.

– Panie – zauważył wreszcie – to nie ja będę ci płacić, tylko kupiec Carcassian.

Fillegan przewrócił oczyma.

– Chryste, ja tu mówię, że sakiewka lub dwie trafią do mojej kieszeni, a ty, chłopcze, domagasz się prawniczej precyzji.

– Bo ja, panie, jestem tylko przewodnikiem. – Duendain spojrzał w stronę coraz bliższych murów miejskich i wystających ponad nie kościelnych wież. – Płacić, wyjaśniać i podejmować was honorami to będzie Carcassian.

– Dobra, przyjmuję. – Rycerz skinął głową. – Ale jak coś nie wypali i tak zjem cię żywcem. – Spojrzał groźnie na chłopaka.

Ten tylko wzruszył ramionami.

– O wa – mruknął – jak coś nie wypali, to ja sam zjem się żywcem, bo mnie Carcassian na zbity pysk wywali, kopniakiem w rzyć na do widzenia częstując. Wy, panie rycerzu, zrobicie swoje i pójdziecie w świat, a ja

muszę z nim mieszkać i pracować dla niego, bo mnie rodzice samego ostawili na tym świecie. Już bym wolał czasem umartwiać się w augustiańskim klasztorze nad przepiórką w sosie truflowym, niż obcować z tym... tym... kupcem! – Duendain w ostatniej chwili ugryzł się w język, tnąc ostre słowo na końcu języka.

Rycerz spojrział na niego z nieco większą sympatią. Odkąd Ayermine przejął Wake za długi, Fillegan nabrał utajonej niechęci do kupieckiego plemienia, chociaż zarabiał na jego pysze i próżności. Zaprzysiął sobie, że kiedyś Ayermine'owi odpłaci, choć nieubłagane fakty były takie, że na razie przekroczył Kanał, aby tu, na kontynentalnej ziemi, z dala od sromoty, szukać chleba. I zarabiał od paru lat, chwytając się wszelkich możliwych sposobów. Nadawanie szlachectwa umarłym wcale nie było najbardziej obrzydliwym spośród nich. A niechęć do kupców rosła.

Tymczasem wstęga traktu doprowadziła ich wreszcie do zajazdu, szerokiej, przysadzistej chałupy, przed którą tłoczyły się wozy i ludzie.

– Dalej to już wszystko w rękach kupca Carcassiana. – Duendain odetchnął z ulgą.

Fillegan miał przecucie, że chłopak się myli. Jednak nie podzielił się tą myślą, bo nie chciał zostać obdarzony jeszcze jednym przydomkiem: „ponury”.

* * *

Carcassian czekał na nich w głównej sali, popijając rozwodnione wino i skubiąc plaster sera. Siedział samotnie przy jednym ze stołów, leniwym spojrzeniem wodząc po klienteli tej nieco szemranej przydrożnej gospody.

Już na pierwszy rzut oka ten wspólnik w ryzykownym interesie okazał się kupcem z krwi i kości. A nawet bardziej chyba z tego drugiego, bo wbrew obiegowemu wizerunkowi spasionego kupca, Carcassian był

wysoki, żylasty i kościsty. Pociągłą twarz miał gładko wygoloną, wzrok bystry, a gesty zdecydowane, gdy wstawał, aby powitać rycerza.

– Nie tak mi was opisywał signiore Montepaschi – rzekł cierpko, gdy Fillegan zbliżył się na wyciągnięcie ręki. – Postura i rysopis niby te same, ale gdzie ten blask świetlisty otaczający niby aureola? Gdzie strój pyszny, zbroja wyszmelcowana, wierzchowiec niby tur krzepki? Coś za dużo na was przydrożnego kurzu, panie, jak na znamienitego rycerza. Orszaku też jakoś nie dostrzegam – zakończył kwaśno, dowodząc, że wino zagryzane kęskami mozzarelli miał łagodzić, tylko wzmacnia surowość obyczaju.

Fillegan z irytacją przygryzł wargę. *Zaraz tu dojdzie do dantejskich scen* – pomyślał.

– Mam nadzieję, że przynajmniej podczas rozmowy o pieniądzech szacowny kupiec Montepaschi nie popadał w poetyckie uniesienia – odparł uszczypliwie, siadając naprzeciw Carcassiana. – Spróbowałyby tak jeden z drugim pojeździć w pełnej zbroi, to by nie gadał o stroju pysznym, tylko skupił myśli, jak tu bezpiecznie z wierzchowca zejść i rozdziać się z żelaznego kaftana. Nie moja wina, że waszego znajomego imaginacja poniosła. Ja tu nie do bitwy, tylko do interesu mam podobno przystąpić.

Kupiec gestem odesłał w diabły Duendaina, rozejrzał się po sali, czy ktoś nie podsłuchuje. Nie było jednak komu nadstawiać ucha. Kilku podróżnych, którzy zajmowali przeciwległy kąt sali, licytowało między sobą, kto pierwszy pójdzie z młodą szynkareczką na górę. Ta czekała cierpliwie, kusząc stopniowo odsłanianymi wdziękami, a szynkarz, niespecjalnie widać zainteresowany rozmową sukiennika z mocno zakurczonym podróżnym, czuwał nad powodzeniem bardziej intratnego interesu.

– Zatem, w zaufaniu poznawszy sprawę od Montepaschiego, przystajecie, panie, na udział w tym przedsięwzięciu? – spytał półgłosem

Carcassian.

Rycerz nachylił się ku kupcowi, sięgając jednocześnie po kawałek sera.

– Postanowiłem was wydać za podwójną stawkę – szepnął. I włożył ser do ust.

Carcassian stęzał nagle niby karp w galarecie. Gdzieś zniknęła jego pewność siebie i lekceważenie wszystkich spoza cechu, magistratu i biskupiego pałacu.

– Żartowałem przecież. – Fillegan przełknął ser i uśmiechnął się szeroko. – Obaj byśmy na tym stracili, panie kupiec. Ja też dalej chciałbym głowę nosić na karku, a nie pod pachą. Tylko więcej szacunku by się przydało.

Planował uwinąć się w try miga, floreny wziąć i czym prędzej opuścić miasto. Pistoia może nie tak wielka, nie tak świetna, ale tam zajęcie, którym się trudnił, przynajmniej legalne, do lochu nie wsadzą. Gdyby nie wysokość zapłaty, nigdy by tu nie trafił. A że ogólnie ostatnimi czasy włoskie klimaty zrobiły się niezdrowe, Fillegan zamierzał osierocić te ziemie, powędrować do Lyonu, Paryża czy nawiedzić alemańskie ziemie.

Carcassian położył dłoń na szorstkim blacie stołu. Drżała.

– No, to sobie pożartowaliśmy, signiore Fillegan, a teraz chciałbym obejrzeć wasze papiery – rzekł szorstko, z urazą w głosie. – Wierzę, rzecz jasna, że Montepaschi dobrego człowieka wybrał, jednak przekonać się wolę samemu.

Rycerz uśmiechnął się krzywo i sięgnął do podróżnej sakwy.

– A proszę. – Wyłożył dokumenty na stół. Z ironicznym uśmieszkiem przyglądał się skupieniu, z jakim Carcassian zaczął studiować dokumenty.

Oczywiście nie były to autentyki. Tamte spoczywały na dnie Kanalu, niedaleko normandzkich plaż, razem ze statkiem, którym przeprowadzał się na kontynent. Jednak te przedstawione kupcowi podrobione zostały nienagannie. Mnich-falszerek użył nawet robaków i odstanej kociej uryny,

aby nadać im pozór starości. Wrażenie było piorunujące – i Fillegan zachował brata Acsona z Melku w życzliwej pamięci.

W dłoni kupca pojawił się zaokrąglony kawałek szkła. Szkiełko i oko skupiły się na dolnej, najbardziej zniszczonej części większego z pergaminów. Fillegan skorzystał tymczasem ze sposobności, że handel żywym towarem w drugim końcu sali dobiegł końca i na koszt kupca, który tylko machinalnym skinieniem głowy potwierdził transakcję, zamówił u szynkarza, który z konieczności sam wziął się do usługiwania gościom, miskę mięsiwa w rosole. Ledwie jedzenie pojawiło się na stole, rycerz przystąpił do niszczącego dzieła, z rozkoszą oblizując palce z tłuszczyny.

Wreszcie skończyło się i jadło, i studia Carcassiana.

– Mam wątpliwości. – Kupiec podniósł zmęczony wzrok.

Zabiję knociarza – jęknął w duchu Fillegan, odsuwając pustą miskę na skraj stołu. – *Własne księgi każę pisać, zamiast fałszować cudze pergamina!*

– Mam wątpliwości – ciągnął dalej sukiennik – czy zaiste reprezentujecie, panie, tak świetny ród, jak by sobie tego życzył mój ojciec. Nie tylko nie dostrzegam tu karolińskich korzeni, ale nawet z angielskimi królami jesteście, panie, skojarzeni w stopniu bardzo odległym... by nie rzec, żadnym.

Fillegan westchnął przeciągle. To samo powiedział mu Acson, kiedy proponował rycerzowi wzmocnienie fundamentów rodu. Wstał i sięgnął po dokumenty.

– Do widzenia, mości kupcze – rzekł, zwijając pergaminy w ciasny rulon.

– Zaraz, no zaraz, na kulawego Merkuriusza – ten powstrzymał go szybko. – Na targu się, panie, nie znacie?

Rycerz włożył dokumenty do sakwy.

– Umówieni byliśmy na dwadzieścia pięć florenów.

Carcassian tylko westchnął na tak jawne lekceważenie reguł wolnego rynku. Wreszcie zrezygnowany skinął głową.

– Widzę, że jesteście gotowi, panie, no to chodźmy. Miejmy to już za sobą.

Rycerz po wyżerce czuł się błogo rozleniwiony, nie chciało mu się już nigdzie chodzić. Raczej wzorem rzymskich patrycjuszy ległby teraz na jakimś łożu i trawie, dumając nad obrotami sfer niebieskich. Niestety, kupiec nerwowo przestępował z nogi na nogę. *No i nabawię się niestrawności* – pomyślał Fillegan, podążając za nim w stronę wyjścia.

Tymczasem cudownym zrządzeniem opatrności odnalazł się Duendain. Z mocno zafrasowaną miną wyminął swego pryncypała i zmierzał w stronę rycerza, otwierając usta jak ryba. Już miał coś rzec, nachylając się ku niemu, gdy do porządku przywołał go kułak Carcassiana. Kupiec złapał chłopca za ubranie i wypchnął przed siebie, sycząc obelgi pod nosem.

Wreszcie wszyscy znaleźli się przed gospodą.

Powodem, dla którego Duendain niby szczur próbował uciec w jakąś ciemną norę, było pięciu mężczyzn – w dość gwałtownym tonie sprzeczkających się z woźnicą, siedzącym na koźle wielkiego wehikułu pełnego beczek z winem. Jeden z nich, przewodzący w sporze, miał na twarzy szkaradną bliznę ciągnącą się przez cały policzek. Co chwila uderzał dłonią w bok wozu, podkreślając w ten sposób wagę używanych argumentów.

Fillegan rozpoznał przywódcę tej grupki. Uśmiechnął się okrutnie, w jego oczach zalśniła mściwa satysfakcja. Wciąż pozostawał niezauważony przez rozgorączkowanych zbójów – i postanowił to zmienić. Wyjął miecz i podszedł na trzy kroki do wozu.

– A witam, witam – zaczął ciepło. – Humory dopisują? Dyskusja bardzo żywa, jak widzę, może się włączyć na chwilę? Fillegan z Wake, do usług.

Woźnica spojrział na niego i otworzył usta niby jakiś wiejski głupek, do cna otumaniony. Rycerz uniósł tymczasem rękę do czoła, jakby chciał się podrapać... i reszta interlokutorów w pośpiechu, przeszkadzając sobie wzajemnie, zapragnęła poszukać mocniejszych argumentów w pobliskim lesie. Na czoło stawki natychmiast wysforował się biegacz ze szramą.

Carcassian razem ze swoim pomocnikiem przyglądali się tej scenie w osłupieniu.

– No, panie kupiec, coście tacy zaskoczeni? – z krzywym uśmiechem spytał Fillegan, wracając do nich. – Czyż nie wspominałem, że prawdziwa bestia retoryczna ze mnie?

Duendain pierwszy się opanował. W przeciwieństwie do kupca rozumiał, co się naprawdę wydarzyło. Albo przynajmniej tak uważał.

– Więc jednak jesteś magiem, panie? – rzekł z podziwem. – Pogoniłeś ich, gdzie pieprz rośnie...

Rycerz uśmiechnął się półgębkiem.

– Lepiej, żebyś nie wiedział, chłopcze. Czego nie wiesz, to i nie wyśpiewasz inkwizycji, prawda? – dodał z wilczym uśmiechem.

Carcassian patrzył na Fillegana w zadumie, coś w sobie ważąc.

– Bandyctwo samo tu rośnie, panie rycerzu – stwierdził wreszcie. – Jak za długo postoiemy, to nie starczy nas do wyplewienia zielska. Lepiej stąd idźmy jak najprędzej.

* * *

Brama w trzecich murach, pod którą podprowadził ich Carcassian, była niewielka i zrujnowana, bo kto by rozbudowywał albo choćby tylko odnawiał mury i strażnice w biednej, nieważnej dzielnicy, w kwartałach pospólstwa przylegających do rzeki, cuchnących i zaniedbanych. A niechby i jaki najeźdźca domy sobie wziął i podpalił albo zburzył, a proszę bardzo, na zdrowie, mniej by było chamstwa, a wyczyszczone z biedoty i ich byle

jakich domostw i manufaktur ziemię na nowo by się zagospodarowało, może i z większym niż dotąd pożytkiem. Co innego dzielnice po drugiej stronie Arno, gdzie mieszkali patrycjusze i wszyscy porządni obywatele Republiki. Tam mury były remontowane, pieniędzy nie brakowało.

Nic więc dziwnego, że obaj strażnicy lenili się, wystawiając twarze ku słońcu. Opowiadając sobie sprośne kawały, zaniedbywali służbę jak zwykle. Czasem ktoś przeszedł, zapłaciwszy myto, czasem puścili bez opłaty albo zamiast do skrzynki, pieniądze schowali do sakiewki. Te wielkomięskie obyczaje Fillegan doskonale rozumiał, bo we wszystkich miastach istniały beznadziejnie marne dzielnice (zwykle było ich więcej niż tych dobrych), i na własnej skórze miał okazję poznać słabości tych miejsc i ludzi, tam głównie spędzając czas. Kiedyś, gdy już Wake stanie się sławnym na cały świat miastem, zaklinał się w marzeniach, ludzi nie będzie się wpuszczać wcale, zanim nie znajdzie nieprzekupnych strażników. Bo to, że będzie tam panem i władcą, nie podlegało dyskusji w tych planach.

Na widok Carcassiana strażnicy ożywili się lekko.

– No i jak, polepszyło się ojcu? – spytał życzliwie jeden z nich, z troską spoglądając na kościstego mężczyznę. Duendain natychmiast jął podrygiwać, wstrząsany tłumionym chichotem, póki Carcassian nie spojrzał na niego tak, że chłopak zakrztusił się, niemal na śmierć dławiąc śliną.

– Wciąż bez zmian, mości Papageno. Ani się pogorszyło, ani poprawiło – kupiec zrobił zafrasowaną minę. – Widzi mi się, że jak nie ma spodziewanej poprawy, to mimo tych wszystkich proszków, upuszczeń krwi oraz modlitw u świętego Merkurego Bóg jednak zechce go wkrótce powołać do swego kupieckiego cechu.

Wewnątrz trzeciego – ostatniego, licząc od środka – kręgu murów zabudowa była gęstsza niż poza murami, gdzie tylko z rzadka stały jakieś chałupy. Gęstsza nie znaczy jednak równa i prawdziwie miejska, jak choćby

w Paryżu. W dali widać było kwartały domów, tu jednak, gdzie stali, kozy szczypały trawę, której wcześniej nie wyjadły krowy. Fillegan z trudem odpędził myśl, że lepsze podgrodzie ma nawet Wake, jeżeli tylko Ayermine nie dokonał tam rewolucji. Bo może zamkowe lochy przerobił na magazyny, a ludzi rozpędził na cztery wiatry?

Carcassian w milczeniu zmierzał w stronę najbliższego kwartału domów. Może i straszły gdzieniegdzie szramami po odłupanych ceglach, może i wieże były tylko w niektórych oknach, ale wreszcie przypominało to miasto. Może nie Florencję, nawet nie St. Denis, raczej podrzędne Pinetoux. Ale zawsze – miasto. Choć z drugiej strony nieco Filleganowi mina zrzędała, gdy pojął, że nie obierają kierunku na którąś z licznych kościelnych wież. Mogło to znaczyć tylko jedno: nie zmierzają w stronę żadnego pobliskiego cmentarza, jak to zwykle bywało. Wizja pełnej sakiewki skłaniała go jednak do podążania za Carcassianem, nawet gdyby kupiec prowadził go wprost w odwiedziny u Szatana. Zresztą, gdyby ten zechciał zostać z jego poręki szlachcicem, płacąc florenami, uprzejmie proszę – myślał rycerz. Może i w piekle szlachectwo jest w cenie? Koncept ten zdawał się prowadzić wprost na stos dla heretyków, ale mimo to wydał mu się dosyć zabawny.

Tymczasem weszli w jedną z ciasnych uliczek, potem w drugą, trzecią, wreszcie Fillegan całkiem się pogubił w tej plątaniu. Nieuważnym spojrzeniem błądził po ścianach i okiennicach domów przypominających kwadratowe, przysadziste wieże, aż naraz jego spojrzenie zatrzymało się gwałtownie. To samo zrobiło jego ciało, rycerz stracił nad nim panowanie, uwięziony spojrzeniem w jednym punkcie.

Nie miała chyba jeszcze piętnastu lat, wyglądała na dziewczę młode i niedoświadczone, a także – zamknięte w klatce, wyglądające wolności przez to wąskie okienko w grubych murach. Patrzyła na niego, uśmiechając

się smutno. Jej ciemne oczy zdawały się pochłaniać całe światło, niby jakaś fascynująca czeluść... Skądś nadpłynęło imię Beatrycze, niepodzielnie opanowując umysł rycerza. Już w myślach dźwigał kopię, by skruszyć mury wieży, już spinał konia do boju niby święty Jerzy...

W ostatniej chwili kupiec mocno go szarpnął, ściągnając niemal na mur, poza trajektorie trzech turkoczących wozów, które przemknęły obok niczym ekskomunikowane demony i pognały dalej.

– Uważajcie, panie, to wielkie miasto, można zginąć pod kołami! – rzekł szorstko, z wyraźną ironią. – I sto wozów da się w ruchliwy dzień naliczyć na tej drodze! – Carcassian zdawał się tak dumny z przytoczonej liczby, jakby tych sto wozów równało się co najmniej tysiącowi okrętów wojennych, które mogła wystawić znienawidzona Republika Wenecka.

– Dziękuję – odparł rycerz, dyskretnie spoglądając w górę. Tam jednak były tylko zamknięte okna, widok Beatrycze zdawał się być jedynie chorobliwym złudzeniem, mirażem powstałym pod wpływem słońca i kurzu. Nie pierwszy to raz, gdy nieomal zginął z powodu dziewczęcej urody...

W końcu dotarli do dwupiętrowej kamienicy zamieszkiwanej przez kupca. Niczym specjalnym nie wyróżniała się ona z szeregu, może poza jednym: w dwóch miejscach pozostały resztki farby po jakichś napisach, zapewne złośliwej treści. Carcassian załomotał w ciężkie, wzmocnione żelazem odrzwia, krzyknął na służbę. Zaraz ktoś wyjrzał przez okienko na piętrze, a po chwili drzwi się otworzyły i znaleźli się w ciemnej sieni. Kupiec odetchnął z wyraźną ulgą, ledwie przestąpili próg i masywne podwoje zamknęły się za nimi.

– No, najgorsze mamy chyba za sobą – rzekł. – Jeszcze chwila i wreszcie będę mógł odetchnąć, mości Filleganie. Bo to ciężar nieznośny, uwierzcie... – Carcassian rozluźniał się z każdą chwilą.

Rycerz postanowił wykorzystać sytuację.

– Napiłbym się czegoś – zasugerował. Znał bowiem dobrze ten gatunek człowieka, jakim byli kupcy. Po skończonej robocie powie taki: – Miedziaki w garść i wynocha. Ani me, ani be, ani dziękuję, tylko fora ze dwora. Klasa średnia, psia ją mać. A jeszcze we łbach im się poprzekręcało i myślał taki jeden z drugim, że walnięcie parę razy mieczem i parę pergaminowych świstków trzymany w kufrze pod łóżkiem czyni go równym księciu Bawarii czy diukowi Normandii.

Carcassian w milczeniu i z wyraźną niechęcią skinął głową i poprowadził rycerza w głąb domu, po drodze cichym głosem wydając dyspozycje służbie.

Rozsiedli się w jednym z pokoi, urządzonym w typowym włoskim, mieszczańskim stylu, do którego Fillegan nabrał odrazy, kiedy niemal to samo zestawienie zobaczył w kolejnym domu, jakby odcisnięte z tej samej mennicznej prasy. Meble – oczywiście gedanijskie albo ikeańskie. Na ścianie albo kilim abbakański, albo grafika mistrza Kłussaka, z nieodłącznymi końmi na pastwisku (zapewne artysta kochał te istoty miłością platoniczną i ślepa, bo z końską anatomią był na mocny bakier). Świece na stole osadzone w lichtarzu utrzymanym w stylu rat deco, czyli z trzymającymi miseczki wątłymi postaciami bardziej przypominającymi powykręcane artretyzmem szczury niż ludzi.

Dalsze oględziny przerwało wreszcie pojawienie się dzbana i kielichów, wniesionych przez starą służącą. Na widok rycerza uniosła brew w wyrazie dezaprobaty, postawiła naczynia na stole i skłoniwszy się Carcassianowi, wyszła z pokoju.

– No, to nielekkko tu macie z biskupami – zaczął Fillegan, gdy już spłukał pierwszy kurz – skoro na radzie miejskiej wymogli zakaz pasowania nieboszczyków...

Kupiec spochmurniał jeszcze bardziej. Bawił się swoim kielichem, wodząc palcem po krawędzi szkła.

– Do samego pasowania to by się tu niejeden florentczyk znalazł, *signiore Fillegan* – odparł cierpko. – Rajców można kupić, dla nieboszczyka ojca uchwałę na jeden pacierz uchylić. Ale ojciec, świeć Panie nad jego duszą, z handlu suknem był niezadowolony, to i po cichu lichwą się trudnił. I jak przyszło co do czego, to się okazało, że jednak wcale nie tak po cichu, skoro wszyscy o tym wiedzą. A nikt tu nie zaryzykuje równoczesnego narażenia się rajcom i Kościołowi – ciągnął kupiec, całkiem już ponury. – Zwłaszcza Kościołowi, bo ten na lichwę cięty jak na mało co. I jakby się sprawa wydała, to taki florentczyk życia już by w mieście nie miał, obywatelstwo odebrane, może by i do więzienia trafił albo na galery? Na szczęście Montepaschi mi was wyszukał w odpowiednią porę. – Westchnął, przysuwając sobie dzban z winem. Napełnił kielich i wypił zawartość jednym długim łykiem. – Chodźmy, panie rycerzu, chodźmy wreszcie, bo mnie to wyczekiwanie na szczęśliwy finał całkiem zjada. Kończmy, płacmy i potem pijmy. Ja stawiam.

Fillegan z niechęcią wstał od stołu. Jeszcze by wypił kielich czy dwa.

– To gdzie delikwent, znaczy ojciec?

Carcassian wskazał podłogę.

– Tam.

Ruszyli w stronę wewnętrznego, ciemnego podwórca, gdzie ukryte były schody do piwnic. Jak spod ziemi wychynął Duendain z pochodnią i łuczywem. *Oj, będziesz ty wkrótce „mości Capodimonte”*, będziesz – pomyślał Fillegan z zazdrością. Duendain był niby młody wilk, gotów na wszystko, byle odnieść sukces.

– A jak zdołałeś utrzymać tajemnicę? – spytał kupca. – I co z pogrzebem?

Carcassian wzruszył ramionami, walcząc z zardzewiałym zamkiem osadzonym w grubych dębowych drzwiach. Ten stawiał opór, jakby od jego nieugiętości zależało czyjeś życie.

– A mogłem – odparł krótko. – Jakby od dochowania sekretu zależał los spadku w znacznej wysokości, też byś się wysilił i potrafił, panie Filleganie. Tyle, że udziałowców w schedzie po rodzicielu zrobiło się więcej... – dodał z niewesołą miną. – Świat całkiem zeszedł na psy, nikt za darmo w język gryźć się nie będzie.

Przerwał, zaklął z irytacją, bo zamek nie puszczał.

– Tuż przed śmiercią ojca dogadałem się z zaprzyjaźnionym padre od świętej Kunegundy Patataj. Dał namaszczenie, dziś, jak wszystko dobrze pójdzie, da drugie, oficjalne. Krypta w kościele u niego też już wykupiona. Tylko spełnić synowski obowiązek, spadek wziąć i... – Carcassian mocnym szarpnięciem odemknął drzwi i pierwszy zniknął w mrocznym wnętrzu.

Jak się okazało, zeszli do katakumb nie gorszych niż te watykańskie, tyle że ciaśniejszych. Spiralnymi schodami podążali coraz niżej, mijali drzwi wiodące do tajemnych pomieszczeń, omiatali wilgotne ściany z pajęczyn, deptając w ciemnościach nieostrożne gryzonie, a nawet truchło jakiegoś nietoperza, który znalazł w tych podziemiach sen wieczny zamiast zimowego.

Śmierć tego ostatniego przywiodła Fillegana do pewnej ponurej konstatacji. Wciśnięty pomiędzy prowadzącego kupca a Duendaina był właściwie bezbronny, skazany na ich łaskę. A co będzie, jeśli ci dwaj zechcą – po dopełnieniu ceremonii – w tymże ciasnym korytarzyku zlikwidować niewygodnego świadka? Pomacał rękojeść miecza, próbując sobie dodać otuchy, ale przybyło jej tyle co nic, a za drugim sięgnięciem trafił nie na miecz, tylko na szorstką ścianę i zdarł sobie skórę z knykci.

Byli już chyba w połowie drogi do ostatniego kręgu piekieł, gdy sukiennik zatrzymał się wreszcie przed kolejnymi drzwiami. Oświetlił je, westchnął ciężko i odwrócił się do schodzących za nim.

– Duendain, zostań tu – nakazał chłopakowi. – A my chodźmy, panie, miejmy to już za sobą. I... – zawahał się na moment, przez jego twarz przemknął chmurny cień, choć może była to tylko iluzja spowodowana chybotaniem płomienia świecy – nie dziwcie się niczemu. My tu, w mieście, łatwego życia nie mamy.

Zdało się, że w słowach Carcassiana pojawił się tłumiony jęk. Kupiec sięgnął po kolejny klucz, po czym pchnął drzwi.

Weszli do niewielkiego pomieszczenia przypominającego kryptę, choć raczej wyglądem niż zapachem, bowiem takiego smrodu, jaki tu panował, Fillegan nigdy dotąd nie doświadczył – a miał stosowne porównanie, bowiem pośród rozlicznych peregrynacji mógł pochwalić się i tą, która zawiodła go na paryski Pere Lachaise, gdzie niejedną noc spędził w towarzystwie flecisty Chopininiego. Gruźlica odebrała muzykowi życie, a procesująca się o majątek część rodziny – czująca się pokrzywdzoną w rozdziale tych kilku solidów, które zostały po zmarłym – wzięła serce w zastaw, póki ich roszczenia nie zostaną zaspokojone. Choć więc flecista spoczywał w krypcie razem ze swoim ukochanym instrumentem, to jęki dobiegające z trumny zdawały się świadczyć, że wciąż mu czegoś brakuje do ciszy wiecznego odpoczynku.

Pomieszczenie było niemal puste, choć kiedyś musiało tu leżakować wino w beczkach. Wciąż widać było ślady i podłużne wyżłobienia w posadzce pod ścianami. Pośrodku stał jakiś mebel, w chybotliwym świetle pojedynczej świecy przypominający łożo. Dopiero gdy wzrok przyzwyczaił się do półmroku, a może po prostu kupiec zapalił odpowiednią liczbę świec

na ścianach, Fillegan pojął, że ogląda nakrytą białym płótnem... trumnę na katafalku.

Carcassian przeżegnał się zamasyście i zsunął materiał z trumny. Potem targnął wieko i odstawił je na bok, pod ścianę.

Rycerzowi, który pochylił się ku jej wnętrzu, zaparło dech. Miedziana skrzynia niemal po brzegi wypełniona była płynem o ciemnej orzechowej barwie, skrzepniętym w nieruchomą powierzchnię. To stąd roznosił się ów koszmarny zapach. Nieboszczyk, nawet jeżeli spoczywał w środku, nie był widoczny.

– Trzeba go wyjąć. – Fillegan odstąpił pod ścianę, gdzie wonie były nieco słabsze albo też wentylacja lepsza. – Nic żeście nie przygotowali? To jak mam wykonać swoją robotę?

Carcassian miał minę długo bitego psa, który w dodatku wie, że jest winny.

– Wybaczcie, panie, dlatego nie uprzedzałem – stęknął. – Ojciec chciał zostać pasowany, zanim całkiem się rozejdzie, ale zmarło mu się nieoczekiwanie szybko, ta sprawa z lichwą nie pozwoliła mi spełnić jego woli od ręki... Znajomy, który kiedyś popadł w podobne tarapaty, doradził mi cudowny konserwant, tylko składniki chyba zmieszałem w złych proporcjach. – Kupiec zasepił się i zamilkł.

Fillegan podszedł do trumny i przyjrzał się zawartości. Nieboszczyk nadal spoczywał w głębinach tajemniczego roztworu, z których nie wystawał nawet czubek nosa.

– Będiesz pasował, panie rycerzu? – Carcassian wydawał się zaniepokojony milczeniem swego gościa.

Fillegan z niechęcią skinął głową, wciąż obchodząc trumnę ze zwłokami. Lepiej bym zrobił, pomyślał, wracając do Wake i obdarzając szlachectwem zabite przez Ayermine'a wielbłądy.

Wizja wielbłądów-rycerzy rozrzewniła go. W kącikach oczu poczuł łyzy... A może to nie wielbłądy, tylko wspomnienie rodzinnego Wake? W każdym razie chwilę zeszło, zanim przypomniał sobie o pytaniu Carcassiana.

– Jak tylko go wyjmiemy. A z dokumentami to co, pewnie będziesz chciał daty wstecznie stawiać, co? – wrócił do rzeczywistości, przestawiając się na handlowe myślenie. – Bo do przestępstwa się przecież nie przyznasz...?

Sukiennik skinął głową.

– Czy to moja wina, że rajcy pozamieniali się na łby z baranami? – odparł, ciężko wzdychając. – Jak świat światem, kupowało się szlachectwo, choć raczej za życia, nie po śmierci. Inna sprawa, jak świat światem, kupiec był kupcem, a włościanin włościaninem, jeden drugiemu rzadko wchodził w paradę i dopiero te nowe czasy wszystko powywracały do góry nogami. Sami widzicie, panie, co to się porobiło – gorzko rzekł Carcassian. – Heretyka z grobu wykopać tylko po to, żeby go ceremonialnie na stosie spalić wolno, a nawet zaleca się, tak gadają biskupi. A zwyczajnego, próżnego i majątnego, kupca nie wolno. I gdzie tu logika?

Wzruszył ramionami, machnął z rezygnacją ręką.

– No i przyjdzie mi, jak już zrobicie swoje i bezpiecznie znikniecie z widoku, odkryć schowane w skrytce papiery, że ojciec dobre dwa lata temu został rycerzem i szlachcicem, tylko z jakichś tajemniczych powodów albo starczej demencji zapomniał i domagał się tego w testamencie ode mnie. Urzędnicy w magistracie nie takie dziwa widywali, więc za parę florenów przymkną oko, i wtedy obaj z ojcem wreszcie odetchniemy.

Fillegan wciąż przypatrywał się trumnie. A precyzyjniej rzecz biorąc, usiłował przebić spojrzeniem ciemną powierzchnię płynu. Pobieźna analiza ujawniła jedynie ogromnego pająka, który utopił się przy krawędzi i

sterczał groteskowo z odnóżami wystającymi ponad powierzchnię. Nieboszczyka nie udało się wyłowić spojrzeniem.

– A on tam chociaż jest? – spytał z powątpiewaniem, odsuwając się nieco od skrzyni, którą od wewnątrz, na granicy poziomu wypełniającej ją cieczy, pokrywały jakieś zielonoszare wybrzuszenia i liszaje. – Papiery wystawić nie problem, jednak co do ramion, wolałbym wiedzieć, że ojciec pański je posiada, rozumiesz, Carcassian...

Kupiec wzruszył ramionami.

– Przecież i tak go pochowam. Rycerzu, na upartego potrzebny jest mi papier, resztę czynię dla spokoju ducha... Ale ma ramiona – rzekł uspokajająco, tonem, który tylko potwierdził obawy Fillegana. – To znaczy, miał jeszcze jakieś dziesięć dni temu – dodał, zagryzając wargę. – Zresztą, jeśli wierzyć w to, co się wyrwało Duendainowi podczas tej zawieruchy przy gospodzie, jesteście magiem. Może byście przywrócili ojca do stanu używalności? Zapłacę. Lepiej by się...

Rycerz nigdy się nie dowiedział, co kupiec miał na myśli. Przepadła też niebywała wprost szansa zderzenia z niego ostatnich pasków skóry, odebrania mu jego krwawicy, czyli wyłuskania wszelkich zaskórniaków. O, Fillegan nie byłby gorszy w sztuce uprawiania magii od innych. Miałyby takie same koszty i wyniki. A sukiennik uwierzyłby we wszystko. Oczyma szczerzej wiary dojrzałby elefanta tam, gdzie człek niezainteresowany z trudem zauważy mrówkę.

Jak wszystkie piękne aspekty rzeczywistości, ten cudowny sen został zdradziecko przerwany krzykami i łomotami, które rozległy się gdzieś ponad ich głowami w czeluści korytarza wiodącego do krypty.

Carcassian zbladł i szeroko otworzył usta, jakby łapiąc oddech. Fillegan, złorzecząc, położył dłoń na rękojeści miecza. Jeżeli to zbójce, zamierzał walczyć. W ciasnym pomieszczeniu można się było napaści opierać długo,

czas wystarczający, aby hałasy sprowadziły straż miejską. Albo chociaż jakiegoś zaniepokojonego sąsiada. Założywszy, że kupiec miał takich, którzy nie zechcą przyłączyć się do rabunku.

– Da się te drzwi zamknąć od wewnątrz? – Rycerz przysunął się do nich i lustrował je uważnym spojrzeniem. Metalowe pasy, tworzące kratę, były zbyt rzadko ułożone, ale – na Boga! – przecież był to skład z winem, nie warownia. Nawet nie prawdziwa krypta zabezpieczona przed cmentarnymi hienami.

Kupiec potwierdził jego obawy.

– Nie, panie, lepiej będzie się nam bronić w korytarzu. Tam, razem z chłopakiem, trochę ich natniemy, zanim zdołają się nam dobrać do skóry.

Duendaina jednak w korytarzyku nie zastali. *Poszedł na górę, sprawdzić* – pomyślał Fillegan. Sam w każdym razie by tak postąpił. Jeżeli nowina okaże się dobra, chłopak mógł się spodziewać, że coś mu skapnie, nawet od takiego sknery jak jego pan. Jeżeli zła – łatwiej uciec.

Tymczasem na schodach rozległy się głosy. Rycerz mocniej ujął miecz.

– Tu są, panowie! – rozległ się nieco przytłumiony głos Duendaina. – Hej, panie Carcassian, panie rycerzu, mamy niezapowiedzianych gości! Odwiedzili nas strażnicy miejscy!

Wściekły Fillegan opuścił miecz.

– Psiakrew! Tych tylko nam brakowało! – zaklął ze złością. Oczyma wyobraźni już dostrzegał siebie w tutejszych kazamatach. W jednych kajdanach kupiec-przestępca, w drugich rycerz-odszczepieniec. Piękne towarzystwo. Będą mogli sobie razem przez najbliższych parę lat zgłębiać karolińskie korzenie rodu Wake oraz tajniki hodowli wielbłądów!

Stąpienie nasiliło się i wkrótce w świetle świecy niesionej przez idącego przodem Duendaina pojawił się oficer straży miejskiej, a za nim dwóch

jego ludzi. Wszyscy razem weszli do piwnicy, skrzywili się, gdy dotarł do nich obrzydliwy fetor.

Na twarzy Carcassiana wyraźnie widać było niepewność i strach. Fillegan zaś poprzysiągł sobie, że jeżeli wyjdzie cało z tej historii, wróci kiedyś do Wake i wzniesie przydrożną kapliczkę z wizerunkiem wielbłąda. Mogą mieć swoje kapliczki ze świątkami prości wieśniacy, mogą mieć swoje święte dęby druidzi, to czemu nie miałyby powstać kult dromaderytów wędrownych? Może nawet da się na nim zarobić parę groszy?

– Niccolo Carcassian, syn Bartolomea, sukiennik? – zaczął oficjalnym tonem oficer, podczas kiedy jego ludzie stanęli po obu stronach drzwi i zamarli w niemym bezruchu. Gdy kupiec skinął głową, oficer tym samym beznamiętnym tonem kontynuował: – Nazywam się Gucci. Dotarł do nas donos, że wspólnie z ojcem lichwę uprawiacie. A lichwa zakazana. Rada dzielnicy przysłała mnie, by to wyjaśnić.

Rycerz dyskretnie odetchnął. Kupiec za to, niby legendarny chamalajon, zmienił się na twarzy, poczerwieniał mocno.

– Ani ja, ani mój oj... – Tu urwał, dotarło do niego, jak niebezpiecznie jest powoływać się na zmarłego. – Lichwa jest zakazana, i ja to wiem – zakończył więc nieporadnie.

Dowódca straży rozglądał się po pomieszczeniu.

– W istocie, jest zakazana prawem, ponadto grzech to ciężki. – Jego spojrzenie omiatało puste ściany, aż wreszcie zatrzymało się na trumnie. – Dlatego rada wysłała nas, by to sprawdzić. Nikt na razie nie formułuje zarzutu, rozumiesz, Carcassian? – Gucci podszedł do trumny, spojrzął na nieruchome lustro zgęstniałego płynu. – Was, kupców, w ogóle raczej dziwne trzymają się obyczaje, zmuszające do kontroli. Trumnę wypełniłeś zepsutym winem? Po co?

Fillegan z Carcassianem wstrzymali oddechy. Tymczasem oficer nachylił się i wyciągnął palec w stronę trumny, jakby chciał skosztować tego, co uważał za wino... ale dostrzegł pająka, odchylił się ze wstrętem i chwyciwszy za miecz, próbował go wyłowić. Wreszcie mu się to udało, gdy zewłok owada znalazł się na czubku ostrza, Gucci wyjął miecz z płynu.

– Na sto głów baranich! – Spojrzał w zdumieniu na głownię miecza, która zaczęła się dymić. Machnął ostrzem, rozwiewając wokół smużki dymu. – Co wy w tej trumnie macie, kwas jakiś?

– Skwaśniało mocno – przytaknął sukiennik słabym głosem. – To może ja pójdę na górę po jakąś rekompensatę, panie oficerze?

– No myślę! – warknął oficer. Długą chwilę w zamyśleniu przyglądał się trumnie, wreszcie odwrócił wzrok w stronę ignorowanego dotąd Fillegana.

– Skąd to drogi prowadzą do naszej Republiki? – zagadnął. – Bo z wyglądu wnoszę, żeście nietutejszy?

– Z Wake, w Anglii – odparł rycerz, nieco zdziwiony, że Gucci jednym spojrzeniem rozpoznał w nim obcego. Ale, jak widać, strażę zachowywały tu należyta republikańską czujność. – Trzeba poznawać świat, nieprawdaż?

– A pewnie. – Gucci z uznaniem skinął głową. – Nasza Florencja w tym świecie to prawdziwa perła, warta dostrzeżenia. Powiadają, że zobaczyć i umrzeć. – Oficer stuknął pozostałością miecza w podłogę. – Mniemam, że z zachwyty.

Tymczasem na schodach rozległ się straszliwy rumor. To Carcassian wracał w pośpiechu na dół, nie bacząc, że może sobie połamać nogi.

– No jestem – rzekł, powstrzymując sapanie. W ręku trzymał sporej wielkości mieszek. Podał go oficerowi. Ten niemal niezauważalnym, wypracowanym gestem wsunął go w kieszeń kaftana.

– To teraz słuchaj – zaczął z życzliwością Gucci. – Nas tu dzisiaj nie było. Przyjdziemy jutro o świcie, aby z zaskoczenia sprawdzić, czy wasza

rodzina trudni się lichwą czy nie. Jak coś znajdziemy, na przykład kompromitujące papiery, sam sobie będziesz winien, pojmujesz?

Kupiec ponuro skinął głową.

– Zacznę hodować pająki, jak już nie będę czym miał płacić ła... to jest podatków.

Gucci po raz pierwszy uśmiechnął się szeroko.

– Nie polecam. Nasze lochy mimo wszystko bezpieczniejsze od kościelnych. – Razem ze swoimi ludźmi oraz odprowadzającym ich Duendainem zniknął w korytarzu.

– Montepaschi twierdził, żeś wizjoner, co to w przyszłość sięga jak ja, nie przymierzając, po jabłko – rzekł sarkastycznie Carcassian, odczekawszy, aż kroki Gucciego i jego ludzi ucichną. – Szkoda, że tego najazdu nie zdołałeś przewidzieć, nerwów i majątku mi zaoszczędzić. Przyszli po łapówkę. I jutro też wezmą do kieszeni, psiakrew!

Fillegan wzruszył ramionami. Nie powiedział kupcowi, że im dalej w przyszłość, tym wizja jaśniejsza, a jak z tego wynika, szanse przewidzenia czegoś na dzień naprzód oceniał jako zerowe.

– Nie wszystko da się wyłowić z rzeki przyszłości, tyle śmiecia niesie. Całkiem jak wasze Arno – odparł metaforycznie. – Przeoczyłem ich, fakt. Widzę za to powódź, obracającą wniwecz to miasto.

Kupiec roześmiał się ponuro.

– No, strasz mnie potopem. Wiesz chociaż, kiedy? Może bym się w porę wyniósł?

Rycerz udał, że się koncentruje. Może uda się wyłudzić jeszcze parę groszy?

– Widzę, że miasto nawiedzi straszliwa powódź. Mury będą upadać, freski odklejać się od ścian, wielka tragedia spadnie na ludzi. Ale moje proroctwa nie mają daty. To może być dziś, jutro albo za tysiąc lat.

– Jak nie potrafisz podać daty, to psu na budę twoje przepowiednie – wycedził z gryzącą ironią Carcassian. – Arno wylewa co paręnaście lat, odkrycia nie dokonałeś. Wracajmy do ceremonii, w końcu po to tu przybyłeś.

Fillegan odwrócił się w stronę trumny wypełnionej zagadkowym płynem.

– Wiesz co, kupcze? – przyznał wolno – jakoś nie czuję się na siłach dzisiaj pasować. Zjadłbym coś, w gospodzie posiedział...

– Strach odpędził... – zjadliwie dociął sukiennik. – I zwiął czym prędzej, psia twoja mać.

– Prosty rycerz ze mnie. Kłopoty mi niepotrzebne – odparł szczerze Fillegan. – Lepiej spać pod gołym niebem, niż mieć nad głową sklepienie więziennej celi.

Carcassian spojrzał mu prosto w oczy, przetarł dłonią spocony kark.

– Dorzucę jeszcze trochę grosza, bo co mam robić – rzekł ochryple. – Niech będzie moja strata, dam trzydzieści złotych.

– Trzydzieści? – obruszył się rycerz. – Trzydzieści to sobie...

– Trzydzieści złotych florenów – uciął dyskusję kupiec, sięgając pod kaftan, żeby się podrapać. – Słyszę Duendaina, przy nim nie będę dyskutować. Bierz, co daję, albo idź precz.

Rycerz westchnął z niechęcią.

– I pomyśleć, że za chwilę staniemy się sobie równi. Ja, potomek cesarów w bocznej linii...

– Bardzo bocznej – warknął sukiennik, spoglądając na chłopaka, który wszedł do środka. – Nie marnujcie czasu, panie. Cały dzień dziś tracę na załatwienie tej sprawy, interesu pomocnik pilnuje, a jak palnie jakąś głupotę? To jeszcze bardziej stratny będę... Za dużo tego wszystkiego na mojej głowie.

– A jak zamierzacie to zrobić? – zainteresował się Fillegan. – Bo po tym, jak Gucci stracił miecz, to ja wolę być daleko stąd, kiedy będziecie nieboszczyka ojca przygotowywać do ceremonii.

Carcassian uśmiechnął się lekko. Wyszedł na chwilę z krypty, wrócił z niewielkim oskardem. Podszedł do przeciwległej ściany i przyklęknąwszy, kilkakrotnie silnie uderzył w podłogę, odsłaniając mroczną czeluść.

– Świętej pamięci ojciec uważał, że nie zaszkodzi ostatnie, puste, pomieszczenie zamurować. Tam spuścimy konserwant.

Wspólnymi siłami przechylili trumnę, uważając, by ani kropla nie prysnęła w ich stronę.

– Czyńcie swą powinność, rycerzu – wystękał Carsassian, gdy opróżniona z płynu trumna spoczęła z powrotem na katafalku. Dołączył do Duendaina, który za drzwiami opróżnił żołądek.

Również Fillegan z trudem panował nad skurczami trzewi. Nieboszczyk znajdował się wciąż w stanie pozwalającym na rozpoznanie w nim majątnego kupca. Zachował ludzkie cechy, w rysach pociemniałej twarzy wciąż dostrzec można było godność i pewien majestat. Lecz woń, jaką wokół siebie roztaczał, była gorsza od zapachu piekielnej siarki.

Rycerz uniósł miecz w drżącej ręce. I nadał Bartolomeo Carcassianowi, kupcowi za życia, szlachectwo i wprowadził do stanu rycerskiego w niebie – chociaż nie bardzo wiedział, na co mu tytuł i zaszczyty tam, gdzie ponoć wszyscy są sobie równi. Po czym wyszedł z krypty i dołączył do Carcassiana i Duendaina, którzy akurat przeżywali nawrót szarpiących sensacji.

– Z papierami to już jakoś pójdzie – rzekł kupiec w chwilę później, ocierając usta. – Duendain, zaprowadź pana rycerza na pokoje, ja tylko pogaszę świece i dołączę.

* * *

Pełna sakiewka mile ciążyła w kieszeni kaftana, a nogi nieco zawodziły Fillegana w marszu, bo na sam koniec gospodarz okazał się człowiekiem niezbyt może hojnym, ale i nie skąpym, wina dla uleczenia żołądkowych boleści nie pożałował, a do jedzenia małe co nieco także się znalazło.

Jakoś wyplątał się z miejskiego kwartału i dotarł do bramy, a nawet bez trudu przekroczył ją, opuszczając Florencję, odprowadzany leniwym spojrzeniem strażników zagłębionych w żywej dyskusji na temat wdzięków pewnej różanolicy Floriny.

Z prawdziwą ulgą opuszczał to miasto. Być może warto je było zobaczyć i umrzeć, ale Fillegan miał w tej kwestii odmienne zdanie: lepiej je zobaczyć i żyć. A to wcale nie wydawało się takie pewne, wołał więc nie czekać, aż uszczęśliwiony Carcassian dotrze do magistratu.

Zastanawiał się nawet, czy nie zakupić za część florenów Bucefała Drugiego, jakiegoś wiernego karusa, który w ostateczności gotów będzie oddać życie za swego rycerza. Jednak wciąż nie mógł zdobyć się na rozstanie z nowiutkimi złotymi monetami. Ostatecznie, do Pistoii droga niedaleka, letnia pogoda dopisywała, wino przyjemnie szumiało w głowie...

Trapiła go jedynie myśl, że fatalnie przegapił okazję do wzbogacenia się. Otóż, będąc już dość daleko od miasta, całkiem nie w porę uświadomił sobie, że paryscy akademicy mogliby wysupłać parę groszy za recepturę tego tajemniczego konserwantu, w którym sukiennik pławił swego ojca. Zaiste niezwykłą substancję sporządził kupiec, skoro ciało nieboszczyka, ze dwa tygodnie w niej spoczywające, lepiej się miało od głowni miecza mającej kontakt z ciecżą ledwie przez chwilę. Kto wie, może dałoby się znaleźć jakieś zastosowanie tego wynalazku w sztuce wojennej albo przemysłowej?

– Psia! – zaklął. Nie, nie wróci do miasta. Carcassian może trafić na zły humor urzędnika w magistracie albo Gucci coś odkryje, albo Kościół

znajdzie jakiś pretekst do kasaty majątku... Nie, lepiej nie cofać się z obranej drogi. A kupca trzeba zachować w pamięci, skontaktować się za jakiś czas, kiedy sprawa przyschnie. Tylko czy ten będzie pamiętał, gdzie w recepturze Montepaschiego popełnił błąd? Bo inaczej sekret tej niezwyklej substancji, szybciej zjadającej miecze niż ludzkie ciało, może zagaść na wieki!

* * *

Toskania słynie z łagodnych, lesistych pagórków, pośród których wiją się drogi tej krainy mlekiem i miodem płynącej. I kiedy trakt wiodący do Pistoii zakręcił wokół jednego z takich wzniesień, może nieco bardziej imponującego od pozostałych, zwieńczonego odsłoniętą, białą lśniącą w słońcu skałą poroszczepianą niby korona... – Fillegan poczuł nieprzepartą ochotę ułożenia kilku strof wiersza na cześć złotych florenów bezpiecznie spoczywających w sakiewce. Poetyckie frazy jęły się unosić nad jego głową niby aureola, kontrapunktowane słodkim cuk, cuk ptactwa... kiedy naraz posłyszał dobiegające z tyłu głośnie szelesty.

Odruchowo chwycił się za kieszeń kaftana. Tym razem miałyby co oddać w imię świętego spokoju i dla wspomnienia ubogich, jednak pokojowe myśli ustąpiły nagle brutalnej chęci mordowania każdego, kto zechciałby mu odebrać z taki trudem zdobytą zawartość sakiewki.

Dopiero po sekundzie dotarło do niego, że zbójce tym razem mogą chcieć nie jego florenów, lecz życia! Mógł ich nasłać Carcassian, ten zaś miałby motyw. Mówiąc wprost: bardzo dobry motyw. Lasy i bagna Europy pełne były takich milczących motywów.

A trakt, jak zwykle, był pusty. Fillegan wyjął miecz, spodziewając się najgorszego. Nie uciekał, bo pamiętał, że poprzednim razem zbójce odcięli mu drogę z obu stron, co pewnie było tutejszym obyczajem. Już wolał potykać się na ubitej ziemi.

Krzaki szeleściły coraz głośniej po lewej stronie. Wreszcie wyłonił się z nich... zziajany Duendain.

– Biegłem na skróty, byle was dogonić, panie – wydyszał.

– A ty tu czego? – zdumiał się Fillegan, wsuwając miecz do pochwy, bo raczej należało wątpić, aby kupiec wysłał chłopaka w roli mordercy. – Znowu mnie straszysz. Carcassian zapomniał wypłacić mi premię? Przegapił coś w papierach? A może cię wygnał? No, tego się należało po nim spodziewać – dodał z ironicznym uśmiechem. Tak, o kupcach miał wyrobione zdanie...

Duendain skrzywił się w grymasie nieskrywanej złości.

– Sam odszedłem. Przy nim do niczego nie dojdę, tylko się wrzodów i gonki nabawię. Chcę zostać rycerzem i magiem, panie, jak wy. Chcę wędrować z wami. – Chłopiec spojrzał z nadzieją na Fillegana.

Rycerz roześmiał się głośno, plasnął dłońmi o uda.

– A to dobre – rzekł, gdy już się uspokoił. – Pieniądze masz? Nie masz. No to cię nie pasuję. Zresztą – dodał, ironicznie przyglądając się wciąż zasapanemu chłopakowi – młody jesteś, możesz poczekać. A ja wędruję samotnie. Lepiej się przyłącz do jakiegoś handlarza winami albo terminuj u medykusa.

Nie oglądając się, ruszył dalej. Duendain towarzyszył mu niby cień, pozostając o dwa kroki w tyle. I tak zmierzali w stronę Pistoii, póki za nimi nie rozległ się głośny turkot wozów. Rycerz zszedł na sam skraj traktu, obejrzał się na młodziaka – ten jednak zniknął, musiał wskoczyć na jeden z wehikułów. Kolumna sześciu wozów wkrótce zniknęła za zakrętem.

No i z Bogiem – pomyślał Fillegan. Nie potrzebował towarzysza darmozjada. Miło było posłuchać nieprzerywanego niczym gadulstwem śpiewu ptactwa, ułożyć jakiś rym... pomacać trzydzieści złotych monet

przez kaftan... dojrzeć do decyzji zmarnowania paru groszy na jakieś jadło...

– Nie jesteście aby głodni, panie? – spytał Duendain, odklejając się od pnia drzewa, za którym się ukrywał, czekając, aż rycerz pokona zakręt. – Bo jakby co... – Szybkim ruchem zza pleców wyciągnął upieczonego kurczaka.

Fillegan odmówił gniewnym ruchem głowy. Był wściekły, bo chłopiec zmaterializował się ze smakowicie pachnącym mięsiwem niby diabeł czekający, aż rycerzowi zacznie kruczeć w brzuchu i będzie gotów podpisać cyrograf.

– Jedzcie, panie, bo się zmarnuje. Sam nie dam rady. – Chłopak ponownie podsunął pieczyste w jego stronę.

– No, jakby się miało zmarnować, to owszem. – Rycerz w podzięcie skinął głową i urwał soczyste od tłuszczu udko. Zaczął jeść. Nigdy nie miał zbyt silnej woli. A jeszcze sobie pogłoduje. To akurat było proste do przewidzenia, nie wymagało żadnych proroczych wizji.

– Sami widzicie, panie, na giermka się nadam – rzekł Duendain po chwili, ocierając usta. – I wiem takie rzeczy, że ho! Niejeden by chciał znać podobne sekrety. Na przykład Carcassian ma skrytkę w suficie. Jakby co...

Fillegan spojrzał na niego niby strofująco, ale bacznie nadstawiając ucha.

– Prawdziwy szlachetny rycerz nie rozmawia z pełnymi ustami... – rzekł jednak.

– Ja naprawdę umiem nie tylko kraść kury – odparł (z pełnymi ustami) Duendain. – A rycerzem jeszcze nie jestem – dodał przytomnie. – Nie to co wy, panie...

Filleganowi kęs kury stanął w gardle.

– Będziesz pościć przez trzy dni – zarządził, pokonując dławienie. – Kandydaci na rycerza muszą przejść ciężkie próby.

Duendain wyglądał, jakby zaraz miał się rozpłakać. Trzymał w ręku resztki kurczaka i nie wiedział, co z nimi zrobić.

– To mam zacząć od zaraz?

Rycerz zaprzeczył nieznacznym ruchem głowy.

– Zaczynasz od jutrzejszego świtu. A na razie – popatrzył na pieczone w ręku – zadbaj, dobry giermku, o moje jutrzejsze śniadanie. Do Pistoii droga niedaleka, lecz zapewniam, o pustym żołądku jestem nieznośny i rankiem droga będzie się nam dłużyć niczym wyprawa Marco Polo.

Duendain nie czekał na dalszy ciąg proroctw swego nowego pryncypała, już biegł w stronę kolejnych nadjeżdżających wozów, które turkotały gdzieś za zakrętem, jeszcze niewidoczne. Dotarło do niego, że na kradzionych kurczakach i postach się nie skończy, że trafił z deszczu pod rynnę.

Ale będzie to ciekawe życie. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Rozdział pierwszy

To właśnie członek znienawidzonego przez Fillegana z Wake kupieckiego cechu dał mu do ręki potężną broń: księgi wiedzy tajemnej. Tak oto rzeka dziejów poczęła płynąć pod znakiem magii.

Hodia von Tutenberg, ***Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata***

Słodkie źdźbło trawy skłaniało Fillegana do filozoficznych rozmyślań. Pieczeń z dzika faszerowanego migdałami ułożyła mu się w brzuchu niby ciepłe kocie, a Duendain dzielnie przyswoił sobie kolejną lekcję rycerskiego kodeksu oraz nieodzownej nauki języków. Pogryzając trawę, rycerz docierał właśnie do głębokiej refleksji, że przyjemność odnaleźć można w najprostszych sytuacjach – jak to palnięcie nieuka w łeb czy ulżenie pęcherzowi po ostrej pijatyce. A już najbardziej w wylegiwaniu się w cieniu drzewka oliwnego czy lipy, niby jaki wieszcz albo inny trubadur.

Po opuszczeniu miast italijskiego półwyspu drogą nieco krętą, wiodącą przez Prowansję podążali w stronę normandzkich skał i pagórków. Jesienią rycerz zwykle kotwiczył tam u hrabiego Detardieux na posiadzie zamkowego stróża, gdy właściciel posiadłości wyjeżdżał w cieplejsze okolice. Jak bowiem hrabia przyznawał, nic mu bardziej nie obrzydło niż wichry i mokre śnieżyce w krótki zimowy dzień. Na razie wciąż w najlepsze trwało lato, niemniej Fillegan wolał przenieść się bliżej Detardieux na wypadek, gdyby temu przyszło do głowy zmienić nie tylko klimat, ale i ciecia.

Zakwaterowali w tanim zajęździe Pod Piątym Kuflem, na skraju miasteczka St. Toile. Choć oszczędne życie plus umiejętności Duendaina pozwoliły nie naruszyć zbyt dotkliwie zawartości sakiewki z florenami, to jednak droga do Chaverny była wciąż daleka. A hrabia nie płacił za cieciovanie, należało się zadowolić wiktem i opierunkiem – co i tak było rzeczą nie do pogardzenia. Niemniej, aby wyskoczyć do jakiejś knajpy, trzeba mieć trochę grosza.

Fillegan snuł więc leniwe myśli w cieniu dzikiej śliwy, polegając na łące rozciągającej się pomiędzy zajazdem na granicy miasteczka a łęgami opadającymi ku rzece i pogryzając trawę niby świętej pamięci Bucefał. Tymczasem Duendain gdzieś się zawieruszył.

Po prawdzie, rycerz sam mu na to zezwolił. Niech giermek rozejrzy się tu i ówdzie, przyniesie jakieś świeże nowiny, a może i trochę łupów wojennych zdobytych na wraźych Galach. W czasie wędrówki szybko doszli do porozumienia, że krzewić trzeba przyjaźń miast i obywateli Florencji oraz Wake z pominięciem wszelkich innych nacji i grodów.

Słońko przygrzewało, filozoficzne dywagacje absorbowały Fillegana w sposób przyjemnie wspomagający trawienie. Był już blisko sformułowania teorii łączącej strukturę klasycznego sonetu z pozazmysłowym postrzeganiem bytu jako parcia na rzeczywistość, gdy naraz usłyszał jakiś skrzeczający głos. Nawoływał go po imieniu. *Nająłem kretyna* – westchnął w duchu.

– Duendain! – prychnął, zrywając się z ziemi i otwierając oczy. – Psia twoja mać, dlaczego mi przeszkadzasz, pytam?!

Giermek, stojący na skraju łąki, zdradzał podniecenie, jakby zażył hiszpańskich proszków miłosnych.

– Jest interes do zrobienia, panie! – odkrzyknął.

Fillegan powinien być wściekły, że ktoś przerywa mu pracę nad teorią, która wyniesie filozofię na niedostępne jej dotąd wyżyny intelektualne. I zasadniczo był wściekły jak cholera. Z filozofowania wyżyć się jednak nie da, Duendain zaś poza umiejętnością pozyskiwania cudzych kur zdradzał też smykałkę do interesów. A przecież w dłuższej perspektywie zdecydowanie należało postawić na umiejętność pozyskiwania gotówki, i to w dodatku całkowicie legalnymi sposobami.

– Po pierwsze – rzekł, na krok podchodząc do Duendaina – naucz się, że o pieniądzach nie należy krzyczyć! – Dla podkreślenia lekcji otwartą dłonią palnął giermka w potylicę, lekko, acz boleśnie. – Wrzeszcz o pomoc, jeżeli musisz, ale o pieniądzach milcz jak grób, jeśli nie chcesz ich stracić.

– Po drugie, na razie nie umiesz ocenić, czy to korzystna transakcja, a tylko taka zasługuje na miano interesu. – Kolejną cenną uwagę rycerz podkreślił mocnym szczypem w kark.

Giermek pospiesznie skierował się ku zapleczu gospody, gdzie mieściły się budynki gospodarcze.

– Czeka na nas w stajni, panie. Znaczy, ten człowiek – dodał, przezornie odskakując na bezpieczną odległość. Nauka nie szła przecież w las.

Myśl, która z bytu potencjalnego przeszła w byt realny, czyli zaistniała w umyśle Fillegana, miała nader ponury charakter. Albowiem rycerz wątpił w to, czy w oberży znajdzie się choćby pięć niewyszczerbionych kufli, a cóż dopiero spodziewać się dobicia tu korzystnego targu albo dokonania jakiegoś innego, równie opłacalnego interesu. Stajnie świeciły pustkami, co bardziej majątni podróżnicy omijali zajazd szerokim łukiem. Woleli Serce Rozkoszy, wielką trzypiętrową kamienicę w samym centrum miasteczka. Wachlarz usług był tam znacznie szerszy, choć ceny dwa razy wyższe.

– W stajni, dobrze zrozumiałem? – upewnił się rycerz.

Chłopak nie czekał na bardziej bolesny sposób wyrażenia wątpliwości, ruszył przodem. Rycerz, chcąc nie chcąc, podążył za nim.

Przy wejściu nie kręcił się żaden koniuszy czy inny pomagier. Giermek pchnął wrota i weszli do środka, momentalnie tracąc wzrok. Słuch jednak nadal dobrze służył Filleganowi. Szybko wymacał rękojeść miecza, z którym nigdy się nie rozstawał, bo w ciemnościach szeleściło i chrobotowało coś znacznie większego od zwykłej myszy albo szczura.

Po chwili wzrok przyzwyczaiał się do półmroku i wtedy dostrzegł postać skrywającą się za jednym z drewnianych filarów.

– To on. – Duendain wskazał palcem.

– Po trzecie, nie pokazuje się palcem. – Rycerz nie zdążył uderzyć chłopaka, bo ten przezornie znów się cofnął, słysząc pierwsze słowa nauki.

Tajemniczy osobnik wysunął się z ciemności, przystając pośrodku stajni. I wtedy Fillegan zobaczył kłopoty, cudze tym razem. Nieznajomy twarz miał bladą, wymizerowaną duchową lub cielesną boleścią. Z jego oczu wyzierała gorączka.

– Tyś jest tym magiem, panie? – spytał półgłosem.

– Ciiiiszej! – syknął rycerz, rozglądając się, czy ktoś nie podsłuchuje. – Oszalałeś?!

Mężczyzna zrobił przeczący ruch głową, podchodząc bliżej.

– Jestem Jos Perdigan, panie, kupiec. I nie oszalałem, tylko jestem w rozpacz.

Na usta Fillegana wypłynął blady uśmiech. Jedyne wprawne oko dostrzegłoby w nim coś niedobrego, zwiastun nadciągającego okrucieństwa.

– Kupiec Perdigan... – mruknął przeciągle, kładąc akcent na pierwsze słowo. – No proszę, kupiec... – powtórzył z lubością. – A ja jestem Fillegan z Wake, o czym zapewne wspomniał ci mój giermek. Przy okazji dorzucił

pewnie sporo kłamstw, ale musisz mu wybaczyć, ma słabość do konfabulacji.

– Panie, wybaczcie, że się naprzykrzam – rzekł zmęczonym głosem mężczyzna – jednak szkoda czasu na te ceremonie. Ja przyszedłem po pomoc i czyście mag, czy przeorysza zakonu klarysek, który stoi pod lasem po przeciwnej stronie miasteczka, to mi wszystko jedno. Byle ratunek uzyskać.

Fillegan obrzucił go badawczym spojrzeniem, potem przeniósł wzrok na Duendaina, który zaczął topnieć niby wosk i jakby zanikać. Aż całkiem się rozpułynał, oddalił niepostrzeżenie, gdy tylko jego pryncypał na moment spuścił go z oczu.

– No to chodźcie stąd, panie – zgodził się wreszcie rycerz – zażyjemy grzańca, porozmawiamy...

Perdigan skrzywił się nieznacznie.

– Bezpieczniej będzie pójść na łąki, panie – wyznał. – Lepiej, żeby cię nikt ze mną nie kojarzył.

Rycerz spojrzał nań z ukosa, zaskoczony. *Niech no tylko Duendain się pojawi w zasięgu ręki, już ja mu udzielę nauk – pomyślał. – O tym szczególnie łapserdak wspomnieć nie raczył!*

– Niepotrzebne mi kłopoty – mruknął posepnie. – Nasmakowałem się ich dosyć.

Później jednak żądza wzięcia odwetu za swoje upokorzenia, od Ayermine'a, przez Carcassiana, aż po wszystkich kupców, których na swej drodze spotka w przyszłości, zwyciężyła.

– Dobra, porozmawiamy. Ale niczego nie obiecuję, rozumiesz?

* * *

Ćwiczenie czyni mistrza, więc w przekradaniu się, ukrywaniu i temu podobnych zabiegach Fillegan był naprawdę dobry. A w każdym razie

znacznie lepszy od kupca. Ten, kiedy uciął go zwykły koński giez, narobił hałasu, jakby napadł na niego zionący ogniem smok albo stugłowa hydra. Cudem tylko nikogo nie zwabił.

Wreszcie jednak oddalili się na tyle, że z zabudowań oberży nie można było ich wysledzić, przesłoniły ich wysokie trawy i zarośla. Fillegan zaczął się rozglądać w poszukiwaniu wygodnego miejsca do dyskusji. Perdigan ciągnął go jednak dalej, w gęste chaszczce na brzegu rzeki.

Rycerz, choć robił minę znudzonego światowca, w głębi duszy był jednak coraz bardziej zaintrygowany. Za takim zachowaniem musiała kryć się jakaś straszliwa potrzeba. Ale jaka? – zachodził w głowę, spoglądając na zdenerwowanego Perdigana.

Wreszcie kupiec wypatrzył w porastających brzeg rzeki trzcinach wygniecioną przez kogoś kolistą pustkę. Pośrodku leżało kilka okorowanych pni ustawionych w kwadrat i tworzących wygodne siedziska. Chwilę czujnie nasłuchiwał, ale tylko wiatr przeczesywał łągi, szeleszcząc uspokajająco, w unisono z pluszczącym w dole strumieniem. Usiedli.

– No to mówcie, panie kupiec – zachęcił Fillegan. – Może nie jak do maga, ale jak do spowiednika. Ręczę słowem, że dochowam tajemnicy.

Jos Perdigan przetarł twarz ręką, westchnął ciężko.

– Sprawa jest prosta – zaczął. – Z Ravissaint, gdzie mieszkam i prowadzę interes, przybyłem do tego miasteczka, aby pojąć za żonę niejaką Orrifleminę Lagrange, córkę tutejszego kupca. Kochamy się i wszystko zmierzało ku dobremu, póki rzecz nie oparła się o jej ojca, nędzną kreaturę, którego poprosiłem o rękę Orri. Wybaczcie, panie, ale nie potrafię mówić o nim inaczej, skoro dla pomnożenia własnych zysków woli ją wydać za Dufourque'a, bogacza z pobliskiego Le Proix, niż oddać mnie. Ten Dufourque to prawie starzec, w dodatku słynący z konfliktów na całą

okolicę. Trzy żony przeżył, bijąc, zniesławiając i doprowadzając nieszczęsne do śmierci z choroby lub własnej ręki...

Perdigan zmełł w ustach przekleństwo, po czym kontynuował:

– A kiedy ojciec Orri usłyszał, że ona za Dufourque’a wyjść nie chce, prędzej ucieknie ze mną nawet bez rodzicielskiego błogosławieństwa, wiecie, panie, co zrobił?

– Wściekł się? – rzucił lekko rozczarowany Fillegan. Nie taką sobie wyobrażał historię...

– To przecież jasne. – Kupiec machnął ręką. – Nie, on próbował napuścić na mnie inkwizycję, posługując się jednym z tutejszych proboszczów, konkretnie zaś Marceau. Temu jednak jako obiekt prześladowań bardziej spodobała się dziewczyna. I ku osłupieniu starego Lagrange’a oraz mojej rozpaczony to właśnie ona została przez Marceau oskarżona o rzucenie na mnie czarów i uprawianie herezji! Od wczoraj nieboga siedzi w domowym areszcie, tyle ubłagał ten łajdak mieniący się jej ojcem, że nie poszła do lochu. A proboszcz zapowiada, że słać będzie do biskupstwa po inkwizytora... – Westchnął ciężko. – Słyszałem, jak w zajeździe wasz giermek chwalił się, że służy u możnego i ustosunkowanego pana... w drodze zaś dodał, żeście mag potężny... i pomyślałem, że może... – Perdiganowi głos się załamał.

Fillegan wzruszył ramionami.

– Duendain plecie, co mu ślina na język przyniesie, mówiłem przecież. Zajmuję się rycerskimi sprawami, nie ratowaniem czarownic. Nie ten departament, rozumiesz...

– Orri nie jest czarownicą! – zachnął się kupiec. Wstał z impetem, przesuwając swój pień. Na odsłoniętej trawie błysnął metal. Zaciekawiony Fillegan pochylił się i odgarnąwszy źdźbła turzycy, odsłonił niewielki, rdzawo pobłyskujący sztylet.

– Tu wszyscy się boją Marceau, panie – ciągnął tymczasem Perdigan z rozpaczą. – A ty jesteś obcy i mógłbyś ją uratować. Mógłbyś spróbować przynajmniej... Zapłacę.

Rycerz obracał w rękę znalezione. Pod palcami czerwień złuszczyła się, nie pozostawiając nadżerek w stali. Dopiero wtedy domyślił się, że to zaschła krew.

– A ty się nie boisz? – Przeniósł wzrok na swego rozmówcę.

– Panie, ja ją kocham. I jestem gotów na wszystko...

Naraz obaj usłyszeli głośny plusk nad rzeką. Kupiec natychmiast dał nura w zarośla, sprawdzić, kto podsłuchuje.

– To tylko skaczniczka – oznajmił, wyłoniwszy się po chwili z gęstwiny, oddychając z ulgą. Usiadł na pniu. – Łowi owady ze zwieszających się nad wodą gałęzi.

Fillegan spoglądał na niego w zadumie. W jego głowie zarysował się pewien plan.

– Jesteś gotowy na wszystko, jak twierdzisz – rzekł wreszcie. – Skoro tak, wyrwę twoją wybranekę z łap tego proboszcza i oddam tobie, żebyś mógł popełnić największy błąd w swoim życiu. Przyjdzie mi jednak zaryzykować głowę, a tego nie lubię...

W oczach Perdigana pojawił się nieśmiały błysk nadziei.

– Majątek. Cały – ciągnął przez zaciśnięte zęby Fillegan. – Nie wiem, ile tego jest, i w tej chwili nie chcę wiedzieć, zauważ łaskawie. Ale cały. W sakwie mam inkwizytorskie papiery, nie trzeba będzie się wspierać magią.

– Jakże to? – wydusił z siebie po dłuższej chwili Perdigan. – Cały majątek?

Fillegan w milczeniu obracał sztylet, szukając jakichś znaków. Nie było żadnych, poza wydrapanym na prostym jelicu „C”, ale tak koślawo, że

równie dobrze mogła to być rysa na przykład po silnym uderzeniu w wypukły guz na zbroi.

– Na mnicha nie wyglądacie. – Kupiec widać ochłonął z pierwszego szoku, bo przeszedł do badania możliwości swego ewentualnego wybawcy.
– Tonsury też nie nosicie. To skąd papiery?

Rycerz tylko skrzywił usta w cierpkim uśmiechu. Papiery pochodziły z pracowni ojca Bonaventury z Limoges. Stare mniszysko, zacny franciszkanin, do większości inkwizytorów, owych psów Pańskich, czuł wielką odrazę nie tylko w imieniu swego zakonu, ale i swoim własnym. A jak się kiedyś razem zapuścili w teologiczne winnice, to tak się zachwylił interpretacjami rycerza, że następnego ranka z własnej inicjatywy wyskrobał mu odpowiednie dokumenty. Choć może był po prostu heretykiem, bawiło go wystawienie ich świeckiemu? Tego Fillegan nie dociekał, zadowolony z interesującego pergaminu. A teraz pismo mogło się przydać, na pohybel gorliwcom, psom i głuptakom.

– Papiery mam, bo mam, nie twoje zmartwienie – uciął krótko. – Moja inkwizycja jest legalna, choć się z nią nie obnoszę, Perdigan, nie o tym mowa. Majątek. Twój. Cały – podkreślił trzy ostatnie słowa.

– Okrutnyś, panie – niemal bezgłośnie szepnął kupiec.

– Łaskawy – poprawił Fillegan z wilczym uśmiechem. – Bo co ci po majątku, kiedy stracisz dziewczynę, powiedz? Odkupisz ją od cmentarnych duchów? Jak miłość, to miłość, ona nie uznaje żadnych kompromisów. Ja też nie. Nadstawię głowy, chcę godziwej zapłaty. Bo jak się coś nie uda, wiesz, że mogę stanąć na stosie obok twej ukochanej?

Perdigan niechętnie skinął głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

– A jak Orri nie zechce golca?

– Znaczy, nie kochała. – Fillegan wzruszył ramionami. – Ryzyko spore, ale wybór twój, bo przecież możesz sobie przygruchać inną. A łapówki próbowałaś, zanim przyszedłeś do mnie, i myślę, że Marceau okazał się nieprzekupny. To jak będzie?

Perdigian oddychał jak ryba wyjęta z wody. Bładł i czerwieniał na przemian.

– Ten diabeł, dla niepoznaki ubrany w duchowną suknię, chce mieć widowisko, które rozślawi miasteczko na całą Prowansję... – przyznał wreszcie. – Ale całego majątku nie oddam, za nic. Z czego będę żył, z czego nowy interes założę? Połowę gotów jestem poświęcić. A jak wam nie pasuje, to mnie lepiej tym sztyletem przebijcie. – Ponuro spoglądał na ostrze w ręku Fillegana.

Rycerz prychnął tylko.

– Dziesięć procent ci zostawię. Bez targów, ja wcale nie muszę nikogo ratować... A bo mi to źle, tak sobie siedzieć, o filozofii rozmyślać?

– Zgo... – zająknął się kupiec, odchrząknął, jakby coś utkwilo mu w gardle. – Zgoda, niech to szlag – rzekł z rezygnacją. – Ale co z gwarancjami?

Rycerz tylko się roześmiał sarkastycznie.

– Perdiganie, zanim wysupłasz z sakiewki choćby jedną złotą monetę, wcześniej muszę wyrwać tę twoją Orri z łapsk wspomnianego tu proboszcza Marceau. A więc to ja powinienem żądać gwarancji. Nie zrobię tego, bo tu nie słowo się liczy, tylko... – Tu Fillegan rozejrzał się, bo rzeczywiście lepiej było nie mieć świadków tej rozmowy.

– Muszę ci coś powiedzieć na ucho. – Przywołał rozmówcę skinięciem, a gdy ten się pochylił, szybko rzekł mu do ucha: – Rumpa pumpa tatumpa bum! Trak siak i mak! – A gdy oburzony mężczyzna odskoczył, Fillegan wyjaśnił:

– Małe zabezpieczenie. Jeżeli nie dotrzymasz obietnicy, za dwie niedziele zamienisz się w wielbłąda. Wiesz, co to wielbłąd? – Przerażony nieszczęśnik skinął głową, a rycerz z drwiącym uśmiechem kontynuował:

– Istnieje kontrzakęcie, ale tylko ja je znam. Trzy lata nad nim pracowałem, bardzo długie trzy lata... Nie masz co szukać drugiego magadromaderyty, w naszym fachu obowiązuje ścisła specjalizacja.

Perdigan stał wstrząśnięty i przytłoczony biegiem spraw. Oburzenie i strach mieszały się w jego umyśle z nadzieją.

– To co, jesteśmy umówieni? – Fillegan także wstał i zrobił kilka kroków w stronę zajazdu, bo trzeba było zacząć od porządnego posiłku, obmyślenia jakiejś linii ataku, a wreszcie wyspania się, zanim stanie jutro przed tutejszym wymiarem sprawiedliwości. – A ładna chociaż ta twoja Orri?

Kupiec na dźwięk imienia swej ukochanej sięgnął po medalion na piersi.

– No, jeśli malarz nie był pijany, rzeczywiście warta fortunę – przyznał Fillegan po dokonaniu lustracji. – Pocieszyłeś mnie: przynajmniej nie nadstawię głowy dla byle poczwary. Daj mi to cacko, może się przydać.

* * *

Dobiegało południe i skwar robił się coraz większy. Rycerz w swoim świeżo wypranym kaftanie czuł się jak suszona rodzynka. Biły dzwony obu kościołów, kiedy wolnym krokiem zmierzał w stronę magistratu, gdzie miał nadzieję spotkać burmistrza.

Chwilę wcześniej, dokładnie na wprost Serca Rozkoszy, przeżył krótką, trwającą mgnienie oka wizję, w której ujrzał dwie walące się w gruzy wieże, wysokie niby Babel. Nogi mu zmiękły, ale wstyd było upaść na rynku. Tym bardziej że przygodni gapie pewnie by go wzięli za jakiegoś ochlapusa, który właśnie wyszedł z oberży. A przecież zamierzał odegrać rolę Wielkiego Inkwizytora.

Westchnął ciężko i pchnął dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do wnętrza budynku. Pomysł uwolnienia dziewczyny i zdobycia tanim kosztem kupieckiego majątku już nie wydawał mu się tak fantastyczny jak wcześniej, za to perspektywa miejskich kazamatów i suchego chrustu przybliżyła się znacznie. Zwłaszcza że w sprawie przeprowadzenia samego procesu wciąż miał mętlik w głowie. Jedno popołudnie nie wystarczyło do obmyślenia rozsądnej strategii.

W asyście strażników stanął przed Vielliardem, burmistrzem miasteczka, niskim, korpulentnym mężczyzną obdarzonym przez naturę łysiną, a przez królewskich urzędników złotym łańcuchem na piersi.

– Co sprowadza? – spytał burmistrz jowialnie, oceniwszy, że przybyłego należy traktować z szacunkiem. – Usiądźcie, panie. Upał nieznośny, nóg szkoda.

Rycerz z ulgą spoczął na stołku i położył przed burmistrzem pergamin od ojca Bonaventury. Vielliard odruchowo rzucił okiem na podsunięte pismo i... zauważalnie zdrętwiał. Doczytał do końca, starając się nie okazywać zdenerwowania, chociaż czerwone plamy na jego pulchnej twarzy dowodziły czegoś przeciwnego. Wreszcie odsunął od siebie papier, skinieniem palca przywołał jednego ze strażników, coś mu szepnął do ucha. Ten prawie biegiem rzucił się do wyjścia.

– W dobrą godzinę przybyliście, panie inkwizytorze, bo akurat mieliśmy słać do biskupstwa... Lecz, wybaczcie śmiałość, nie jesteście chyba duchownym?

Fillegan wyduł usta w lekceważącym grymasie. Spodziewał się tego pytania.

– Teraz już wszyscy heretycy wiedzą, że duchownych należy się wystrzegać – odparł, wygodniej rozpierając się na stołku. – Tonsura, mnisia suknia, skłonność do wywodów mających wciągnąć delikwenta w gąszcz

dogmatycznych pułapek... Nie, burmistrzu, to się przeżyło, teraz takie metody to jak ostrzegawcze bicie w dzwony. Trzeba wyłapywać tych bezbożników sposobem... I biskupi poszli po rozum do głowy, zaczęli wydawać uprawnienia ludziom świeckim, sprawdzonym w teologicznych bojach. A chyba nie zamierzacie, panie, kwestionować wiedzy i wiary biskupiej? – Spojrzał chłodno na burmistrza, dokładnie tak, jak postąpiłby – nagle zmieniając temat i sposób prowadzenia rozmowy – prawdziwy, wyuczony inkwizytor.

Vielliard uśmiechnął się nieszczercze i już chciał coś wyjaśnić, gdy naraz drzwi otworzyły się z łomotem i do środka wpadło dwóch strażników dźwigających dzbany z winem, tace z jedzeniem i stertę papierzysek w roli deseru. Burmistrz odczekał, aż wszystko zostanie ustawione na stole, i dopiero uczyniwszy gest zapraszający do biesiady, rzekł:

– Ja tam jestem ugodowy człowiek, w wyższe sprawy się nie mieszam. Wina? – Nalał niebezpiecznemu gościowi ciemnego płynu do kielicha, po czym podjął:

– Gorzej ci pójdzie, inkwizytorze, ze starym Marceau, bo ten nie tylko w swojej parafii, ale wręcz w całym miasteczku rządzić chciałby niepodzielnie, ciągle się o coś ze mną wyklóca. Może nie uszanować autorytetu newspartego suknią. A właśnie, tak między nami świeckimi – burmistrz pochylił się w stronę swego rozmówcy, niby to przysuwając talerz z kawałkami gotowanej szynki – dałoby się osadzić go trochę, przyciąć nadmierne ambicje? Wracając zaś do sedna sprawy – kontynuował, jakby poprzednia kwestia dotyczyła plagi komarów, niewarta była wspomnienia – będzie problem, bo nasze miasteczko małe, ledwie półtora tysiąca dusz, i kata własnego nie mamy, nie byłoby go za co utrzymać. Jak potrzebny, sprowadzamy z Higuet, razem z pomocnikiem. Tylko to kosztą... Słać po niego?

Fillegan zaprzeczył ruchem głowy.

– Są różne metody dobywania prawdy, Vielliard. Większość z nas woli bezpośredni kontakt, ja jednak zwykłem posługiwać się metodami mniej inwazyjnymi, raczej psychologicznej natury. Jeśli potrzebne będą fizykalia, tymi sam się zajmę...

– A pewnie, dziewczka piękna jak marzenie... – przytaknął burmistrz. W połowie zdania pojął jednak, że się nieco zagalopował i szybko zmienił temat.

– Nigdy nie mieliśmy tu heretyków, to spokojne miasteczko. No, raz się zdarzyło, dawno temu, przejechał biskup z inkwizycyjnymi obwieszczeniami, ktoś tam dobrowolnie wyznał winy i przez rok nosił tabliczkę. Teraz Marceau koniecznie chce dorównać legendzie, a że tamta niezbyt imponująca, liczy, że ją przebije...

Rycerz nie podjął tematu. Wrzucił do ust ostatni kawałek mięsiva.

– Aha, podróżuje ze mną uczeń, Duendain Capodimonte... – rzekł niewyraźnie.

Nie musiał mówić nic więcej, Vielliard ze zrozumieniem skinął głową. Niejedno się mówiło o inkwizytorach i towarzyszących im orszakach – a co jedno, to bardziej straszne. Nie zamierzał robić niczego, co mogło go narazić na utratę synekury, jaką była posada w magistracie. Wręcz przeciwnie...

– A gdzie kwaterujecie, panie? – zainteresował się życzliwie. – Bo gdyby co, mam wolny domek na obrzeżach miasta. Cisza tam i spokój...

Fillegan pomyślał o niezbyt czystym zajeździe Pod Piątym Kuflem i pustoszejącej sakiewce.

– Chętnie skorzystam z propozycji, burmistrzu. Przyślę chłopaka, wieczorem chciałbym się zakwaterować. A na razie odwiedzę waszego słynnego proboszcza.

* * *

Kościół proboszcza Marceau wznosił się ponad domami miasteczka niby kwoka przy kurczętach. Dominował ponad ciasnym rynkiem, rzucając ciężki cień na rozchodzące się uliczki. Była to budowla tyleż wielka, co i pokraczna. Architekt zapewne miał w planach wzniesienie czegoś na kształt katedry. I nawet chyba coś tam słyszał o sposobie, w jaki dźwiga się je ku niebu. Problem w tym, że jeżeli nawet, to jego informatorami byli barbarzyńcy ze Wschodu, a widać, że jakoś nie udało mu się znaleźć z nimi wspólnego języka. Dwie wieże od strony rynku zachowywały strzelistość typową dla takich budowli, były smukłe, obrośnięte pinaklami – stanowiły prawdziwy akt wiary. Trzy nawy i zbierający je chór na przeciwległym krańcu osadzone zostały natomiast w konstrukcji topornej, przysadzistej, jakby całość rzezał w drewnie głupi Jasiek, nie zaś z cegieł i kamienia wznosił mistrz kamieniarski, któremu uczciwie zapłacono za kunszt i wysiłek.

Stojąc przed tym koszmarem i podziwiając równie okropny i pozbawiony gustu tympanon z rzeźbami o niedającej się rozpoznać treści, Fillegan zastanawiał się nad zjawiskiem genius loci. Jak bowiem wyczytał we wspomnieniach Tytanusa z Wake, jednego ze swych znamienitych przodków, zdarzały się miejsca, w których geniusz zdawał się ujawniać w każdym urodzonym tu człowieku – ale i takie, gdzie nie tylko miejscowi od dnia narodzin zdają się być kretynami, także napływowi szybko przesiąkają miejscowymi fluidami i z czasem głupieją ze szczerem. Za przykład podawał autor zapisków dzieje dwóch osad: Wake – gdzie nie tylko sam Tytanus, także boczne linie drzewa rodowego wspinały się ku światłu sławy z niespieszną konsekwencją, co na przestrzeni dwudziestu pokoleń miało dać Anglii króla lub co najmniej wybitnego artystę z tego rodu, jak prorokował pradziad Fillegana – oraz pobliskiego Heathrow, które słynęło

jedynie z karczemnych burd i ryków zakłócających spokój całej okolicy, i nic nie zapowiadało zmiany na lepsze.

Proboszcza Fillegan znalazł w jego domu, niemal przytykającym do chóru. Gospodyni zaprowadziła gościa do pokoju, w którym – jak oschle stwierdziła – Marceau poszukuje natchnienia i łaski bożej, by lepiej znosić trudy życia pośród tak niedoskonałej trzódki.

Duchowny okazał się mężczyzną niezbyt młodym, za to nadzwyczaj dbałym na punkcie swej urody. Nie potrafił się powstrzymać od gładzenia podbródka gestem niby to zamyślonym, a w gruncie rzeczy pełnym próżności. Wiedział już o pojawieniu się inkwizytora. Wskazał przybyszowi krzesło stojące pod ścianą, odsunął na bok jakieś papiery.

– Spodziewałem się twojej wizyty, inkwizytorze – rzekł z niechęcią, gdy gość dostawił krzesło do stołu. – Czyżby w naszej owczarni zabrakło już pasterzy, że musimy się posiłkować świeckimi?

– Nie wszyscy się nadają – odparł zimno Fillegan. – Część hołduje okrutnej zabawie, innym nie staje intelektu.

Marceau skrzywił się ironicznie, zabębnił palcami po blacie.

– A niektórzy lubią pieniądze i biorą je od byle kogo.

Rycerz roztargnionym spojrzeniem obrzucił izbę, rejestrując trzy lustra różnej wielkości, stos pachnideł oraz kilka przyrządów poprawiających urodę, w tym najnowszy krzyk mody duchownej: kolisty depilator tonsury o zmiennym rozstawie ostrza, znacznie lepszy od brzytwy, choć bardziej skomplikowany w użyciu.

Wzmiankę o pieniądzach Fillegan odebrał osobiście. Nie miał jednak na nią dobrej riposty. Biskupi rzeczywiście kochali pieniądze. On także składał hołdy złotemu cielcowi, inaczej przecież nie wdałby się w tę ryzykowną historię.

– Niemniej poprowadzę przesłuchanie i ewentualny proces – oznajmił stanowczo. – A jutro spotkamy się wszyscy, uzgodnimy co i jak. Jeszcze was powiadomię, na razie chciałem tylko poznać.

I naraz, jakby sam Bóg w swej łaskowości uznał proboszcza Marceau za durnia, spłynęło na Fillegana olśnienie. Spojrzał na jego papiery, potem przeniósł wzrok na samego księdza.

– Znasz, ojcze, dominikanina Bernarda Gui? – zagadnął.

Marceau skinął głową.

– Tylko ze słyszenia. Wybitny intelektualista, nie to, co świeccy uczeni...

Fillegan z zadowoleniem przyjął tę odpowiedź, bo podobnej właśnie się spodziewał.

– Widzisz. Rozmawiałem z nim niedawno na temat sztuki inkwizycyjnej. Pracuje nad dziełem, w którym zamierza wyłożyć wszystkie aspekta kunsztu inkwizytorskiego. Odpis wyjątków mam w pokoju i jasno tam dowodzi, że...

– A mógłbym zajrzeć? – przerwał mu proboszcz. – Może czegoś bym się nauczył, na przyszłość lepiej rozpoznawać i tępić herezję...

Rycerz w duchu przeklął olśnienie, które – po skutkach sądząc – mogło pochodzić jedynie od diabła. Niechętnie skinął głową.

– Przyniosę na spotkanie. Na razie idę odwiedzić Bonettiego. – Westchnięcie, jakie z siebie wydobył, nie miało jednak wiele wspólnego z proboszczem drugiego kościoła w miasteczku, lecz z własną głupotą. W złą godzinę przyszedł mu ten Gui.

Marceau skrzywił się z niesmakiem.

– Do niego nie masz po co iść, panie – odparł lekceważąco. – Jego kościół z dala i on tak też stara się trzymać od spraw ziemskich. Może w ogóle nie zechce zaszczycić nas swoją obecnością? Sam się przekonasz, że teologicznie człek to nieobyty, od rozumienia wyższych problemów daleki.

Jego kazania sięgają nieba, ale gdyby je głosił bliżej biskupiego dworu, mógłby skończyć na jakiejś pogańskiej misji niczym ów Wojciech, co to nawracać chciał Prusów słowem, a oni go nawłóczyli... włóczyniami.

W tym jednym akurat Marceau się nie pomylił: krótka wizyta u Bonettiego okazała się jałowa jak związek raka z kormoranem. Proboszcz sucho oznajmił, że jeżeli jego obecność jest niezbędna, stawi się z pokorą należną słudze bożemu. Chciałby jednak, żeby jego rola do tego się ograniczyła. W samym procesie ani bronić, ani tym bardziej oskarżać nie zamierza.

* * *

Teraz wreszcie Fillegan mógł przyjrzeć się dziewczynie, od której zaczęła się cała ta afera. Lagrange długo nie chciał go wpuścić, wreszcie z niechęcią uległ i zaprowadził inkwizytora do izby, w której oczekiwała go nieszczęsna ofiara proboszcza Marceau.

Podświadomie spodziewał się zastraszonej, zapłakanej, bladoliciej dziełatki. Zgodziło się tylko to ostatnie. Burza kasztanowych włosów okalających jej jasną, szczupłą, nieco pociągłą twarz tylko podkreślała gniew płonący w ciemnych, piwnych oczach. Malarz, który sporządził Perdiganowi medalion, nie był ostatnim fuszerem, niemniej, mając pierwowzór przed oczyma, Fillegan nisko ocenił jego umiejętności. Dziewczyna była piękna, choć nie był to ów eteryczny, zjawiskowy, nieco sztuczny typ urody, uwagę przykuwał raczej magnetyzm charakteru emanującego z rysów oraz mimiki.

– Ażeby cię zaraza zjadła! – syknęła na widok nieproszonego gościa. Widać ojciec uprzedził ją, z kim ma do czynienia.

Rycerz spojrzał na dziewczynę, potem na jej ojca.

– Chcę z nią zostać sam na sam – zażądał.

Było widać, że Lagrange powstrzymuje się przed próbą morderstwa, podobnie jego córka. Kątem oka Fillegan dostrzegł, jak się sprężyła i zacisnęła zęby.

– Twoja wola, inkwizytorze – mruknął wreszcie niechętnie stary. Wyszedł, z hukiem trzaskając drzwiami. Można było się założyć, że podsłuchuje.

Rycerz nachylił się do dziewczyny, ujmując jej dłoń. Orri szarpnęła się, ale mężczyzna trzymał mocno. Zaraz zresztą przyciągnął ją ku sobie, żeby nie musiał krzyczeć.

– Przysłał mnie Perdigan – szepnął, równocześnie głośno mówiąc: – Jestem inkwizytorem i zamierzam zbadać, czy oskarżenia o herezję i uprawianie czarów są prawdziwe. – Cicho: Spróbuję cię ocalić. – A głośno: – Jeżeli są, spłoniesz na stosie.

Orri zamilkła. W jej oczach zdumienie mieszało się z nadzieją, przyprawione podejrzeniem, że to jakaś inkwizytorska sztuczka. Jej twarz rozjaśniła się dopiero na widok medalionu Perdigana, który Fillegan pokazał, aby rozwiać wątpliwości dziewczyny.

Rycerz w geście otuchy ścisnął jej dłoń, na głos zadał jeszcze kilka typowych dla inkwizytora pytań, równocześnie szeptem udzielając instrukcji, jak ma się zachowywać w czasie procesu. Wreszcie ruszył do drzwi.

Stary Lagrange niecierpliwie wędrował po ich drugiej stronie, żłobiąc w podłodze głębokie koleiny zdenerwowania.

– I jak? Da się ją uratować? – spytał, odprowadzając Fillegana do wyjścia.

– Jako rycerz powiem, że masz piękną córkę. Jako inkwizytor... że będę miał sporo pracy.

* * *

Z twarzy Perdigana można było czytać jak z książki, choć byłby pewien kłopot z przewracaniem kart, bo kupiec zatrzymał się na stronie oznaczonej „nadzieja”. Siedział nad winem w Pod Piątym Kuflem i na widok Fillegana poderwał się tak energicznie, że mało nie przewrócił stołu.

– Duendain już cię, panie, przeprowadził do domku. A ja tu czekam...

– Znasz drogę, to prowadź. Nie ma co marnować czasu – stwierdził rycerz, wzdychając ciężko. – Muszę się przygotować, żeby sprawy nie poszkapić, a jeszcze niepotrzebnie przeszarżowałem – tu zaklął paskudnie – opowiadając Marceau, że mam papiery od Bernarda Gui. Muszę się przyłożyć, żeby to, co wyprodukuję, choć blado przypominało jego pisma. A nie będzie to łatwe...

– Księgi mogą ci pomóc? – spytał z wahaniem Perdigan.

– Zależy jakie. – Rycerz wzruszył ramionami. – Zawsze łatwiej przepisywać, niż od zera tworzyć. Ale przecież pism Bernarda tam nie znajdziesz, bo je sam wymyśliłem.

– Mam u siebie kufer pełen ksiąg, parę dni temu wziąłem jako spłatę starego długu – wyjaśnił kupiec. – Większość dziwna, nic z nich nie rozumiem. Przyniosę, a nuż się przydadzą?

Perdigan, mocno przejęty sytuacją, uważał chyba, że księgi nie tylko mogą pomóc, ale są wręcz niezbędne w procesie ratowania Orri. Ledwie wskazał Filleganowi mały parterowy domek, zaraz biegiem ruszył po owe tajemnicze dzieła.

Rycerz tymczasem zastukał w drzwi, płosząc giermka, który spał w większej z dwu izb.

– Duendain, od tej chwili przestajesz paplać, bo tu idzie o nasze życie, a pomocnik inkwizytora musi mieć opinię równie nieposzlakowaną, jak jego pryncypał. – Przysunął sobie stołek i zwrócił się do trącego oczy giermka: – Zaczynasz za to uważnie słuchać i czujnie się rozglądać. Lepiej, żeby

popiołami z naszych marnych zewłoków nikt nie użył okolicznych pól, rozumiesz? A na razie zorganizuj wszystko, co trzeba, do sporządzenia długiego pisma.

Chłopak gorliwie kiwał głową, już całkiem przebudzony.

– Da się zrobić, panie. – Znikając w drzwiach, zastanawiał się, czy nie porzucić rycerza, tracąc co prawda szansę na pasowanie, unikając jednak stosu. Doszedł wszakże do wniosku, że sytuacja nie zrobiła się jeszcze tak gorąca, żeby musiał uciekać.

Fillegan zaczął oglądać swoją nową siedzibę. Wkrótce też wrócił Perdigan, dźwigając kuferek. Postawił go pośrodku większej z izb i zdmuchując z ksiąg gęsty kurz, zaczął je wykładać na podłogę. Rycerz wziął do ręki pierwszy z tomów i zerknął na tytułową stronicę.

– A niech mnie dunder świśnie! – rzekł do siebie. Nie na wiele przydadzą się wyjątki z „Pax magica” do podrobienia pism Bernarda Gui. Chyba żeby posłużyły jako pretekst do oskarżenia go o uprawianie czarów...

– Nie skorzystasz z nich? – Kupcowi zrzęda mina. Nie takiej spodziewał się reakcji.

Fillegan wziął do ręki drugą księgę. Pismo Święte. Za to trzeci tom otworzył mu się na ilustracji przedstawiającej przywoływanie bean si, inaczej zwanej banshee albo badzi...

– Na pewno – powiedział, starając się, żeby jego głos brzmiał naturalnie.

Nie dodał tylko, że raczej nie do sfabrykowania pism wielobnego ojca. Po co denerwować prostego kupca?

* * *

– Takiego procesu, jaki tu sobie chcecie urządzić, panie, jeszcze nie widziałem – z niechęcią rzekł Marceau, drapiąc się przez sutannę w udo. Niechętnie wodził spojrzeniem po prywatnym pokoju burmistrza, w którym odbywała się narada. – Gdzie wielodniowe przesłuchanie, dające czas na

zakielkowanie strachu? Gdzie tortury, którymi wcześniej, nim pokażemy dziewczynę gawiedzi, wymusimy przyznanie się do winy? Ja protestuję! – dodał z irytacją. – Tak od razu urządzać publiczne widowisko? Nie odpowiada mi ten nowy styl! W dodatku mamy zatwierdzić wyrok pana inkwizytora, jakby sam nie miał własnego rozumu – sarknął. – Tego w ogóle już nie pojmuję.

Rycerz ze stoickim spokojem przeglądał swoje papiery. Burmistrz udawał, że śpi, choć spod przymkniętych powiek w pełni kontrolował sytuację. Bonetti był nie bardziej obecny, niż gdyby postawić w jego zastępstwie kukłę. Raz tylko się ożywił, w niemym zdumieniu patrząc na inkwizytora, gdy ten wypowiedział się stanowczo przeciw mękom.

– Wyrok wymaga zatwierdzenia, bo jego wartość ulegnie wzmocnieniu, jeżeli obaj duchowni w składzie trybunału podtrzymają orzeczenie. Rozmawiałem z oskarżoną, pytałem też ludzi – odparł teraz rycerz, spoglądając twardo na Marceau. – Szkoda naszego czasu na jałowe dociekania. Ja bym w ogóle z nich zrezygnował, co najwyżej dziewczynę poddał duchowej kurateli. Chcecie dowieść, że winna, to proszę, pozwalam...

Proboszcz wzruszył ramionami.

– Przecież to wasza rola. Ja wykazałem się stosowną czujnością.

Fillegan czuł, że ma dosyć tej rozmowy.

– Chcecie, to wezwijcie innego inkwizytora – rzekł. – Co prawda, źle się ta fatyga skończy dla tej ze stron, która niepotrzebnie wciągnie biskupstwo w drobną sprawę, ale proszę. Ponadto... – Tu stuknął w zastawiony stół, przy którym trwała narada. – Czytaliście, proboszczu, deliberacje Bernarda? Czytaliście. Wołami stoi: „Jeżeli badanie powierzone zostaje świeckiemu inkwizytorowi, niech używa metod świeckich, jemu znanych, aby tylko skutek był dla dobra bożego”. Macie coś do dodania?

Marceau z irytacją zacisnął zęby, poprawił pukiel włosów niesfornie opadający na czoło, skinął głową, ponownie burząc fryzurę.

– Jednak papież... – zaczął.

Rycerz nie dał mu dokończyć. Wstał, z rumorem odsuwając krzesło.

– Kwestionujecie doświadczenie i umiejętności największego spośród inkwizytorów chodzących po tej ziemi? Którego wspomniany tu Ojciec Święty w kwestiach inkwizytorskich sam zwykł prosić o radę?

Nie było to eleganckie rozegranie i Fillegan zdawał sobie z tego sprawę. Będzie miał w Marceau wroga. Tyle że i tak by miał, bo ich interesy były sprzeczne: podczas kiedy proboszcz chciał zobaczyć Orri skwierczącą na ogniu, na stosie szczap polanych wodą, żeby wolniej płonęły, on zamierzał ją z opresji wydobyć, kupca obedrzeć ze skóry i odjechać stąd na zawsze.

Nie mogło być przy inkwizytorskim stole dwóch równorzędnych autorytetów.

I proboszcz wreszcie to zrozumiał. Przyjezdny, powołujący się na znajomość z wielkim Bernardem, mający wgląd w jego pisma – to nakazywało ostrożność.

– Będzie po waszemu – zgodził się z ociąganiem. – Ale sami się przekonacie, że to heretyczka.

Wszystko było gotowe do rozpoczęcia przesłuchania, więc burmistrz nadał sprawom właściwy bieg, zachęcając do spożycia choć części darów złożonych na stole. Szczególny nacisk położył na dobra płynne, wietrzejące na powietrzu.

– A wiecie, proboszczu, skąd się wziął nakaz noszenia przez duchownych tonsury na czubku głowy? – zwrócił się po jakimś czasie rozluźniony Fillegan do Marceau, odstawiając kielich.

Ten wzruszył ramionami. Widać poczucie humoru nie należało do jego obowiązków, a spożycie sporej ilości szlachetnego trunku, którym

mieszkańcy przekupywali burmistrza, nie zmieniło tego stanu na lepsze.

– Dlatego, żeby Bogu łatwiej było wbijać wiedzę w te wasze zakute łby – wyjaśnił z łobuzerskim uśmiechem Fillegan.

Marceau skrzywił się tylko, Bonetti zakrztusił się rybką, lekko zaś podpity Vielliard zaśmiał się głośno i otwarcie. Rechotał, póki nie dotarło do niego, że inkwizytor kiedyś wyjedzie, a proboszcz pozostanie. Wtedy jego wesołość przeszła najpierw w pokasływanie, a później czkawkę.

Uciążliwą czkawkę, należy dodać. Dobre pół godziny burmistrz musiał się wysilać, by wszyscy zapomnieli o dowcipie inkwizytora i skupili się na jego nieszczęściu. Choć gdy ukradkiem spojrzął w pochmurne oczy Marceau, dostrzegł tam wciąż płonący ogień zemsty.

Rozdział drugi

Nie raz i nie dwa podszywał się Fillegan z Wake pod inkwizytora, aby uratować niewinne ciała i dusze przed torturą i ogniem stosu. Lecz pierwsze starcie miało charakter szczególny, wezwał bowiem na pomoc zarówno siłę bożą, jak i magiczną...

Hodia von Tuttenberg, ***Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata***

Zainteresowanie procesem przekroczyło wszelkie oczekiwania Fillegana. Publiczne przesłuchanie miało się odbyć w największej sali magistratu, ale chyba wszyscy mieszkańcy miasteczka zapragnęli obejrzeć upadek rodziny Lagrange – nim proces ruszył z miejsca, widownia zdążyła się zapchać niemal po sufit. Kiedy zemdlały pierwsze cztery osoby, w tym jedna na śmierć – a wszystko to wciąż przed rozpoczęciem rozprawy! – burmistrz zarządził przeniesienie przesłuchania na dzień następny, na rynek. Cieśle rzucili się do przygotowań, a tłum powoli wypłynął z sali, mimochodem tratując dwie babiny, winne jedynie chorobliwej ciekawości.

W cieniu tego cholernego kościoła – pomyślał z rezygnacją Fillegan – będę wygłaszać mowy na tle tympanonu ze straszidłami. Niech no jeszcze burza z gradobiciem nadejdzie, a ludzie sto lat będą wspominać tę katastrofę i ambicje Marceau spełnią się z nawiązką!

Miał jak najgorsze przeczucia. Wciąż mógł liczyć jedynie na własną elokwencję oraz zapas dykteryjek, nie zaś na siłę argumentów zdolnych odeprzeć oskarżenie. Księgi nie przydały się na nic, poza Pismem nie

znalazł tam żadnych dzieł teologicznych, przydatnych w jego sytuacji. *Trudno* – pomyślał z rezygnacją – *trzeba będzie improwizować. Ani to pierwszy, ani ostatni raz.*

Najpierw poszedł jeszcze raz porozmawiać z Orri, tym razem w asyście obu proboszczów i miejskiego skryby. Przesłuchanie dziewczyny nie było mu do niczego potrzebne. Pragnął jednak nadać sprawie pozór sprawiedliwości, jak dalece było to możliwe. Skoro Marceau chciał przesłuchiwać, a znalazł się na to czas, czemu nie? Dziewczynie uprzejme odpowiedzi przychodziły z niejakim trudem, widać było, że gdyby nie przestrogi Fillegana wydrapałaby oczy proboszczowi, a jego język rzuciła psom na pożarcie.

Wróciwszy do swego pokoju, dla odzyskania równowagi, zajął się księgami Perdigana. Skąd naprawdę kupiec je miał, rycerz wolał nie dociekać. Obok literackiego śmiecia, dominowały dzieła, w których nawet pobieżne wertowanie ujawniało fragmenty, hm, cokolwiek heretyckie w treści.

Dla przykładu weźmy tę grubą zieloną księgę, która niemal sama wślizgnęła się Filleganowi do ręki. Jeden z przytaczanych, niejaki Cyclerus, pisał: „Skoro Jupiter według wróżów udziela nam ostrzeżeń za pomocą piorunów, dlaczego tak wiele z nich marnuje na oceany, morza i pustynie, gdzie nikt ich nie zobaczy, albo na ludzi, którzy, jak ja, tylko się naigrywają?”. Cały traktat był, zdaje się, podważeniem istnienia bogów, którzy człowiekowi podpowiadają właściwą drogę poprzez znaki, sny i pisma uczynione natchnioną ręką.

Bardziej do gustu przypadła mu inna z ksiąg, cieńsza, za to znacznie bardziej praktyczna. Jej autor, Kabanossus z Lakke, prognozował, czy pacjent będzie żył: „Weź imię pacjenta, imię posłańca wzywającego lekarza i nazwę dnia, w którym posłaniec po raz pierwszy do ciebie przybył. Dodaj

do siebie wszystkie litery, to jest ich wartości liczbowe. Gdy wyjdzie liczba parzysta, pacjent nie przeżyje, gdy nieparzysta, będzie żył”. Na marginesie jakiś czytelnik poczynił szereg notatek świadczących, że w paru szczegółowych kwestiach prowadził ożywioną korespondencję z kilkoma co najmniej naukowcami.

Być może to zainteresowanie filozofią wyostrzyło Filleganowi precyzję myślenia, błyskawicznie bowiem doszedł do wniosku, że Kabanossus pominął jeden istotny aspekt diagnozy. Skoro wszystko w rękach, a właściwie imieniu posłańca – koniecznie trzeba mieć na podorędziu dwóch, odpowiednio o parzystej i nieparzystej wartości tego czynnika. Bo przecież imienia pacjenta się nie zmieni, ani dnia... A po cóż komplikować sobie sytuację, skoro nawet przy pomyślnej wróżbie pacjent może umrzeć?

Szybko doszedł do wniosku, że księgi jeszcze się przydadzą, rzecz jasna, jeżeli przeżyje proces. I zdoła ująć całość z miasteczka.

* * *

Następnego dnia nic już nie zakłóciło biegu spraw i rozprawa mogła się rozpocząć. Tłum zgromadził się wokół podwyższenia, drewnianego pomostu, na którym zasiedli wszyscy zainteresowani: burmistrz, proboszcz Marceau, Bonetti, samozwańczy inkwizytor, miejski skryba Japisheau oraz, naprzeciw, w pewnej odległości od przesłuchujących, Orriflemina Lagrange, ubrana w skromną ciemną suknię, nieco przypominającą włosiennicę. Nieco z boku, na kilku ławach, znalazło się miejsce dla starego Lagrange’a, Perdigana oraz kilku znamienitych obywateli miasteczka.

Początek przesłuchania wynudził wszystkich. Gawiedź żądała krwi, a nie ustalania rzeczy tak mało odkrywczych jak personalia, członkowie trybunału zaś już je znali.

Wreszcie jednak przystąpiono do meritum.

– Mamy tu oskarżenie o herezję, wysunięte przez wielebnego Marceau przeciw Orrifleminie Lagrange. Inkwizytorem w tej sprawie jest szacowny Fillegan z Wake – Vielliard wprowadził w temat wszystkich przysypiających i niezorientowanych, po czym z widoczną ulgą oddał głos proboszczowi.

Ten wstał od stołu, wyszedł na przestrzeń pomiędzy członkami trybunału a oskarżoną, uklonił się wszystkim, po czym zaczął swój długi oraz zawikłany wywód, z którego wynikało, że oto mają przed sobą czarownicę, która opętała biednego, młodego, nieszczęsnego kupca Josa Perdigana, chcąc go przywieść ku czarnej wierze. I gdyby nie on, skromny proboszcz Marceau, nie wiadomo, jakby się to skończyło.

Gawiedź szemrała złowrogo, poddając się charyzmie proboszcza, a przede wszystkim nadziei, że wreszcie wydarzy się coś spektakularnego w ich zapyziałej mieścinie. Stos zaspokajał tę potrzebę w zupełności. Byłoby o czym mówić, długi czas kursowałyby w obiegu fraza „zdarzyło się to... lat po tym, jak młodą Lagrange spalili na stosie”. Ludzie tego właśnie oczekiwali. Kwestia, czy Orri naprawdę jest czarownicą, w rzeczywistości nie obchodziła ich wcale.

Fillegan słuchał przemówienia ze znudzoną miną. Czekał, aż proboszczowi zabraknie słów. Bo nawet najbardziej elokwentny człowiek musi kiedyś poczuć zmęczenie. Wątek zaczyna się wtedy rwać, jasność myśli ucieka. Chytry przeciwnik zaś ani myśli reagować, swymi replikami pobudzać rywala. I tak mówca powoli zaczyna się wikłać, powtarzać, a słuchacze – dawno zapomniawszy o płomienistym początku – nabierają przekonania, że w gruncie rzeczy orator nie wie, o czym mówi.

I wreszcie Marceau, gdy słońce zaczęło zniżać się ku zachodowi, stracił wenię. Pocieranie podbródka nie dodawało nowych argumentów. Patrzenie na publikę deprymowało jeszcze bardziej – w oczach ludzi dostrzec można

było jedynie żądanie coraz to nowych popisów. A proboszcz nie miał już nic do powiedzenia. Ani tym bardziej do pokazania. W tej dziedzinie jego repertuar sprowadzał się do oskarżycielskiego machania w stronę siedzącej z ponurą miną dziewczyny.

W końcu poddał się i usiadł.

Teraz inkwizytor zajął jego miejsce. Popatrzył na starego Lagrange'a i Perdigana, połączonych wspólnym losem. Powiódł spojrzeniem po gawiedzi, kilku setkach oczu błyszczących nienawiścią.

– A więc podobno mamy tu do czynienia z herezją – zaczął. – Tak przynajmniej twierdzi wielebny Marceau, bo z jego to oskarżenia sądzimy tu tę nieszczęsną. – Wskazał gestem nieruchomo siedzącą Orri. – Wszyscy wiemy, czym jest herezja. – Zrobił przerwę na zaczerpnięcie tchu, dając słowom szansę zakorzenienia się w umysłach pospólstwa.

Oczywiście większość gapiów nie miała pojęcia o herezji, choć w oglądaniu widowiska nikomu to nie przeszkadzało.

Fillegan jakieś wyobrażenie o apostazji posiadał. Odkąd jednak spotkał się ze stwierdzeniem, że człowiek prawdziwie wierzący nie powinien się chwytać trunku tak podłego jak piwo – a prawdę tę wypowiedział, krzywiąc się z niesmakiem, nie byle jaki wielmoża z zamku Montsequrr – rycerz stał się ostrożniejszy w osądzie, co jest herezją, a co prawdziwą wiarą. Tym bardziej że ów głosiciel Dobrej Nowiny poczęstował go winem smakującym tak, że wielbłądzi kumys przy nim zdawał się istną ambrozją.

– Mamy więc oskarżenie o poważne przestępstwo – kontynuował. – Z drugiej strony, przeprowadzone przeze mnie wstępne badania tego nie potwierdzają. Inkryminowana Orriflemina Lagrange twierdzi, że jej jedyną winą jest fakt, iż kocha niejakiego Josa Perdigana. A reszta jest wielką, katastrofalną pomyłką, jeżeli nie fałszywym oskarżeniem wynikającym ze

złej woli. Z czymże więc mamy tu do czynienia: z błędem, nadgorliwością czy też mylną interpretacją poczynań dziewczyny?

– Akurat! – sarknął od stołu Marceau. – Jakby nie było od niej czuć piekielnej siarki...

Rycerz tylko się uśmiechnął pod nosem. Orri dyskretnie pachniała lawendą. Ale o tym Marceau nie wiedział, bo musiałby się zbliżyć do swej ofiary.

– Nie lekceważmy siarki – rzekł. – Niemniej czasem nie jest prosto ocenić, co jest dobre, co złe. Rozważmy wszystko, zanim rzucimy pochopne oskarżenie. Weźmy Galena. Dla niezorientowanych – to wielki medykus, z jego ksiąg uczą się ci, którzy potem leczą naszego miłościwie panującego władcę, a nawet, daj mu Panie Boże zdrowie, Ojca Świętego. I cóż powiada nam o czarach tenże Galen? Wyśmiewał się z praktyk magicznych, to jasne, choć bardziej piętnował ich nikłą skuteczność. Pewnie to samo powiedziałby o herezji, wielebny. – Fillegan uklonił się proboszczowi. – Sam zioła kazał zbierać przed wschodem słońca, co może mieć jakieś znaczenie. Czemu jednak kazał czynić to lewą ręką?!

Marceau zrobił kwaśną minę. Vielliard uśmiechnął się pod nosem. Widać jednak było, że nie jest pewien, czy wolno mu się szczerze roześmiać. W jego obecności dwóch teologów toczyło dysputę, w której herezja i pogaństwo brały się za łeb z prawdziwą wiarą, i skąd prosty burmistrz mógł wiedzieć, kiedy się śmiać, kiedy przytaknąć, a kiedy zrobić minę marsową jak w wielkim gniewie? Pocierał łysinę, jakby tam mógł znaleźć rozwiązanie, co dało skutek w postaci dwóch zejść śmiertelnych – los ten spotkał jednego komara i jedną biedronkę.

– I tu pojawia się pierwsza wątpliwość: mamy pójść śladem Galena i tych naturalnych dóbr używać zgodnie z zaleceniami czy raczej posłuchać niemądrych ludzi, którzy obawiają się ziół, niewiele o nich wiedząc? –

kontynuował swój wywód Fillegan. – Czy ktoś z was pozwoliłby nazwać się heretykiem tylko dlatego, że zrywa porzeczkę lewą ręką, skoro jest mańkudem? Zgodziłby się na miano donatysty?

Oczywiście nikt z tłumu nie wiedział, kim byli donatyści, więc wszyscy milczeli. Rycerz po prawdzie też nie wiedział, jaką to straszliwą herezję wyznawali, nazwa jednak robiła stosowne wrażenie. A tu właśnie na tym, na nucie porywającej tłum improwizacji, należało grać.

Marceau wyglądał, jakby coś miało go trafić. Tymczasem Fillegan zwrócił się do Orri:

– Czy używałaś kiedykolwiek jakichś miłosnych ziół albo czarów?

– Nigdy nie stosowałam czarów. Jestem prostą dziewczyną – odparła szybko oskarżona, niskim, nieco chropawym głosem, spojrzenie mając wciąż utkwione, co ustalili wcześniej, w czubkach własnych butów. – Wierzę w Boga, z herezją nigdy nie miałam do czynienia.

– Ona kłamie – odezwał się od stołu Marceau. – Fakty mówią co innego!

Rycerz w nieco ironicznym podziwieniu pokiwał głową.

– Widzisz, fakty to takie mocne słowo... ale dziewczyna im zaprzecza. Ty nie przedstawiłeś żadnych dowodów, tylko własne przekonania. Na domiar, czy jesteś pewien, że potrafisz tak prosto odróżnić czary od boskiego działania?

Marceau bez wahania skinął głową. W duchu Fillegan podziękował mu za włożenie głowy w pętlę.

– Posłużmy się pewnym przykładem, zobaczmy, jak to jest z tym odróżnianiem działań boskich od czarcich – zaczął. – Czy twoim zdaniem, proboszczu, Michał Szkot uprawiał czary?

– A cóż ów Szkot ma wspólnego z herezją tej tu Lagrange?! – zdumiał się Marceau. – Nie jego sądzimy, tylko tę... tę...

Inkwizytor uśmiechnął się z wyższością.

– A ma. Drogą rozważania wątpliwości doszliśmy bowiem do spraw niepewnych, pozostających nie w naszych rękach, lecz Boga – zaczął. – Bo jak inaczej niż boską interwencją wytłumaczyć następujące zdarzenie? Oto mamy nadwornego astrologa, rzeczonoego Michała Szkota, nadwornego wróżbitę cesarza Fryderyka II. Pewnego razu zalecił swemu władcy, aby ten powstrzymał się od upuszczania sobie krwi, kiedy księżyc znajduje się w znaku Bliźniąt, bo może zostać nakłuty nie raz, jak należy, tylko dwa razy. A przecież każdy rozumny człowiek wie, jakim ryzykiem jest każda rana. Może się paskudzić, owrzodzić, zacząć gnić...

Tu Fillegan porzucił malownicze okropności, podszedł do stołu i stanąwszy przed proboszczem, rzucił:

– Chyba nie kwestionujesz władzy danej cesarzowi od Boga oraz jego przyrodzonej rozumności? – A uzyskawszy niechętnie potwierdzenie, kontynuował:

– I co z taką wróżbą uczynił nasz odważny cesarz Fryderyk? Może i wierzył swemu astrologowi, ale postanowił rzecz sprawdzić eksperymentalnie. Specjalnie w owym wyznaczonym złym czasie udał się do cyrulika. Ten swoje zadanie wykonał porządnie, fachowo... Niemal porządnie, chciałoby się rzec. – W tym miejscu wywodu Fillegan teatralnie westchnął. – Biedakowi bowiem lancet, już po zabiegu, upadł na stopę cesarza, raniąc go dotkliwie i otwierając drugą ranę!

– Wniosek? – zakończył mówca. – Wszystko w rękach Boga, nawet jeżeli w swej próżności uważamy, że racja jest po naszej stronie. Pochopne oceny mogą mylić. Oskarżenia krzywdzić. Bo to nie ludzie, tylko Bóg w sprawie pychy Fryderyka miał rację. I dotkliwie ukarał cesarza za lekceważenie, którym obdarzył Michała Szkota.

– Ale ona jest oskarżona o herezję! – wrzasnął doprowadzony do ostateczności Marceau. – O herezję!!! A ty jesteś inkwizytorem, zamiast

opowiadać bajki, przejdź wreszcie do rzeczy.

Fillegan skinął głową.

– Oskarżenie dotyczy herezji, jakieś rzekł, wielebny. Ale co to jest herezja? Gdy mowa o katarach, wiem. Gdy dotyczy ludzi leworęcznych, mogę się zastanawiać, w jakim stopniu jest to herezja, a w jakim wpływ wielkiego Galena. Gdy jednak oskarżasz o to prostą, nieuczoną dziewczkę z małego miasteczka, mam poważne wątpliwości. A moim zadaniem nie jest wcale ulegać opinii tłumu ani twojej. Mam wydać sprawiedliwy werdykt.

– Herezja – szepnął Marceau.

Zanim wybuchła kłótnia, burmistrz powstrzymał ich szybkim gestem. Widać było, że obawia się zamieszek. Szczególnie rozpętanych przez proboszcza i jego popleczników.

– Jutro, panowie, będziemy kontynuować proces. Dziś pora na chwilę odpoczynku.

* * *

Po męczącym pierwszym dniu procesu Fillegan najpierw zażył kąpieli, później zjadł suty posiłek, wreszcie odesłał Duendaina do drugiego pokoju, a sam zabrał się do dalszego wertowania ksiąg. Choć linia obrony podążała straszliwymi logicznymi meandrami (z czego doskonale zdawał sobie sprawę), miał jednak wrażenie, że skutecznie podważył i ośmieszył oskarżenie o herezję, a przynajmniej o uprawianie czarów. A jutro tą samą metodą dokończy dzieła.

Stukanie do drzwi nie zdziwiło go specjalnie. Tego wieczora spodziewał się co najmniej kilku wizyt.

Duendain wprowadził jednak osobę zupełnie mu nieznaną, chudzielca w średnim wieku, o ruchach nerwowych, a twarzy zaciętej.

– Jestem Pierre de Champollin – przedstawił się szybko, połykając końcówki słów. – Piekarz. Chciałbym ci coś wyznać, panie.

– Usiądź – rzekł z westchnieniem gospodarz, wchodząc na powrót w inkwizytorską skórę. Założył znalezionym sztyletem stronicę i odsunął od siebie czytana księgę, tworząc z flaszki wina, pary kielichów oraz grubego woluminu piękną martwą naturę. Wiedział, co teraz nastąpi.

– Wydaje mi się, panie – zaczął z wahaniem Champollin, nie siadając na wskazanym stołku – że rodzina Trybanich, parająca się szewstwem, to heretycy. Nocami często udają się do lasu, sam kilka razy widziałem. A po co do lasu chodzić nocą, jak nie na sabat?

– Sprawdzę. – Inkwizytor skinął lekko głową. – Nikomu ani słowa, póki czegoś się nie doszukam, rozumiesz?

Champollin już wycofywał się ku drzwiom, cały czas pozostając w niskim ukłonie. Fillegan wstał. Uczynił to niezgrabnie i księga leżąca na stole z łomotem poleciała na podłogę. Brzęknęło ostrze. Piekarz rzucił się na kolana, aby usłudźnie podać inkwizytorowi księgę. Ten jednak, w obawie, aby nikt nie zobaczył, co czyta, capnął drapieźnie księgę, niemal odpychając Champollina.

Na podłodze pozostał tylko samotny sztylet. Piekarz, wciąż na kolanach, wpatrywał się w niego z zaskoczeniem.

– Mój sztylet! – wyrwało mu się wreszcie. – Gdzie go, panie, znalazłeś?!

Fillegan już opanował wewnętrzny dygot. Mocniej przycisnął do piersi ocaloną przed donosicielem księgę. To by dopiero było, gdyby ten poznał jej treść.

– Na łące – odparł. – W łągach nad rzeką, gdzie leżą te pnie.

Na te słowa Champollina jakby sparaliżował strach. A do rycerza dotarło, że tam, nad strugą, musiało się wydarzyć coś złego. Bo gdyby chudzielec uprawiał tam rybę albo zająca, nie miałby powodu do paniki tak wyraziście malującej się na jego twarzy, prawda?

– Bierz, skoro twierdzisz, że to twoja własność – rzekł.

Piekarz schylił się ponownie, wziął broń i cofnął się do wyjścia. Sztylet w jego ręku lśnił złowrogo, jakby czekając, by uderzyć znieścaka.

– Dziękuję, panie inkwizytorze – wydusił jeszcze.

– Na łące – powtórzył do siebie Fillegan, gdy piekarz wyszedł. – Ciekawe, na kim go próbowałeś, donosicielu...

Zamierzał wrócić do lektury dzieła, ale do pokoju ponownie wkroczył Duendain. W jego ruchach pojawiła się jakaś trudna do określenia niecierpliwość.

– Mogę się przejść, pooddychać świeżym powietrzem? – spytał.

Rycerz spojrział na niego ze zdziwieniem.

– A cóż cię tak pili? Och, rozumiem – plasnął się nagle w czoło – pewnie jakaś dziewczka ci wpadła w oko...

Duendain skrzywił się lekko. Jego twarz, obsypana pryszczami i rzadkim młodzieńczym zarostem, wydłużyła się jeszcze bardziej. Zmarszczony nos nadał jego obliczu wyraz niezbyt mądry. Widać rycerz trafił w jakiś czuły punkt.

– To mogę?

– A idź, tylko wróć jutro, zanim proces się rozpocznie, bo miłosierny nie będę – zgodził się łaskawie Fillegan. – Aha, i rozpytaj o tego Champollina. Nie podoba mi się ten człowiek...

Z powrotem zasiadł do książki. Nawet nie usłyszał za plecami trzaśnięcia drzwi, tak wciągnęła go treść dzieła.

Był to traktat magiczny oparty nie na teorii, jak to zwykle bywa, lecz na rzetelnej praktyce. Zanim przeszkodził mu Champollin, dotarł do rozdziału poświęconego znakom magii. Po opisie działania następowały rysunki. Autor operował nie tylko wiedzą własną, miał widać dostęp do akt sądu miejskiego w Tours, bo się na nie powoływał:

„Niejaki Wodzymin, któren uparcie twierdził, zdanie swe na torturach podtrzymując, że znakami przeróżnemi operując, siłę zła czynić może...”.

Poniżej był krótki opis wspomnianych znaków. Jednemu z nich, znakowi Draa, Fillegan przyjrzał się uważniej. Gdyby palec wskazujący owinać wokół wyprostowanego kciuka, a mały palec mocno odchylić w bok, to by...

Nagle w kominku rozległ się przerażający grom, drwa i popiół wyleciały w górę. Coś wrzasnęło nieludzkim głosem pod oknem. Przerażony rycerz wybiegł przed dom, po drodze chwytając miecz.

– To nic – uspokoił go Bonetti, otrzepując sutannę. – Tylko diabła zobaczyłem i myślałem... myślałem...

Fillegan zaśmiał się lekko, pokrywając zaskoczenie. Opuścił ostrze, kierując je ku dołowi.

– Dajcie spokój, proboszczu – rzekł po chwili. – Nie gryzę, lepiej porozmawiać, niż straszyć się wzajemnie.

Bonetti gniótł w rękę skraj połatanej sutanny.

– Skoro tak uważacie...

Weszli do środka. Fillegan zrobił porządek na stole, usuwając księgi, ożywił martwą naturę, rozlewając wino do kielichów.

– Wy jedni możecie coś z tym Marceau zrobić – zaczął swe wyjaśnienia Bonetti. – To niby duchowny, jak ja, ale uwierzcie, panie, zły to człek, pełen nienawiści do innych i miłości do siebie samego. A widzę, że wy nie tacy, jak to inkwizytorów opisują...

Co musiałś sprawdzić, zaczajając się pod oknem – pomyślał z rozbawieniem Fillegan.

– Wiem, że zły – przytaknął. – Mam zamiar coś z tym zrobić, bez obaw. A przy okazji... Znasz może niejakiemu Champollina? Był tu przed tobą, donos złożył...

Bonetti smętnie pokiwał głową. Upił łyk wina, powiódł w zamyśleniu palcem po krawędzi kielicha.

– Na Trybanich... Kością mu stoją, bo swego pola nie chcą mu odsprzedać, choć bieda u nich aż piszczy. A Champollin, odkąd został wdowcem, na złe zeszedł, majątek dla diabła mnoży. Trybanich najchętniej by w niepoświęconej ziemi zobaczył, ciągle im na złość robi. Jak dłużej tu zostaniesz, inkwizytorze, jeszcze na niejednego złożysz denuncjację, bo wrogów ma wielu.

– Aha – powiedział Fillegan. – Jak widzę, pod wieżą najciemniej.

Bonetti skinął głową.

– Moja niższa, ale też nie zaręczę głową, że zło się wokół niej nie ulegnie. Pójdę już, nie będę zabierał czasu. O prośbie jednak, inkwizytorze, nie zapominaj. Nie o mnie idzie, lecz o mieszkańców, których Marceau niesprawiedliwie uciska.

Coraz lepiej – pomyślał Fillegan. – *Ciche, spokojne miasteczko...*

Wrócił do księgi, przerzucił parę kartek... „Jak wrogowi usta zamknąć albo o głupawkę przyprawić...” To jest to!

Zgodnie z zaleceniem, sięgnął po lustro, zapalił świece w trzech miejscach, tworząc trójkąt równoboczny, przywołał z pamięci obraz Marceau i odczytał zaklęcie. W napięciu począł się przypatrywać gładkiej powierzchni. Miał się tam pojawić obraz unieszkodliwionego wroga.

Trach! Na miedzianej gładzi pojawiła się rysa biegnąca przez całą długość lustra. *I co teraz?* – pomyślał w zadumie początkujący adept magii. Księga o niczym takim nie wspominała!

Zniechęcony, rzucił magiczny traktat na bok. Trzeba będzie odłożyć próbę uzyskania magicznego wsparcia na bok, na jakiś bardziej sprzyjający dzień.

Nie miał po prostu drugiego lustra.

* * *

– Dowiedziałeś się czegoś o tym Champollinie? – spytał rankiem Fillegan.

Giermek przecząco pokręcił głową, usiłując doprowadzić do porządku rozwichrzoną fryzurę. Szykowali się do wyjścia, przeszkadzając sobie wzajemnie.

– Same bzdury.

Fillegan machnął z rezygnacją ręką. Będzie musiał jeszcze popracować nad edukacją swego giermka w dziedzinie szpiegostwa.

– No nic. Zadbaj w każdym razie, żeby Champollin znalazł się wśród widzów, kiedy będę orzekał o winie, dziś albo jutro, bo zależy, jak się sprawa potoczy. Gdyby nie przyszedł dobrowolnie, ściągnij go pod dowolnym pretekstem, rozumiesz? Składam to na twoją głowę.

– Się da, się zrobi – mruknął Duendain. – A jak się nie da, to się popchnie kolanem.

* * *

Psiakrew! – bezgłośnie zaklął Fillegan, zmartwiały z przerażenia ustami.

Jeszcze nie zdążyli wyjść z domu i zrobić dziesięciu kroków, kiedy goniec od burmistrza przybiegł z zawiadomieniem, że Vielliard razem z Marceau oczekują Fillegana w zakrystii kościoła tego ostatniego. I teraz oto siedział przy stole, gdzie obok burmistrza i duchownego jako czwarty dołączył starszy, mocno siwy mężczyzna. Jego przenikliwe spojrzenie zdawało się ujawniać wszystkie tajemnice rycerza, nawet te najgłębiej ukryte, jak chęć przemienienia Ayermine'a w beczkę kumysu i urządzenie dla jego cechu ostrej popijawy.

Podczas prezentacji okazało się, że to niejaki Dreotti, wysłannik biskupa! Niby to chciał się przyjrzeć procesowi!

Skąd go Marceau wytrzasnął, rycerz nie miał najmniejszego pojęcia. Może zrządził tak zły los, może przypadek, może czary? Nagie fakty przedstawiały się tragicznie. Kłopoty z sensownym poprowadzeniem procesowej farsy ustąpiły pola kwestii, czy proces inkwizycyjny nie zacznie się od nowa, tyle że w roli oskarżonego wystąpi imć Fillegan z Wake.

– Coś nie wraca ten wasz giermek, panie – rzekł chłodno Dreotti. – Chyba nie zabłądził?

Nawiązywał do Duendaina posłanego po papiery, zezwolenie na prowadzenie inkwizycyjnych procesów.

– Wróci zaraz – odparł sucho Fillegan. *Chyba* – dodał w myślach.

Marceau tymczasem triumfował. Gdyby radość z cudzego nieszczęścia mogła unieść człowieka w górę, proboszcz polatywałby w tej chwili w okolicach księżyca. Albo wręcz przebiłby jedną ze sfer niebieskich.

Przy stole panowało milczenie. Vielliard, pomny różnych wpadek, nie zamierzał się wychylać. Marceau zbyt był zajęty samym sobą i przeżywaniem radosnej nowiny, aby dbać o konwenanse i dobre maniery, rycerz bał się nawet głośniej odetchnąć.

Wreszcie jednak zadyszany giermek wrócił. Papiery trafiły do rąk wysłannika biskupa, ten zaś bez zwłoki przystąpił do jego studiowania.

– Taaa... – mruknął wreszcie Dreotti. – Prowadźcie dalej ten proces, panie. Już mi zdążył donieść proboszcz Marceau, że nietypowy w przebiegu, więc chętnie zostanę, popatrzę.

Ażeby cię stado wielbłądów zdeptało – westchnął w duchu Fillegan, chowając skrzętnie papier do sakwy i Bogu dziękując za fałszerskie umiejętności ojca Bonaventury.

* * *

– Głupi proboszcz z małej miejsciny może nic nie wiedzieć o czarach i herezji – zaczął Marceau chytrze swą mowę, nie przejmując się okrzykami,

które natychmiast rozbrzmiały, potwierdzając jego przekonanie. – Może dostrzec je tam, gdzie naprawdę ich nie ma. Lecz... Szukałeś faktów, szanowny inkwizytorze. Oto one: nawet w ciągu kilku ostatnich dni, gdy ta wiedźma z pozoru siedziała w domowym areszcie, wciąż ginęły kury, szczególnie czarne nioski. A wiadomo, one najlepiej nadają się do zakazanych praktyk. Dowodzi to, iż ta czarownica nawet w zamknięciu zdolna jest czynić czary. Co więcej, jedna z dziewczek skarżyła mi się, że wczoraj napastował ją diabeł, zapewne przybyły na pomoc swej służebnicy! – Marceau dramatycznie zawiesił głos, kątem oka spoglądając na Dreottiego, sprawdzając, czy aby dobrze mówi. – Ale może to nie czary? Może to coś innego?

Rycerz spiorunował wzrokiem Duendaina, stojącego obok Champollina. Giermek niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami, jakby mówiąc: To silniejsze ode mnie.

– A fakt, że wszystkie moje lustra zmętniały, zdaniem obecnego tu naszego szanownego gościa – Marceau skłonił się zajmującemu honorowe miejsce na widowni Dreottiemu – dowodzi, że ktoś próbował rzucić na mnie urok! Jedno nawet pękło!

Skrzyżował ręce na piersi i dumnym spojrzeniem powiódł po publice. Dobrze, że nie patrzył w tej chwili na rycerza, bo ten miał minę bardzo nietęgą. Czego jak czego, ale luster psuć nie zamierzał!

– Wzorem obecnego tu Fillegana z Wake, który zasięga opinii największego spośród inkwizytorów, Bernarda Gui, postanowiłem oprzeć się na cudzych, znaczniejszych dokonaniach. Konkretnie zaś na przemyśleniach Bartolda z Sasoferrato.

Fillegan zaklął w duchu. Że też akurat teraz Marceau zyskał takiego sojusznika, jak Dreotti... Prawdziwy pech!

– Nasz inkwizytor twierdzi, że nie czuje tu zapachu herezji, a i oskarżenie o czary jest wątpliwe. Tym samym nic tu po inkwizycji – ciągnął tymczasem proboszcz. – Cóż z kolei mówi Bartold? Otóż równa on uprawianie czarów z idolatrią, grzechem bałwochwalstwa. Według tego uczonego, używając magii, oskarżona tu Orriflemina Lagrange wyrzekła się Chrystusa! – Marceau uniósł rękę w dramatycznym geście. Tłum zaszemrał z oburzenia, w stronę Orri poleciały grudki ziemi oraz małe kamyki. Poruszyła się niespokojnie, na szczęście zdołała powstrzymać się przed gwałtowniejszą reakcją. Ta musiałaby zaszkodzić jej wizerunkowi prostej, małomiasteczkowej, niewinnie zakochanej dziewczyny.

– Wyrzekła się Chrystusa i chrztu! – powtórzył Marceau. – Według Bartolda, odszczepieńcy tacy, jak ta tutaj kobieta, zasługują na śmierć, zgodnie z prawem Ewangelii, wyższym wszak od każdego innego, ustanowionego przez człowieka! Co mówi nam święty Jan w swojej Ewangelii? „Ten, kto we mnie nie trwa, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. I zbiera się ją, i wrzuca do ognia, i płonie”.

I skłoniwszy się triumfalnie rozentuzjasmowanemu tłumowi, Marceau wrócił za stół. Fillegan wstał, aby coś odpowiedzieć, uczynił to jednak z niejakim wysiłkiem, bo proboszcz, czy może Dreotti za jego pośrednictwem, trafił go nadzwyczaj celnie.

– Gdybyż świat był taki prosty – zaczął, nadając swemu głosowi ton niezbędnej emfazy. – Jednak nie jest, ku utrapieniu maluczkich. Bo cóż my wiemy o magii? Co nią jest, a co nie jest? Czy wspomniany tu Bartold oskarżyłby o magię naszych księży? Przejeżdżając dwie niedziele temu przez Surleroi, byłem świadkiem praktyk... Nie, najlepiej po prostu je opiszę.

Zaczerpnął tchu, zwilżył gardło winem przygotowanym na tę okoliczność, po czym kontynuował:

– Jednemu z gospodarzy pole, czy to za sprawą rzuconego uroku, czy to poprzez nieumiejętne obchodzenie się z ziemią, wyjałowiało. Pewnie i mógł o pomoc poprosić jakąś wiedźmę, wszędzie ich pełno. On jednak poszedł do miejscowego księdza, którego chyba nasz szacowny Marceau nie uzna za maga...?

I w niedzielę przed świtem tenże ksiądz w obecności gospodarza, oraz naszej, wykopał z czterech rogów pola po bryle ziemi, pokropił je oliwą, mlekiem, popiołem spalonych drzew i innych roślin, a na koniec zrosił wodą święconą. Następnie ziemia z całym ceremoniałem zaniesiona została do kościoła. Tam ów ksiądz odprawił cztery msze, osobno nad każdą z brył. A po zachodzie słońca grudy ziemi trafiły w te same miejsca, skąd je wybrano. Reszta należała do Boga.

Czy to połączenie Słowa Bożego oraz nieco pogańskich w wyrazie obrządków z modlitwą było rodzajem magii, czy nie? A jeśli nawet tak, to czy użyźnienie jałowego pola przez duchownego jest według naszego proboszcza praktyką naganną, czy nie?

– Rzecz jasna, nie – mruknął Marceau, kątem oka łapiąc potakujące skinienie głową Dreottiego. – W niej uczestniczył ksiądz, to coś całkiem innego. A zresztą sądzimy tu heretyczkę. Magia tylko ją do herezji przywiodła, jako rzekłem.

– Ale czy my wiemy, co to jest herezja i jak powstaje? – Fillegan obłudnie westchnął. – Kiedy myślę sobie, jak czasem powstają herezje... Bywa, że z dala od wszelkich ksiąg i teologicznych dysput, proboszczu. Pewnie nigdy nie słyszałeś o chłopie Leutardzie ze wsi Verturiss w Bretanii, który żył grubo dwa wieki temu. Otóż któregoś dnia nawiedził go sen, kiedy biedny chłopina, strudzony robotą na polu, zasnął. A śniły się Leutardowi pszczoły. Obrzydliwe owady, które przez intymne miejsca wnikały do wnętrza jego ciała, żądłąc tam, a potem wydostając się przez

usta. Po powrocie z pola odprawił swoją żonę, twierdząc, że do czystości zmusza go Ewangelia. Później zaś udał się do kościoła, gdzie zniszczył krzyż i zaczął głosić poglądy w części przynajmniej rozbieżne ze zdaniem Kościoła. Wreszcie namówił do poparcia go wieśniaków, którzy słysząc, że nie będą musieli płacić dziesięciny, uczynili to z ochotą.

Czy to już herezja? Pewnie tak. Tym bardziej że wezwany pośpiesznie biskup bez trudu wykazał Leutardowi błędy w jego wiejskiej, prymitywnej teologii. Skutkiem czego biedny chłop rzucił się do studni – i tak się ta historia zakończyła.

Nie w tym rzecz, Marceau. Dziś już wiemy, co stało za tą herezją. Zwykły grzyb, w moich rodzinnych stronach zwany szporychem, ziarnem szaleńców, który rośnie na źdźbłach zboża. Nieoddzielony, zmielony z mąką i zjedzony, powoduje między innymi odczucie palenia w genitaliach. Leutard najadł się trucizny. Wychodzi więc na to, że chłop był chory – ciągnął Fillegan. – I może biskup, zamiast namawiać go do odstąpienia od herezji, skutkiem czego Leutard odebrał sobie życie, winien był odesłać go do medyka?

Marceau z udawanym współczuciem pokiwał głową.

– Cóż, biskupi też się mylą, papieżowi zdarza się ich ekskomunikować... Ładne to opowieści, wzruszające, że łąza się w oku kręci – zmienił ton. – Lecz to, co wyjawiał nam święty Jan Ewangelista, nie tylko piękne, ale i mądre, panie inkwizytorze. I z samej krynicy pochodzi.

Fillegan zacisnął zęby, żeby nie wyrwało mu się nadzwyczaj brzydkie słówko, które miał na końcu języka.

Było jasne, że tę rundę przegrał.

* * *

Giermek bardzo roztropnie unikał swego pryncypała przez resztę dnia, bo ten tylko czekał na okazję, by komuś nawrzucać albo poczynić inne szkody.

Duendain jakoś się przechował do wieczora. Wreszcie, gdy dalszą jego nieobecność można by uznać za tchórzowską rejteradę, rad nierad, zastukał w drzwi burmistrzowego domku.

Rycerz od progu dał dowód, że zły humor go nie opuścił. A jego natężenie tylko się pod wpływem ponurych rozmyślań zwiększyło.

– Gdzie byłeś?! – warknął. – Psia twoja mać, zamiast pomóc, tylko kury kradniesz!

Giermek zrobił cierpiętniczą minę.

– Rosnę, panie, to i głodnym.

– Jak cię przyłapią, obaj pójdziemy na stos... A co z tą dziewczyną? – ciągnął przesłuchanie Fillegan.

– O, co to, to nie ja! – zaperzył się Duendain, czerwieniejąc na twarzy. – Ja poszedłem na umówioną schadzkę i zapewniam, że reklamacji nie będzie. Gdybyś ty, panie, wiedział, co ona potrafi... – Tu chłopak machnął tylko z rezygnacją ręką, jakby żadne słowa nie mogły oddać umiejętności dziewczyny. – To silniejsze ode mnie – podsumował.

– Silniejsze od ciebie – powtórzył z namysłem Fillegan. – A wiesz, wracaj do niej, a ja sobie w spokoju popracuję – rzekł naraz. – Czeka! – krzyknął na giermka, który leciał do drzwi, zanim rycerz się rozmyśli. Sięgnął do sakiewki i wyjął jednego z Carcassianowych florenów. Podał go zdumionemu giermkowi. – Baw się dobrze, młodość musi się wyszumieć.

Mając w ręku taki majątek, Duendain zerwał się do gwałtownej ucieczki, marząc, aby zdążyć go wydać w całości, zanim ów floren zostanie mu przemocą odebrany.

Fillegan uśmiechnął się szeroko do siebie, zamykając drzwi za chłopakiem. Podszedł do stosu ksiąg magicznych i zaczął je rozgarniać niby piasek. Na samym spodzie spoczywało dzieło, które wcześniej odrzucił, a teraz zamierzał przywrócić do łask.

– No i znalazłem na ciebie bicz boży, Marceau – uśmiechnął się tryumfalnie. – A było siedzieć cicho...

* * *

– Ach, miłość, cóż mniej pewnego, mniej trwałego – zaczął swą mowę następnego dnia, bowiem Marceau powtórzył w skrócie słowa Bartolda z Sasoferrato i zrezygnował z dalszych wywodów. – Jakże by się chciało użyć czasem zaklęć, prosków albo innych sztuk czarnoksięskich... I o to nasz proboszcz oskarża obecną tu Orrifleminę.

Zatrzymał się na chwilę, spojrzął na Marceau.

– Lecz przecież ludzie zazwyczaj w miłości radzą sobie bez praktyk tajemnych, mikstur sporządzanych nocą z nietoperzy, żab i zgniłego mchu. Kiedy monsieur Lagrange pojmował za żonę nieżyjącą już Joannę, matkę oskarżonej tu dziewczyny, nie pozostawał pod wpływem czarów. Nie popadł w herezję, nie został opętany ani też, co stwierdzam z przyjemnością – tu rycerz skłonił się ojcu Orri – nieboszczka Joanna nie wyssała jego sił życiowych. Dlaczego więc zakładać, że jej córka miałaby tak postąpić? Dlaczego w ogóle zakładać, że kupiec Jos Perdigan został do czegoś przymuszony przy użyciu magii, skoro stara się o jej rękę, niczego nie kryjąc, jawnie chce ją poślubić! Gdzie tu miejsce na czary i herezję, skoro oboje twierdzą – a są ładni i młodzi – że kochają się miłością prawdziwą?

– Oskarżyłeś obecną tu Orrifleminę Lagrange o herezję, a w szczególności uprawianie czarów miłosnych. Moją rolą było ocenić, czy rzeczywiście uprawia ona herezję i para się czarami – Fillegan zwrócił się bezpośrednio do Marceau.

Ten, niespeszony, uśmiechnął się szeroko.

– Miłość to ważna rzecz, inkwizytorze. Przypomnę ci jednak Bartolda po raz trzeci, i mam nadzieję, ostatni. Ze świętego Jana wywodzi on, że idolatria, czyli więc i magia miłosna, jest wyrzeczeniem się Chrystusa. A za

to karą jest śmierć na stosie. – Zadowolony z siebie Marceau zamilkł. Wydawało się, że przy pomocy Bartolda z Sasoferrato ostatecznie rozbił w puch logikę wyводу uczonego przeciwnika.

Fillegan jednak tylko pokręcił głową.

– „Miłować Go całym sercem, całym umysłem i całą mocą, i miłować bliźniego jak siebie samego daleko więcej znaczy niż wszystkie całopalenia i ofiary” – zacytował. – Oto słowa innego z ewangelistów, które przytaczam obecnym pod rozwagę.

Marceau, który już otwierał usta do jakiejś złośliwości, zastygł naraz. Gdyby jakiś ptak potrzebował dziupli, miałby w tej chwili niezły pożytek z proboszcza.

– Swój wyrok ogłoszę jutro po południu – zakończył rycerz.

* * *

– Nie, bezpieczna to ona tu nie będzie – wymruczał Perdigan, gdy zeszli się tego wieczora w domku burmistrza. – Już jej o sobie Marceau zapomnieć nie da. Muszę ją zabrać ze sobą.

Fillegan skinął głową, ćwicząc giętkość palców, jakby cierpiał na reumatyzm.

– Uwzględnię to w swoich planach.

Później zaś, z Bonettim w roli przewodnika, powędrował do Trybanich, żeby sprawdzić, jak to jest z tą ich herezją.

* * *

Fillegan rozejrzał się po tłumie. Ludzie szemrali, z niecierpliwością oczekując wydania Orri na stos. Było ich znacznie więcej niż w poprzednich dniach procesu.

– Wczoraj wiele mówiłem o miłości – zaczął. – Bartold ma trochę racji, bo naszą powinnością jest szukać natchnienia w Piśmie. Tak i ja uczyniłem.

Oto, co mówi święty Paweł, największy spośród apostołów: „Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice, i posiadał wszelką wiedzę, i wszelką wiarę, tak iż bym góry przenosił, a miłości bym nie miał, byłbym niczym”. I dalej: „Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy. Z nich zaś największa jest miłość”.

Nie przedstawiłeś, proboszczu, żadnego dowodu na uprawianie przez Orrifleminę Lagrange czarów, choćby miłosnych. Jedynym dowiedzionym jej grzechem, do którego sama się zresztą przyznała, jest miłość do obecnego tu kupca Josa Perdigana. Jako uczciwy i rzetelny inkwizytor dziwię się, że to akurat poczytałeś za przestępstwo. Herezją nie jest to w żadnym razie. Odrzucam więc twe zarzuty, uznając je za niesłuszne.

Niemniej najlepiej będzie, jeśli po otrzymaniu błogosławieństwa od ojca oskarżona tu Orriflemina wraz ze swym wybrankiem ruszą ze mną do Paryża, by tam, przy ołtarzu w katedrze Marii Panny całkiem oczyścić się ze wszelkich wątpliwości.

– Czy ktoś zechce podważyć moje orzeczenie, zaprotestować przeciw słowom świętego Pawła? – Tu Fillegan popatrzył na siedzących za stołem. – Burmistrz? – Lekkie zaprzeczenie głową. – Proboszczu Bonetti? – Ten z trudem skrywał uśmiech na wargach. – Proboszczu Marceau?

Marceau sapał z irytacją. Jego oskarżenie upadło. Nie był aż takim szaleńcem, by ważyć się dyskutować z cytowanym tu Pawłem z Tarsu. Za to sam mógłby pójść na stos.

– Nie – rzekł wreszcie ochryple. – Sprawiedliwy to wyrok. Choć nieoczekiwany. I może lepiej by było, gdybyś nie ty, panie, go ogłosił.

Rycerz spojrzał na biskupiego wysłannika.

– A co ty sądzisz, panie, o takim rozstrzygnięciu?

Dreotti powstał ze swego miejsca.

– Pochwalę je jako rzetelne i sprawiedliwe. Doniosę o tym, komu trzeba.

Fillegan uklonił się dwornie.

– Nie warto wspominać na wysokich urządach o marnym świeckim inkwizytorze... Pozostała jeszcze jedna kwestia do załatwienia. Otóż obecny tu Pierre de Champollin zawiadomił mnie o podejrzeniu herezji w rodzinie Trybanich...

Rozległo się kilka głośnych okrzyków, zaszemrały rozmowy. Jedni spoglądali na Champollina, który próbował zniknąć, powstrzymany przez stojącego obok Duendaina wiszącego na nim całym ciężarem, inni na Trybanich, czekających spokojnie, smutnych, gotowych na wszystko. Po wczorajszej wizycie, gdy inkwizytor nakazał im stawić się na ogłoszenie wyroku w sprawie Orri, liczyli się widać z najgorszym. Choć... nie uciekli.

– Zbadałem sprawę wczoraj, herezji nie stwierdziłem. Na wszelki wypadek rodzinę Trybanich oddaję pod roczną kuratelę proboszczowi Bonettiemu, aby rozstrzygnął, czy za tymi podejrzeniami kryje się jakaś ludzka sprawa, choćby bieda, czy też faktyczna herezja. W biedzie należy pomagać, odszczepieństwo tępić, więc pomoc i nadzór się przydadzą, jak myślę. Natomiast rzeczonemu Champollinowi, który tak czujnie przygląda się występкови grasującemu w waszym mieście, wskazuję odbyć pielgrzymkę do Santiago de Composteli, niech tam podziękuje za łaskę prawdziwej wiary.

– Ależ panie! – wrzasnął przerażony Champollin. – To i rok może potrwać!

Fillegan uniósł rękę i ludzie natychmiast przestali szemrać.

– Zastanawiam się, czy nie wysłać cię, zacny Champollinie, do Jerozolimy, abyś tam mógł podziękować Bogu. Albo do Rosetty w ziemi egipskiej...

Nieszczęśnik zamilkł, szlochając bezgłośnie. Duendain podtrzymywał go teraz przed upadkiem na ziemię.

– Zastanowię się również, czy w drodze wyróżnienia za czujność także obecnego tu proboszcza Marceau nie wysłać na tę dziękczynną pielgrzymkę. O tym jednak niech zadecyduje tutejszy ordynariusz. Wkrótce prześlę mu odpowiednie papiery. Bo może biskup uzna, że lepiej naszego proboszcza posłać na franciszkańską placówkę w Ziemi Świętej, by tam nawracał muzułmanów i dawał przykład chrystusowego miłosierdzia?...

Proboszcz wyglądał jak rażony apopleksją, złapał go nerwowy tik policzka. Rozległy się ironiczne śmiechy, które jeszcze bardziej zdenerwowały Marceau. Zaczął wygrażać tłumowi zaciśniętym kułakiem, ale to tylko spotęgowało rozbawienie gawiedzi. Tak pękła bariera strachu.

A reszta w waszych rękach – pomyślał Fillegan. Miał nadzieję, że ludzie znajdą sposób na pozbycie się tego dokuczliwego ciernia.

– Na czas nieobecności Champollina zarząd jego majątkiem oddaje burmistrzowi Vielliardowi. I to tyle. Zamykam proces – zakończył z ulgą.

I udając, że idzie się pomodlić w górującym ponad podestem kościele, rzucił się do ucieczki. Obawiał się, że Orri, Perdigan i stary Lagrange, już przepychający się ku niemu, zadziękują go na śmierć.

* * *

Procesowy triumf oraz myśl o własnym, niechby i skromnym mająteczku sprawiły, że z ostatniej nocy spędzonej w Sercu Rozkoszy Fillegan zapamiętał niewiele. A to, co złośliwa pamięć uznała za warte odnotowania, przyprawiało go o jęki...

– E, panie, normalny kac – rzekł Duendain, wciskając kubek w rękę. – Nie ma co się rozczulać, w gorszej opresji się bywało... No, w górę serca – pomógł roztrzęsionej ręce rycerza naprowadzić brzeg naczynia na drogę wiodącą do ust.

– Per?... – wychrypiał Fillegan.

Duendain odstawił pusty kubek.

– Poszedł po oficjalne błogosławieństwo do ojca dziewczyny. Kazał nadmienić, że później, hm, sami sobie z Orri muszą pobłogosławić, rozumiesz, panie, więc przed wieczorem nie należy się ich spodziewać. Albo i jutro rano, jak dobrze pójdzie...

– Co to było?! – stęknął rycerz. Wrona kołująca mu przed oczyma wylądowała poza zasięgiem wzroku. Język już nie smakował niedźwiedzim futrem od dziesięcioleci deptanym przez księcia niegustującego w wodzie i pachnidłach.

Chłopak uśmiechnął się z satysfakcją.

– Lepiej, panie, żebyś nie wiedział, bo od samej znajomości przepisu mógłbyś odnieść kontuzję na umyśle. Pomogło? To najważniejsze.

Później Fillegan wziął się do sortowania ksiąg Perdigana, bo wszystkich przecież ze sobą nie zabiorą. Bezlitośnie odrzucał na kupę do spalenia wszystkie poezje (ni w ząb nie pojmował ich zawilności), a już ze szczególną satysfakcją odsyłał tam eposy rycerskie, w których poprzedni właściciel musiał być mocno rozmiłowany, bo zajmowały, w różnych wersjach, pół kufra. Pewnie był mieszczuchem, który porządnego miecza na oczy nie widział, bo tylko naiwniakom można wcisnąć ten straszliwy kit, którym karmili ich artyści.

Eposy z prawdziwym rycerstwem miały tyle wspólnego, że zarówno papierowi, jak i prawdziwi rycerze używali kopii, mieczy oraz innych akcesoriów wojennych. Różnice pojawiały się w szczegółach. Na przykład eposowy rycerz ginął z honorem, grając na Olifancie, swym ulubionym rogu, później łamiąc miecz, przezacnego Duracella, wreszcie wymachując niebu lenną rękawicą. Prawdziwy rycerz, cóż... zwiewał, kiedy opresja zrobiła się nazbyt wielka. A kiedy pierzchnąć cichaczem się nie dało, gryzł, kopał, walczył o życie niezbyt uczciwie, mało literacko, za to zaciekle i w rzyci mając króla, honor i ojczyznę.

I dlatego – podczas kiedy sporo takich podłych i stosujących lisią strategię rycerzy wciąż, niby siedem plag egipskich, gnębiło ziemie i ludy Europy – we wspomnianych eposach co jeden to śmierć spotykał bardziej wyrafinowaną i dramatyczną.

Pogrążony w tej bolesnej konfrontacji literackiego arcyzmu z sierniężą rzeczywistością, Fillegan usłyszał Duendaina dopiero wtedy, gdy ten niemal stanął mu za plecami.

– Mam pytanie – zaczął giermek, przysiadając obok w kucki. – Raz już, panie, gdy wypytywałem o to, w jaki właściwie sposób pokonałeś tych zbójów na florenckiej drodze, odparłeś, że masz swoją tajną broń zerosieczną. Próbuję to pojąć... i nie umiem. A myślę, że w ostatnich dniach, na procesie, znów jej użyłeś.

Fillegan wziął do ręki kolejne dzieło, „Tristana i Izoldę”. Po chwili zastanowienia postanowił tę księgę ocalić ze względu na rolę, którą odegrał w niej podły i przebrzydły karzeł Frocyn. Rycerz miał słabość do czarnych charakterów w sztuce.

– Błąd twój, giermku wierny, ale ciężko myślący – zaczął – polega na tym, że ty sobie myślisz tak: miał siłę albo jej nie miał. Mówił prawdę albo kłamał...

Wzrok Duendaina wskazywał na to, że giermek ciężko myślący nadal nie pojmuje. Fillegan westchnął z rezygnacją.

– Miecz może być jednosieczny albo dwusieczny, prawda?

Chłopak gorączkowo skinął głową. To przynajmniej było jasne.

– Czyli jeżeli w pochwie nie mam miecza, a tylko rękojeść z ułamkiem głowni, to mam zero ostrzy, tak?

Giermek z wahaniem przytaknął.

– Czyli mam broń zerosieczną, prawda? – zakończył wyjaśnienia Fillegan. – I jeżeli pokonam przeciwników, zmuszę ich do odwrotu, tylko

pokazując im pochwę i rękojęść, a ostrza w środku naprawdę nie mam, to pokonam ich bronią ilosieczną?

– Zero – wyszeptał zdumiony Duendain. Naraz na jego twarzy odmalowało się niemal bolesne zrozumienie. – Czy to oznacza, że ty nie jesteś inkwizytorem, panie, ani nie władasz magią? – rzekł wstrząśnięty.

Rycerz skrzywił się w cierpkim uśmiechu i zaczął układać palce w skomplikowany supeł...

– A chcesz się przekonać?

Gwałtowne trzaśnięcie drzwi przekonało go, że jego giermek w nogach jest jednak szybszy niż w języku.

No i dobrze. Bo Fillegan, rozplatając palce, uświadomił sobie, że niemal złożył je do znaku Uaa. A ten przywoływał... przywoływał... Zmarszczył czoło. Nie pamiętał, jakie skutki powodował ten znak, ale pamiętał, że było to coś straszego.

Wrócił do sortowania ksiąg.

Jeszcze nie władam magią – pomyślał z rozbawieniem i rozkosznym poczuciem rośnięcia w siłę. – *Jeszcze. Ale po nocy przychodzi dzień, a wtedy... drzyjcie kupcy! Drzyj, Ayermine!*

Witajcie słodkie wielbłądy!

I wtedy, w rozkwicie pięknej fantazji, ciche pukanie do drzwi przywołało go do brutalnej rzeczywistości. Kiedy otworzył, ujrzał Dreottiego.

Wysłannik biskupa bez zaproszenia wkroczył do środka. Pozwolił sobie nalać wina i usadzić na najbardziej honorowym ze wszystkich tych niewygodnych siedzisk, jakimi dysponował Fillegan, po czym od razu przystąpił do rzeczy:

– Nie miejcie do mnie urazy. Spełniałem obowiązek, narzucony mi siłą, bo Marceau w biskupiej kurii ma swoje znajomości – wyjaśnił. – Ale wydał

mi się namolny i podły, więcej naszej sprawie szkodzi, niż pomaga. Trzeba go było ostrzej skrytykować, panie Filleganie.

Rycerz obłudnie westchnął.

– Zawsze to jednak pasterz...

Dreotti tylko na to machnął ręką z niecierpliwością.

– Myślał, że będę trzymał jego stronę. Wyobrażasz sobie, że pieniędzmi wciskał? Mnie?! Prawdzie nie zaprzeczam, chwilami rację miał, ale ogólnie to umysłowe i moralne niziny, pewnie bękart kogoś znacznego. – Wysłannik biskupa wstrząsnął się z odrazą. – No nic, wracam do siebie, na dwór biskupi. – Aha, jeszcze jedno. Świeckim inkwizytorem jesteś, to ci wprost powiem, dobrej rady udzielę. Jak chcesz lud pozyskać, stosuj mniej fantazji, a więcej przyziemnych porównań, bo cię tłum nie zrozumie – zakończył Dreotti. – No, bywaj. Do zobaczenia.

Oby nie – pomyślał Fillegan. – *Tego mógłbym nie przeżyć.*

* * *

Bonetti widokiem florenów wydawał się zaskoczony jeszcze bardziej niż osobą Fillegana w swoich progach.

– Długi tym spłacą i jeszcze coś zostanie – rzekł ze zdumieniem. – A może byś, inkwizytorze, sam im dał te pieniądze?

Fillegan pokręcił przecząco głową. Na myśl, że miałby znosić te wszystkie hołdy Trybanich: dzieci z piskiem padające do stóp, żonę szlochającą ze szczęścia, męża wciąż w gorączkowej radości potrząsającego jego dłońią, robiło się rycerzowi nieswojo na duszy. W końcu miał teraz w garści nie parę monet, tylko niemal cały majątek Perdigana. Próbował niewielkim kosztem uspokoić sumienie.

– Niech zostanie, jak jest – odparł, ściskając prawicę Bonettiego. – Pieniądze rzecz nabyta, proboszczu, dziś są, jutro ich nie ma, pojutrze znów

przychodzą. A ty najlepiej powiedz, że to od anonimowego darczyńcy, mniej będą mieli oporów, by je wykorzystać.

Resztę popołudnia spędził w towarzystwie Vielliarda. Burmistrz był zachwycony, stawiał kolejkę za kolejką – i gdyby nie wciąż tkwiące w pamięci Fillegana niedźwiedzie futro, chyba by powtórzył doświadczenie z poprzedniej nocy.

– Wielki, wielki odtąd będę mieć szacunek dla braci inkwizytorskiej – zaczął swe wylewne pożegnanie Vielliard. – Każdego z otwartymi ramionami i sercem przyjmę...

– Nie przesadzaj – powstrzymał go z szerokim uśmiechem rycerz. – A jak jakiś dureń przyjedzie? Zresztą, tak rządz, żeby w ogóle nie trzeba było herezji wypleniać. Za to wypijmy. – Wzniósł w górę ostatni kielich wina.

* * *

Pożegnali się ze wszystkimi poprzedniego wieczora, ledwie więc nastał świt nowego dnia, bez żalu, a nawet z niejaką ulgą opuścili miasteczko na koniach podarowanych całej czwórce przez starego Lagrange'a, który uznał, że własnej córce i jej przyszłemu mężowi nie ma co żałować, Fillegana zaś i jego pomocnika wynagrodził za uwolnienie Orri od stosu, a nazwisko Lagrange od hańby, która niechybnie by się na interesach odbiła.

– Z tym Paryżem to poważnie? – spytał Perdigan, gdy ostatnie zabudowania St. Toile zniknęły za horyzontem. – Bo tak myślę... – Zerknął na jadącą obok ukochaną, która uśmiechnęła się marzycielsko.

– Jeśli zechcecie... Przymusu nie ma. Ale najpierw, jak ustaliliśmy, do twego Ravissaint, drogi kupcze, wypełnić zobowiązania.

– Zostałem najbogatszym pośród nędzarzy. – Perdigan westchnął z żalem. – Straciłem pieniądze, a odzyskałem miłość. A klątwę kiedy zdejmiesz? – przypomniał sobie naraz. Zaniepokojona Orri spojrzała

najpierw na kupca, potem na Fillegana. W jej oczach pojawił się niedobry błysk, gdy ponownie wbiła wzrok w byłego już inkwizytora.

– Nie było żadnej klątwy, zaklęcia ani czegoś podobnego. – Rycerz parsknął śmiechem.

– Uhm. Akurat ci wierzę – powiedział były kupiec, obecnie golec (ale szczęśliwy). – Haczyk na mnie chcesz mieć, i tyle. A ty z Ravissaint dokąd zamierzasz się udać? Bo jakoś, wybaczyć, nie widzę cię jako statecznego kupca w małym, nudnym miasteczku...

Fillegan zakreślił wyciągniętym mieczem ćwierć horyzontu przed sobą.

– Gdzieś tam – odparł. – W jasność i ciemność, radość i ból, gniew i satysfakcję. W świat, moi przyjaciele. Czy nie mówiłem, że on czeka na mnie?

Obejrzał się na kompanię, spiął konia ostrogami.

– Naprzód!

Rozdział trzeci

Pierwsze próby zapanowania Fillegana z Wake nad magicznym żywiołem nie były, niestety, udane...

Hodia von Tutenberg, ***Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata***

Fillegan z niechęcią oderwał wzrok od książki, nad którą ślęczał.

– I powiadasz, Orri, że mandragora krzyczy? – Westchnął z ironią. – No popatrz, a w tym dziele Honoriusz twierdzi, że ona wrzeszczy...

Zaczepona tak złośliwie dziewczyna z trzaskiem postawiła przed nim talerz z jedzeniem i wyszła z pokoju. Rycerz uśmiechnął się lekko i wrócił do lektury.

Wiecheć na obrazku, w którym przed chwilą bezbłędnie rozpoznała mandragorę, fascynował go coraz bardziej. W przeciwieństwie do dziewczyny nie uważał, że to zwykłe, przereklamowane zielsko. Jeżeli Honoriusz z La Puty nie mylił się w swoich spekulacjach, ono było wręcz niedoreklamowane – i należało z tego skorzystać!

Choć... może to tylko dobry humor go zaślepił, odebrał mu zwykłe, codzienne, z konieczności krytyczne widzenie spraw. Bucefałowa podkowa zawisała nad progiem jego własnego domu w Ravissaint, który jeszcze parę tygodni temu należał do Perdigana. Rycerz stał się także właścicielem składu sukna różnej jakości oraz kilku skrzynek wypełnionych monetami. Sam nigdy by ich nie odkrył, tak dobrze były schowane, lecz Perdigan nie dał się przekonać, że żadnej wielbłądziej klątwy nie ma, wciąż nawracał do

tego... Aż wreszcie, w ostatecznej rozpaczy, położył te monety na szali swego życia. Cóż było robić, Fillegan uległ i cofnął (nieistniejące przecież) zaklęcie z całym należnym temu ceremoniałem.

Jednak sama myśl, że mógłby zostać członkiem cechu, który reprezentował swą paskudną osobą Ayermine (obecnie, jak wiadomo, rujnujący siedzibę rodu Wake), wstrząsnęła nim do fundamentów. Zaraz więc oddał Perdiganowi całą gotówkę, aby ten mógł ją pomnażać ku radości swojej i mającego połowę udziału w zyskach rycerza. Kupiec natychmiast odzyskał humor i motywację do życia, Orri zaś wreszcie przestała rzucać na Fillegana bazylijszkowe spojrzenia.

Choć dziewczyna była mu wdzięczna za ocalenie, wrodzona duma nie pozwalała jej tego okazać. W efekcie stała się nadmiernie szorstka i czasem wprost agresywna. Jednak pod tą sękatą skórą kryło się złote serce – trzeba było tylko umieć odsunąć na bok drobne zaczepki. Zresztą i on sam ich wobec Orri nie unikał. Taki po prostu przyjęli styl.

Pierwotnie rycerz planował rozliczyć się z Perdiganem i ruszyć w towarzystwie giermka w dalszą drogę, wiodącą do Chaverny, do zamku hrabiego Detardieux. Chciał tam w ciszy i spokoju studiować pozyskane książki. Wertując te niezwykle dzieła, dostrzegł jednak w swoim planie pewien ambarasujący szkopuł. Otóż według Honoriusza mandragora w Normandii występowała niezwykle rzadko. Natomiast okolice Ravissaint, jak twierdził autor „Nowoczesnego medyka”, uchodziły za prawdziwy raj dla poszukiwaczy tej rośliny.

Zrewidował więc swe zamierzenia. Napisał list do hrabiego Detardieux, czy może (tylko na tę jedną zimę, zaznaczył) zastąpić go w pilnowaniu zamku inny lubujący się w normandzkich mrozach człowiek, jego przyjaciel, przypadkiem także rycerz godzien wspomnienia. Równocześnie skreślił pismo do Geoffa z Lamacy z przypomnieniem, że wciąż jest mu

winien niemalą sumę. Niech się więc nie obija, tylko szykuje do wyjazdu, bo nadarza się okazja odpracować dług.

Sam zaś postanowił osiąść w Ravissaint, zgłębić tajemnice mandragorowego ziela, a także innych aspektów magii, którymi zajmowały się księgi.

* * *

Jakoś dwa dni po dyskusji z Orri nad dziełem objawiającym tajemnice mandragory Fillegan postanowił odkryć swe plany przed resztą kompanii.

Ktoś mógłby pomyśleć, że to pycha wezbrała w jego duszy – ale nie, rycerz postanowił po prostu zaprząć obiboków do uczciwej pracy. Człowiek, który rozumie, dlaczego coś ma zrobić, zwykle wykonuje swoją pracę lepiej. (Albo i nie. Wtedy jednak karę stosuje się z pełnym przekonaniem i przyjemnością). Dosyć więc słodkiego leniuchowania Duendaina i flirtowania z Bereniką, hożą córką tutejszego kramarza. Najwyższa pora udowodnić Orri, że lekceważenie mandragory to poważny błąd. Perdigan też mógłby poszerzyć swoje horyzonty, wyrzeć poza bele grubego sukna.

Z jakiegoś niezrozumiałego dla siebie powodu Fillegan nie potrafił wykrzesać do kupca nienawiści, jaką darzył resztę jego cechu. Może sprawiły to księgi? A może z Perdiganem było coś nie w porządku?

Zebrał w swoim pokoju na wieczorną naradę całą kompanię, sadzając wokół stołu. Sam usiadł naprzeciw nich, namaszczonym gestem kładąc dłoń na Honoriuszu.

– Zapewne zastanawialiście się, czym od jakiegoś czasu się zajmuję... – Tu udał, że nie dostrzega wzruszenia ramionami Orri. – Otóż w księgach, które przywieźliśmy ze St. Toile, to miłe miasteczko, jakim jest Ravissaint, opisane zostało jako miejsce zaiste niezwykle...

Wszyscy, włącznie z Duendainem, który powinien już znać możliwości Fillegana, spojrzeli na niego jak na czterogłowego wilka podmorskiego.

– A cóż w Ravissaint może być niezwykłego? – Perdigan pierwszy odzyskał głos. – Dziura, jakich wiele. Chyba nie chodzi ci o to, że tysiąc lat temu zeszli się tu na rozmowę trzej święci, Matrycy, Partycy i Qwertycy? Bo dziś już nawet nie wiadomo, czy gdzieś usiedli, czy też rozmowę prowadzili na stojąco, ani czego dotyczyła. Relikwii też żadnych po sobie nie pozostawili.

Rycerz przecząco pokręcił głową.

– Mandragora – wyjaśnił z triumfem. – W dziele Honoriusza z La Puty uznaje się ten region za najbardziej mandragorodajny ze wszystkich europejskich złóż tej rośliny – posłużył się cytatem, który miał zrobić na siedzących przed nim nieukach wrażenie.

Perdigan wzruszył ramionami, Orri prychnęła pogardliwie w tonacji „a nie mówiłam”. Jeden Duendain przeczuł, co się święci.

– O nie, mowy nie ma! – sarknął z oburzeniem. – Ja pod szubienicę chodzić nie będę!

Fillegan zaśmiał się krótko.

– Głupiś, giernku mój, niegrzecznie wrywny – stwierdził sucho. – Na czym ta mandragora miałaby urosnąć, na kamiennej kostce? Na drewnianym pomoście? Duendain, myśl, proszę, bo nigdy cię nie pasuję na rycerza. Nie, moi drodzy, my posłużymy się metodą naukową, którą w swym dziele opisał Honoriusz. – Tu rycerz znacząco stuknął w księgę leżącą na stole. – Będziemy szukać jej tam, gdzie ona naprawdę rośnie.

– I cóż potem z nią poczniemy? – Perdiganowi jakoś trudno było wyobrazić sobie handel korzeniem mandragory. Owszem, może będą mieli szczęście i uda im się wygrzebać parę sztuk, ale to nawet nie detal, tylko działalność hobbystyczna.

Fillegan uśmiechnął się tajemniczo. Milczał.

– Ale nie da się wyrwać mandragory, ot tak sobie – przypomniało się naraz Orri. – Trzeba mieć psa, inaczej to się źle kończy dla człowieka.

Rycerz z uznaniem skinął głową.

– Brawo, Orri. Właśnie dlatego powiedziałem, że użyjemy metody naukowej. Skórzane rękawice, rzemień, pies i kiełbasa. A właściwie – psy, skoro chcemy nakopać tych korzeni, ile się tylko da.

Mandragora to nie trufle – i choć świń w Ravissaint nie brakowało, zielska trzeba będzie szukać samemu. Wypada więc wiedzieć, jak ono wygląda. Wykorzystując efekt zaskoczenia, Fillegan rozpoczął pierwszy etap szkolenia.

– Duendain, mandragora nie rośnie pod wisielcami, to tylko zabobon. Na cmentarzu, na skraju lasu, w półmroku leśnych polanek, tam jest jej miejsce. To zielsko lubi półcień. Taka już jego dwoista natura, że choć nie obędzie się bez życiodajnego światła, to i ciemność jest mu niezbędna do wegetacji.

Sięgnął po Honoriusza i otworzył księgę na kolorowej ilustracji. Podtykał każdemu pod nos, żeby dobrze mogli się przyjrzeć kępie prostych, podłużnych, lekko błyszczących ciemnozielonych liści. Potem przewrócił kartę.

– Pierwszym zaskoczeniem – zaczął – jest to, że rodzajów mandragory występuje ze sześć, a nas interesują co najmniej dwa! Pierwszy kwitnie wiosną, i tu się spóźniliśmy. A na zbiór kwiatów i owoców z drugiego mamy jeszcze trochę czasu, bo to mandragora jesienna. Na razie zajmiemy się korzeniami zielska. Tak nawiasem mówiąc, ten korzeń zwie się też alrauną.

Patrzyli na niego ze znużeniem.

– Mamy też dwa rodzaje korzenia: męski, przypominający fallusa, i żeński, przywodzący na myśl ciało kobiety – ciągnął niezrażony ich postawą. – Mój przyjaciel Honoriusz twierdzi, że sporo magicznych mikstur jest do du... nie skutkuje, albowiem przyrządza się je bez uwzględnienia tak podstawowej kwestii, jaką jest płeć lezonego.

Perdigan zaczął coś po cichu liczyć, na wpół ukryty za Duendainem, jedynym, który bał się okazać brak zainteresowania wykładem pryncypała.

– Dobra, już kończę. – Zrezygnowany Fillegan machnął ręką, odkładając księgę na bok. – W sprawach miłosnych, a jakże – puścił oko do Orri – nasze zielsko także pomaga. Poza miłosnymi aspektami, mandragora uśmierza bóle. A ponadto, za jej pomocą można przepowiadać przyszłość!

Ironiczne prychnięcie Orri zabrzmiało jak wystrzał.

– Akurat – sarknęła. – Już by dawno wyzbierali, gdyby to było takie proste i odpowiadało prawdzie.

Fillegan skinął głową.

– Wokół Ravissaint rośnie prawdziwe złoto, trzeba je tylko znaleźć, bezpiecznie wydobyć i przyrządzić mikstury. A to, droga Orri, jest niemożliwe bez tego dziełka. – Stuknął paznokciem w twardą okładkę „Nowoczesnego medyka”.

* * *

– Issa, bissa, magissa! – powtórzył. – Dooch, mooch, hande hooch!

Ciemność wokół zgęstniała. Wydało się Filleganowi, że potrójny krąg ze świec, pośrodku którego siedział w pozycji lotosu, przygasa. Na razie przywoływanie jednego z pomniejszych germańskich demonów nocnych przebiegało dokładnie tak, jak opisywał „Poradnik demonologiczny Anno Domini 1234”.

– Karamputt! – rzekł szybko, z napięciem w głosie, starając się przełknąć ślinę, która uparcie tkwiła mu w gardle. – Goostlick, Charick, Awatarick!

Awatarick! Awatarick!!!

Demon formował się na pograniczu światła i ciemności, nabierając kształtów. Widać już było przerażającą głowę, szyję, górę korpusu ze szponiastymi łapskami...

Naraz drzwi do pokoju otworzyły się z trzaskiem i poprzez utkanego ze światła i ciemności Awataricka dobiegł rycerza donośny głos Orri:

– A może by tak łaskawy pan pofatygował się jednak zjeść kolację ze służbą?

* * *

Całą noc Fillegan dochodził do siebie. Awantura, jaką zrobił nie mniej od niego wystraszonej Orri, nie ukoła jego nerwów. Ciemność w kątach wydawała mu się pełna rąk, wypęły z niej pazury, szpony, macki... A wszystko dlatego, że choć dziewczyna zerwała czar, to nie potrafił ocenić, czy Awatarick wrócił do swego podziemnego świata, czy też wciąż ukrywa się w jakimś kącie, nie w pełni zmaterializowany.

Tak to jest, jak się lekceważy innych domowników. Choć Fillegan nawrzeszczał na Orri, ta, odgryzając się zajadle, trafiła w sedno: przecież nikogo nie uprzedził, że będzie w swoim pokoju dokonywał magicznych praktyk. Za które – dodała z dziwną miną – można trafić na stos.

Od tego zaczął więc następnego dnia rankiem, gdy zebrał kompanię w swoim gabinecie:

– Od dziś obowiązuje zasada, że jak znikam w gabinecie, to nie ma mnie dla nikogo, choćby sam papież wyznaczył audiencję. I nikomu ani słowa, co się w tym domu wyrabia. Jasne?

Orri mruknęła coś niezrozumiałego pod nosem. Perdigan za to całkiem otwarcie spoglądał na Fillegana, zaś w jego wzroku można było wyczytać podejrzenie, iż ten oszalał. Albo uczynił coś jeszcze gorszego: napastował jego ukochaną.

Kupcowi nie należało się zresztą dziwić. Słyszając krzyki, pognał na pięterko i pierwszym co ujrzał, była Orri uciekająca przed rycerzem. Dziewczyna minęła narzeczonego, omal strącając go ze schodów, a nieszczęsny adept magii zatrzymał się, zwalając Bogu ducha winnego kupca z nóg i lądując na nim niby na miękkim materacu.

Najgorsze dla Perdigana było to, że później żadne z tej dwójki nie chciało mu niczego wyjaśnić.

– To twoja wina – rzekł rycerz, popatrując w osobliwie skupione na nim spojrzenie sukiennika. – Te księgi, których kufer mi podarowałeś, to była nie tylko marna poezja i dzieła zielarskie. Część z nich, jak sam pewnie wiesz, traktuje o magii...

Dwie pary oczu z napięciem czekały, co powie dalej, tylko Orri bezgłośnie zakłęła pod nosem na wspomnienie nocnych wydarzeń. Fillegan miał silną ochotę wyczekać na jakąś reakcję obu mężczyzn, ale obawiał się, że to może potrwać. A szkoda czasu.

– Jasne, że magią. Przecież wam mówiłem, że ze mnie mag ponadczasowy, artysta-wizjoner i kat na heretyków, choć tonsury nie noszę. A także sybaryta i poliglota, w odpowiednich proporcjach.

Perdigan przełknął głośno ślinę, naraz pojmując, czego był świadkiem. Choć wciąż nie miał pojęcia, w jakiej roli obsadzona została Orri.

– Trzymajcie więc buzie na kłódkę, a mnie nie przeszkadzajcie, chyba że wyraźnie poproszę o pomoc – ciągnął Fillegan. – A teraz wróćmy do tematu mandragory. Po pierwsze: psy. Otóż, są nam niezbędne. A właściwie cała hodowla psów. Na szczęście nasz domek położony jest na przedmieściach, nikomu nie będziemy przeszkadzać.

– Po co ci cała hodowla? – zdumiał się Jos. – Nie lepiej kupić tyle zwierzaków, ile ci potrzeba? – Westchnął ciężko. – Wolę nie myśleć, do jakich praktyk magicznych ich użyjesz...

Fillegan uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Niby kupiec, a fantazja trzyma się ciebie isticie niepospolita, Perdiganie. Psy będą nam potrzebne, bo jak znajdziemy mandragorę, to jeden za drugim będą padać trupem podczas pozyskiwania korzeni. Mandragora to złośliwa bestia, rzuca na wrywającego klątwę, nieszczęście, ze śmiercią włącznie. Chyba lepiej, żeby urok zawisł na psim ogonie, niż na którymś z nas? – dodał retorycznie.

– Na razie zaczniemy od wyłapywania bezpańskich psów. Duendain, to twoja działka. A potem zajmiemy się poszukiwaniem takiej pary, której mandragora będzie niestraszna. Bo przecież i wśród psów muszą być jakieś potwory, nie?

* * *

Następnych kilka dni to był istny Armagedon, Apokalipsa i wstąpienie w ostatni krąg piekieł dla okolicznych psów płci obojga. Ravissaint zostało oczyszczone z wszelkich bezpańskich burków. Cała ta sfora, skowycząc, wyjąc i ujadając, wylądowała w przybudówce do stajni.

Wielkimi krokami nadchodziła nowa era. Fillegan starannie wybrał pierwszą ofiarę. Był to wielki, łaciaty kundel, z charakterystyczną ciemną plamą na białym czole. Przypominała nieco pukiel proboszcza Marceau – stąd nieszczęsne stworzenie zyskało sobie miano Pukla właśnie. Rycerz nakazał Duendainowi obserwować go uważnie, raz na jakiś czas nakarmić kielbasą, żeby pies oswoił się z niezbędnym elementem w planie pozyskania cudownego korzenia.

Sam tymczasem wychylił nos poza leśne ostępy, gdzie poszukiwał mandragory – i wyjątkowo nie po to, aby go zaraz wsadzić w stos magicznych ksiąg. On także, podobnie jak cudowny korzeń, potrzebował pewnej dwoistości. Tyle że w przeciwieństwie do zielska, na którym skupiał swą uwagę, rycerska dwoistość przejawiała się w nasyceniu różnymi

alkoholami lub jego braku. Zdecydowanie potrzebował lekarstwa: knajpy, zacnej kompanii oraz beczułki wina.

Perdigian mieszkał w prawdziwym mieście. Ravissaint w porównaniu do St. Toile było istną metropolią. Choć rycerz musiał przejść parę kroków, by trafić na rynek, to gdy już tam dotarł, miał do wyboru bodaj siedem całkiem przyzwoitych przybytków wszelkiej przyjemności dostępnej cywilizowanemu człowiekowi. I dziś zamierzał zażyć wszystkiego, co będzie w stanie – napitków, jedzenia, a nawet metafizyki, gdyby przytrafiła się okazja do interesującej dysputy.

Podążał więc różnym krokiem w stronę Prawdziwej Rozkoszy, speluny wprawdzie niecieszącej się dobrą opinią, jak się zdołał zorientować, ale za niewielkie pieniądze oferującej całkiem przyzwoite wino oraz kompanię, kiedy naraz zobaczył coś, co wprawilo go w takie osłupienie, że zamarł w pół zamaszystego kroku.

Oto pod oknem jakiegoś dosyć okazałego domu prężył się niewysoki, dobrze ubrany trubadur. Nie śpiewał bynajmniej, jak by się można tego spodziewać, lutnię trzymał pod pachą, pierś wypinał i głowę zadzierał, czasem potrząsając nią, jakby w szczególnej, choć niemo wyrażonej emocji. Udawał, że nie dostrzega całej gromady dziewcząt, dojrzałych już niewiast i staruszek, które zza jego pleców poszeptywały z zachwytem.

Co najdziwniejsze, okno było zamknięte. Trubadur wysiłał się dla osoby, która nawet nie chciała go oglądać!

Fillegan jakoś przepchnął się przez ten babiniec, kontrolnie rzucając okiem to na trubadura, to na okno. Nic się jednak nie zmieniło, kobiety wymieniały uwagi w jakimś niezdrowym zachwycie, muzyk pozorował, że tego nie słyszy, nadal prężąc się w pozie tyleż niewygodnej, co odpowiadającej wyobrażeniu widowni o tym, jak powinien zachowywać się wielki mistrz śpiewu. Tajemnicą pozostawało, dlaczego ów typek nie

śpiewa. Zamknięte okno nie było tu przecież żadną przeszkodą. Jeszcze większe zaskoczenie budził fakt, że obiektem westchnień zebranego wokół sporego stadka niewiast nie był w żadnej mierze młodzieniec o gładkim obliczu i żywym spojrzeniu, a mężczyzna starszy, który nie krył wieku, a posrebrzone siwizną włosy dumnie rozpuścił na plecy.

Rycerz chciał nawet zapytać, o co tu chodzi, jednak w porę ugryzł się w język. Prawdziwa Rozkosz, antałek wina, ukojenie. A jak zacznie się dopytywać, jeszcze wplącze się w jakąś aferę.

Pośród rozgwaru i szybko opadającego stężenia krwi w alkoholu wkrótce zapomniał o dziwnej scence. Karczmarz, ledwie rzucił nań okiem, natychmiast okazał respekt, bez pytania posyłając chłopaka z winem. Po raz pierwszy od bardzo dawna Fillegan mógł zasmakować picia za swoje, bez obaw o dzień jutrzejszy – i konsumował to doświadczenie z pełnym zaangażowaniem.

Wystarczyło, że błysnął dobrą monetą, zaraz też znalazło się biesiadne towarzystwo. Zagadnął go najpierw tutejszy skryba burmistrza, a potem to już poszło, kolejno przysiadali się ściągnięci do stołu: syn piekarza, młynarz, szef straży miejskiej... Wkrótce był za pan brat z całą tutejszą menażerią. Nie żał mu było pieniędzy, którymi płacił za wszystkich, bo tanim sposobem poczuł się prawie autochtonem, a świeżo zapuszczone korzenie zdawały się wnikać coraz głębiej. I choć nie było to Wake – to jednak dla rycerza, który zasmakował sypiania w wykrocie, takie rozmowy przy napitku oraz miskach pełnych jedzenia miały niepowtarzalny smak.

– To powiadasz, zacny Filleganie, żeś uczony... – mruknął bladym świtem znad swego naczynia skryba burmistrza, niejaki Zenke, z trudem powstrzymując ziewanie. – A tak konkretnie, czym się zajmujesz?

Rycerz chętnie by się pochwalił, ale w tej chwili mandragora myliła mu się z mandoliną, a ta – nie wiedzieć czemu – z mandarynką. Zaś hodowla

mandarynek, obrządzanie ich przy pomocy czarów... nie, tylko by się ośmieszył. Nie wspominając, że w jego mocno przepitym umyśle jak uporczywy duch ostrożności kołatało się ostrzeżenie przed chwaleniem się magią byle komu. Choćby i miło płynął czas przy napitku.

– Totutotamki hoduję – rzekł więc wykrętnie, z wysiłkiem układając nieco zdrewniały język do trudnych słów.

Zenke otworzył przepite oczy szerzej.

– He?

Fillegan zaśmiał się w duchu. W jego rodzinnym Wake używało się takiego powiedzenia: „To tu zerknę, to tam spojrzę – a nuż coś urośnie?”. Choć nie miało ono wiele wspólnego z ogrodnictwem.

– Lecznicze zielsko – wyjaśnił. – Na razie mało przydatne, ale kto wie, któż to może wiedzieć, co z tego wyniknie...

Zenke natychmiast stracił zainteresowanie uprawami swego kompana od kieliszka. Ale nie samą rozmową.

– A znasz kogoś z tych sławnych uczonych, co to od dawna przepowiadają koniec świata?

Nie znał, ale przecież się nie przyzna. A przepowiadanie końca świata było modne od tysiąca lat.

– No, znam – przytaknął od niechcienia, robiąc minę „Ja znam wszystkich”.

– I co, będzie ten koniec czy nie?

Fillegan wzruszył ramionami. Popatrzył na skrybę.

– Kiedyś na pewno. Wypijmy, zanim nastąpi. Albo żeby nastąpił. – Uniósł w górę kubek z winem. – Jak kto lubi.

Zenke upił swoje wino i nachylił się ku swemu rozmówcy. Okrutnie śmierdział przetrawionym alkoholem.

– A bo jakbyś ty, panie, potrzebował skryby, albo któryś z tych uczonych... – zaczął nieśmiało.

Fillegan z niejakim trudem, wynikłym z nadmiaru alkoholu, skupił spojrzenie na czubku nosa Zenkego.

– Co, źle u burmistrza?

Zenke wzruszył ramionami.

– I źle, i dobrze, zależy, skąd wiatr powieje. Taranbum nie najgorszy... tylko płaci mało.

To wszystko wyjaśniało. Także i to, że na koniec skryba naciągnął rycerza na małą pożyczkę. Rycerz dał chętnie, traktując to jako swoistą inwestycję. W końcu trzeba jakoś kupić swoich ludzi w newralgicznych urzędach... a pożyczka jest lepsza od prostackiej łapówki.

Wróciwszy do pokoju, przed snem, zasiadł jeszcze do papierów, chwiejną ręką próbując zapisać uciekającą z głowy myśl.

– Zaraza! – klął przy tym okrutnie. – Psia krew macerowana!

Duendain zajrzał niespokojnie do gabinetu swego pryncypała.

– Potrzeba czegoś, panie?

Fillegan wpatrywał się w plamę na słowie „uczeni”, z czego widoczne było tylko „ni”.

– Dyni, żeby ci ją osadzić zamiast głowy. Zmiataj, zanim wezwę jakiegoś demona, żeby to zrobił.

Zdołał jednak zapisać uwagę. Zenke podsunął mu dobrą myśl: nawiązać kontakty z uczonymi. To zawsze się przyda.

Podkreślił plamę zdecydowanym węzykiem. Nawet nie musiał specjalnie się starać, kreska falowała mu sama z siebie.

* * *

Rano obudził się z bólem głowy i kacem. Do południa wylegiwał się w wyrku obsługiwany przez Duendaina niczym król angielski. Przy okazji

dowiedział się, że ów człek, którego wczoraj spotkał na swej drodze, to niejaki Falquet, ponoć największy spośród okolicznych muzykantów, a i w Paryżu dosyć szanowany. Giermek twierdził, że zapewne trubadurowi ktoś sowicie zapłacił za tę mękę. A że on, Duendain Capodimonte, nie w ciemnie bity, to już zamienił parę słów z rzeczonym Falquetem, a jak Filleganowi zależy, to może...

– Na razie zajmiemy się Puklem, mandragorą i powodzeniem naszego wielkiego planu – rycerz przeciął ten narastający potok słów, ubierając się.
– Na zdobywanie nowych znajomości przyjdzie czas później.

* * *

Mandragorę, aby nie utraciła swych magicznych mocy, należy rwać nocą, w świetle księżyca znajdującego się właśnie w pełni. Honoriusz posuwał się jeszcze dalej, twierdząc, że potęgę mandragorowego zieleń bardzo wzmacnia ogień pochodni. Zgadzając się z Laputańczykiem, Fillegan zamierzał wypełnić wszystkie warunki. Księżyc znajdował się w pełni, noc nadchodziła, pochodnie były przygotowane.

Wreszcie zapadły ciemności i ekspedycja naukowa pod wodzą rycerza zajrzała do psiarni.

Pukiel, uwiązany na łańcuchu niby krowa, skamlał rozpaczliwie. Fillegan spojrzał pytająco na Duendaina:

– Nic dziwnego nie zauważyłeś?

Giermek zaprzeczył ruchem głowy.

– W normie. Tylko się boi.

Nieszczęsny pies zapierał się łapami, jakby wiedział, co go czeka. Na przemian musieli go ciągnąć i popychać.

Strategiczne miejsca w leśnej głuszy Fillegan wytypował już wcześniej. W trakcie poszukiwań całą kompanią znaleźli siedemdziesiąt trzy

mandragory. Rycerz odkrył ponadto dziwne ruiny, niemal całkowicie pokryte mchem, dające się jednak rozpoznać jako resztki stołpu.

Na pierwszy ogień wybrał samotną mandragorę rosnącą na skraju niewielkiej polanki, zakrytej paprociami. Można tu było założyć dogodny punkt obserwacyjny, miejsca było dość, ściana lasu ściśle wyznaczona – prawdziwy raj dla naukowca.

Ale nie dla narzędzia badawczego. Pukiel szalał. Usiłował się wyrwać Duendainowi z ręki, napięty łańcuch drgał niczym struna. Prawie by można zagrać na nim „Boże, coś słodką Francję ocalił...”.

Fillegan odchylił kępę paproci i w świetle pochodni mandragora ujawniła się w całej okazałości zgromadzonym tu adeptom magii botanicznej.

– Nie krzycz, maleńka! – szepnął czule do wiechcia blado połyskujących liści.

Pod pieśczołą palców mandragora ożywiła się niczym niemowlę na dźwięk słów matki... albo głodna krwi pijawka.

– Łopata! – zarządził, popadając w naukowe szaleństwo. Giermek pospiesznie wcisnął mu ją do ręki. Rycerz szybko spulchnił ziemię wokół mandragory, niejako mimochodem karczując przeszkadzające w operacji zarośla skrzydlicy.

Jos, który przejął psa od giermka, burknął coś pod nosem. Pukiel nadal nie zdradzał chęci do współpracy, właśnie dał temu wyraz, wgryzając się w łydkę kupca. Ten kopnął go lekko.

– Nie rusz! – wrzasnął Fillegan, gniewnie spoglądając na Perdigana. – Jak mu się coś stanie, sam będziesz wyrywał tę mandragorę! – Po czym już spokojniej dodał: – Rzemień i rękawice poproszę.

Duendain szybko podał mu jedno i drugie.

Podczas kiedy giermek wraz z Perdiganem przytrzymywali szarpiącego się wściekle Pukla, rycerz najpierw uwiązał mu rzemień do szyi, po czym

nałożył rękawice i zbliżył się do mandragory, żeby ją połączyć z psem.

– Zatycki! – przypomniała lekko pobladła Orri. Fillegan z trudem wrócił do rzeczywistości. Skinął głową. Dobrze się stało, że przy kolacji nie zdołał wyperswadować dziewczynie udziału w tej niebezpiecznej wyprawie.

– A tak, musimy się przygotować na ten moment, gdy zielsko, umierając, zacznie krzyczeć. Zatycki do uszu włoż! – zarządził, zaraz też dając przykład. Krzywił się przy tym niemiłosiernie, bo płótno, choć miękkie, i tak drażniło kanały słuchowe niczym kolec wbity w ciało.

Teraz już naprawdę byli gotowi na wszystko. Nawet na krew, ból i wreszcie śmierć. Psa i mandragory, oczywiście, nie swoją własną. A ściślej rzecz biorąc, jeden rycerz był gotów. Reszta kompanii z niepokojem popatrywała na eksperymentatora w nadziei, że ten wie, co czyni.

Fillegan obwiązał ramię wokół korzenia mandragory, po czym wrzasnął:

– Psa puść!

Perdigian i Duendain nadal trzymali Pukla w żelaznym uścisku. Dopiero gniewne gesty rycerza sprawiły, że giermek pojał, w czym rzecz. Wyjął z worka kawał kiełbasy i rzucił zwierzęciu.

Oś mandragora-pies-kiełbasa została ustanowiona.

Pukiel wściekle wyrwał się do przodu. Zignorował jednak kiełbasę, wybierając wolność – ta zaś czekała w ciemnościach lasu. Sznurek łączący go z mandragorą na moment luźno zwisał, ale zaraz znów się napiął i wszyscy ujrzeli, jak dorodna męska alrauna nagłym ruchem wysuwa się z ziemi, po czym, pomykając za Puklem, znika w gęstwinie.

– A niech to! – rycerz ocknął się z osłupienia i rzucił na poszukiwania. – No, na co czekacie, szukać tego cholernego kundla, do cholery! – krzyknął jeszcze reszcie kompanii, zanim przyświecając sobie pochodnią, zniknął w zaroślach.

Rozglądał się w poszukiwaniu kropel krwi, jaką miała broczyć umierająca mandragora. Powinny go one doprowadzić do martwego psa, leżącego gdzieś w pobliżu. Nic jednak nie znalazł. W kole o promieniu pięciuset kroków nie było śladu ani po mandragorze, ani po zwierzęciu, chyba że w tych ciemnościach rozświetlanych chybotliwym blaskiem żagwi przeoczył je, znajdujące się pod jakimś krzakiem albo w borsuczej norze. Wrócił na polanę, klnąc pod nosem.

Giermek już tam czekał, stojąc z poirytowaną miną.

– Dobrą kiełbasą wzgardził, kundel jeden... – mruknął z niechęcią, pokazując wędlinę. Już dobrały się do niej mrówki, więc odkopnął ją ze wstrętem.

Poczekali na Josa i Orri, po czym w ponurych nastrojach ruszyli w stronę miasteczka, zastanawiając się, dlaczego teoria nakazywała psu paść trupem, a praktyka miała to za nic.

Trzeba sprawdzić w księgach – rozmyślał Fillegan – może coś przeoczyłem?

Naraz z gęstwy wyłoniło się dwóch ludzi w strojach straży miejskiej i z bronią w ręku. Groźnie spoglądali na grupkę eksperymentatorów.

– Kto tu? – huknął jeden z nich, występując naprzód. – Co robicie w lesie? Coście za jedni?!

Fillegan rozpaczliwie szukał odpowiedzi...

I wtedy do przodu wystąpił Duendain. Machnął wściekle żagwią, żeby ją rozpalić, potem uniósł wyżej, ostentacyjnie przyglądając się pytającemu. Wreszcie przybrał nonszalancką postawę, zwracając się do wyższego strażnika.

– Co to, nie wiesz, z kim masz do czynienia? Toż to pan Fillegan z Wake we własnej przesławnej osobie! Ten, który przysłał żonę Perdigana, obecną tu Orri, uwolnił od zarzutu apostazji!

Strażnicy spłoszyli się nieco. Tymczasem giermek bezlitośnie ciągnął:

– Zachodzi podejrzenie herezji leśnej, niezwykle groźnej, przejawiającej się wiarą w arboraki, demony drzewne. Prowadzimy badania, czy dotarła na przedmieścia Ravissaint, poszukujemy wyznawców, którzy podobno płaczą się po okolicy. Coś jeszcze?

Strażnicy zaprzeczyli, bladzi z przerażenia. Zaraz też zniknęli, aby nikt ich nie zdążył wziąć za rzeczony demony drzewne albo też i ich wyznawców. Dłuższą chwilę w nocnej ciszy unosiły się tylko odgłosy łamanych gałęzi i tratowanych krzewów.

– No, no... – rzekł Perdigan, gdy znów zrobiło się cicho i spokojnie. – Gadane to ty masz, chłopie.

Duendain wzruszył ramionami.

– Mało wiele, a bym im wmówił, że koza daje płynne złoto, gdyby tak szybko nie uciekali.

* * *

W księgach stało to samo co i przedtem. Fillegan, gryząc z irytacji wargę, zastanawiał się, czy to Pukiel obdarzony był tą niezwykłą, a poszukiwaną przez rycerza odpornością na klątwę mandragory, czy też jakiś inny czynnik zakłócił przebieg eksperymentu.

Honoriusz, przejrany z lewej do prawej i z góry na dół, nadal twierdził, że od krzyku mandragory się umiera. *Zwykle – dodawał, co właśnie stało się punktem zaczepienia naukowej teorii Fillegana – podobno bowiem niektórzy ludzie i zwierzęta posiadają wrodzoną odporność na to zjawisko. Ja jednak nikogo takiego nie spotkałem.*

Wreszcie rycerz doszedł do wniosku, że niczego mądrego nie wymyśli, pozostaje kontynuować eksperyment. Skrzyknął więc kompanię, Duendainowi nakazał przyprowadzić kolejnego psa, tym razem sukę, sam

zaś po raz najostatniejszy z ostatnich zajrzał do ksiąg. Litery nie chciały się jednak przemieszać i ułożyć w nową treść.

Wszyscy już czekali na dole. Mała, łaciata kundlica wyrwała się giermkowi i zaczęła obskakiwać każdego po kolei.

– Spokój, Pelagia! – krzyknął chłopak. Pies otarł się tylko o nogę rycerza i posłusznie wrócił na swoje miejsce.

Fillegan skrzywił się z niesmakiem.

– To już bardziej swojsko nazwać jej nie mogłeś? Przecież łatwiej skazać na śmierć stworzenie, które nazywa się (na niewymowny przykład) Hxvqtxt niż jakąś sympatyczną istotę, jak choćby tę twoją Berenikę, u której ostatnio spędzasz noce.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Tak właśnie chciałem postąpić, ale to bydlę nie reagowało na żadne imię. Dopiero na Pelagię...

Wszystko odbyło się tak jak poprzednio, z tą tylko różnicą, że suka, uwiązana do rzemieni trzymanyh przez każdego członka tej niezwyklej wyprawy badawczej, nie zdołała się wyrwać na wolność. Wcale zresztą nie próbowała. Dopadła kiełbasy i wgryzła się w nią zachłannie, zupełnie nie zwracając uwagi na podrygujący obok korzeń mandragory.

Fillegan zatoczył pochodnią koło i stanąwszy obok Pelagii rzekł z emfazą:

– Mamy tu psa szczęściarza! A nawet sukę – dodał po chwili. – Musimy jeszcze tylko znaleźć jej towarzysza, a jak nam dadzą potomstwo, to ich szczęście, podniesione do kwadratu...

Stęknął nagle, bo Pelagia zeżarła kiełbasę i chyba przez pomyłkę dobrała się do jego łydki.

* * *

Ranek, po przebudzeniu, Fillegan zabrał się do naukowego opracowania uzyskanych podczas eksperymentu wyników. Naszkicował Pelagię w kilku ujęciach, potem zdobył alraunę, która okazała się korzeniem męskim, wreszcie zaś zasiadł do sporządzania opisu całego zdarzenia.

I na tym złapał go Duendain. Wpadł jak burza, krzycząc, że widział Pukla, pies żyje i ma się dobrze!

– Kłamstwem chcesz podważyć teorię naukową? – warknął rozeźlony pryncypał. – Honoriusz jasno pisze...

– Kiedy widziałem na własne niekaprawe oczy – odparł giermek. – Ja tam nie wiem, co pisze ten Laputańczyk. Nie zaglądałem, bo nie daliście! Może i stworzył mądrą teorię, ale ja doświadczałem prawie tego kundla złapałem za ogon! Gdyby mi nie uciekł, to bym go tu za uszy przytargał. Ma się tak samo jak Pelagia, a może i lepiej, bo skubaniec cieszy się wolnością.

– A mandragora?

Duendain wzruszył ramionami.

– Zgubił gdzieś po drodze. Pewnie w gałęziach się targał, aż zerwał. Z rzemienia tylko strzepy zostały.

Fillegan wzruszył ramionami.

– Bajki opowiadasz, giermku fantazją obdarzony. Przyjdzie mi cię do roli kuchty zdegradować... a Orri pewnie zepchnie cię niżej, podłogi każe szorować...

Wściekły giermek trzasnął drzwiami.

Jego pan zaś zamyślił się głęboko. Resztę dnia i noc postanowił poświęcić na zrewidowanie założeń swej teorii naukowej. Następnej nocy sprawdzi zaś, jak to jest naprawdę. Niech cała sfora rwie mandragorę równocześnie. Potem się policzy, ile psów padło, ile nie. *Pelagia też*

powinna rwać, zobaczmy, czy za drugim razem też dopisze jej szczęście – postanowił.

Miał urazę do tego imienia, choć nie przyznawał się nikomu. Nosiła je jego niania w Wake. Była brzydka jak ciemność w Tower, śliniła się i mawiała do ojca Fillegana, że wielbłąd to najgłupsze bydlę na ziemi – podczas kiedy faktycznie to ona zasługiwała na takie miano, bo to nie żaden baktrian czy dromader, tylko ona sama wierzyła, że jak kocią skórę nałożyć na włosy i siedem razy splunąć przez lewe ramię, a potem spać z taką nakładką, to rankiem włosy będą sprężyste i gęste niby kocia sierść. Kuracja jej nie pomagała, a jedynym zauważalnym skutkiem jej wiary było coraz więcej myszy i szczurów w Wake, bo prawie wszystkie koty pouciekały. Aż sprowadzony ze Szkocji wielki, wypasiony kocur nie tylko nie dał się przerobić na toczek, ale jeszcze okazał się potomkiem rysia i tak podrapał Pelagię, że wdało się zakażenie i niania zmarła w straszliwych, ale całkowicie zasłużonych mękach.

* * *

Zasnął przed świtem, znużony czytaniem ksiąg. Nie był to sen, raczej płytką, nerwową drzemką.

Gdzieś tam z głębin snu wyłonił się Alafi, pasterz wielbłądów w Wake, pokazujący małemu chłopcu, jak wsiąść na Gibrana, najłagodniejszego z wielbłądów w rodzinnej hodowli. Znów mu tłumaczył, że jazda na takim dwugarbnym zwierzęciu przypomina falowanie i spadanie. Fillegan znów zadał to pytanie: – A czemu nie wznoszenie? I uśmiechnięty Alafi znów odpowiadał mu, jak tego dnia szczęśliwej młodości: – Bo spadasz w dół, chłopcze. Nie da się spać w górę, prawda?

I wtedy z tego nawracającego snu wyrwał go dotyk ręki na ramieniu. Wstrząsnął się, pomacał w poszukiwaniu miecza... zamiast tego poczuł w dłoni wiecheć jakiegoś zielska. Cofnął gwałtownie rękę i otworzył oczy.

Duendain stał w pokoju, czekając, aż jego pan całkiem się wybudzi.

– Żyję – powiedział i potrząsnął zielskiem. Mandragorą! – Wyrwałem ją sam. Gołymi rękoma. I żyję. Ta twoja księga kłamie. Żadnych zatyczek, psów i kiełbasy. Tylko trochę odwagi.

Rycerz patrzył na niego nieco zmętniałym od snu wzrokiem. Z trudem docierało do niego, że to nie Gibran przemówił do małego Fillegana, tylko giermek maltretuje psychicznie swego pryncypała.

– Wyrwę wszystkie inne – dodał hardo Duendain.

Fillegan całkiem otrzeźwiało.

* * *

Niewielkiej części odnalezionej mandragory, kilkunastu dorodnym roślinom, pozwolili rosnąć dalej, przeznaczając je na zbiór kwiatów i owoców. Parę krzewów z całymi bryłami ziemi przenieśli do specjalnie przyszykowanego ogródka, na wypadek gdyby ktoś cichcem wybierał te pozostawione w lesie. Resztę wyrwali – to znaczy bohatersko dokonał tego pod czujnym okiem reszty towarzystwa Duendain. Za którymś razem przyprawiając zresztą Fillegana niemal o zawał serca, bo wyrwał korzeń i natychmiast padł na ziemię, jakby rażony apopleksją. Rycerz przyskoczył, żywiąc jedynie wątłe nadzieje na ocalenie chłopaka, gdy naraz ten zaczął chichotać i nawet bolesny kułak w bok nie zdołał powstrzymać jego śmiechu.

Po wszystkim, już w domu, nim zabrał się do zgłębiania ksiąg objaśniających, jak korzeń przerobić na nalewki zdrowotne i magiczne, giermek postawił przed nim problem innej natury:

– I co my z tym całym zwierzyńcem zrobimy, skoro te wszystkie kundle nie są potrzebne? Karmić trzeba, sprzątać trzeba...

– Przetopimy na smalec! – warknął wściekle Fillegan. – A skwarki będą z ciebie, jak mi będziesz przeszkadzać!

Nakazał jednak ukradkiem i bez wzbudzania sensacji wypuścić psy. Do ewentualnych badań pozostawili sobie tylko jedną parkę, Ciszkę i Niemka, jak z powodu ich niespotykanej uległości nazywał je Duendain.

Rycerz mógł się wreszcie zająć poważną nauką.

* * *

Dom był pusty, bo Fillegan wysłał całą kompanię do diaska, a konkretniej do miasta, żeby mu nie przeszkadzali.

Najpierw wziął się za listy. Popijawa w Prawdziwej Rozkoszy, a precyzyjniej słowa Zenkego, uświadomiły mu, że przegapił ważny aspekt w swoim planie: prawdziwemu uczonemu nie powinna wystarczyć lokalna sława ani księgi własne czy cudze. Trzeba jeszcze pozostawać w kontaktach z innymi uczonymi.

On takich znajomości nie miał. Jedynym znanym mu osobiście naukowcem pozostawał wciąż hrabia Detardieux, który z każdej wyprawy do ciepłych krajów przywoził kolekcję owadów zabitych na powierzchni swego ciała bądź wydłubanych z jego wnętrza. Larwy, formy przetrwalnikowe, metamorfy oraz formy ostateczne objęły w posiadanie, w szklanych słojach oraz gablotach, całą jedną ścianę komnaty, w której hrabia sypiał. Honorowe miejsce zajmował obecnie dyl sofista, o którym to Detardieux z ogniem w oczach opowiadał, jak bydlę usiłowało go podejść z nienacka, pokrętną trasą zmierzając niby to w stronę kwiatka, a w rzeczywistości hyc – lądując prosto na jego ramieniu i wgryzając się w żyłę. Stąd i wzięła się łacińska nazwa tego gatunku, colemanus sophisticus.

Na tej więc znajomości nie można było zbudować wielkiej kariery międzynarodowej. Jednak korzystnym trafem w szpargałach Perdigana wciąż znajdowała się książeczka Kabanossusa z Lakke, a na jej marginesach notatki i adresy kilku naukowców. Na chybił trafił Fillegan wybrał dwóch i postanowił zapoznać ich ze swoją teorią parcia bytu na

rzeczywistość. Zaczynał od filozofii, ta bowiem przeżywała akurat rozkwit. Przy pewnej dozie szczęścia mógł liczyć na poparcie w formie konkretnej propozycji objęcia katedry albo chociaż asystentury u jakiegoś znajomego znajomych. O magii – czy to naturalnej, czy jakiejś innej – wciąż zaś niemal nic nie wiedział. Ponadto cieszyła się wątpliwą sławą, za jej stosowanie można było zarówno dostać mieszek złota, jak i pójść na stos, w zależności od obrotów sfer niebieskich.

Skreślił więc dwa krótkie listy, do Jakuba von Gluttenberga oraz Olgana Durkheimera z Haltenburga.

Później zajął się korzeniami. Oczyszczył je, obejrzał, poklasyfikował na żeńskie i męskie, w niejkiej zadumie stwierdzając, że trafiły mu się także egzemplarze płci jakby pozbawione, mocno pokrętne. Część przeznaczył na susz, część pod nóż, wreszcie kilka pozostawił w stanie nienaruszonym, tak na wszelki wypadek.

Następnie chwycił się za Bedę.

Podejrzewał, słusznie czy niesłusznie, że Perdigan albo i Duendain, nie w ciemną przecznię bici, mogą kiedyś odejść, założyć własny interes, a przedtem skopiować Honoriusza, o którym przecznię sam im opowiedział. Dlatego nie zdradzał się z przekonaniem, że najciekawsze receptury zawarł w swej książce „O naturze magii” Beda Czcigodny, a także – w rozdziale dwudziestym siódmym, jakby doczepionym na siłę w egzemplarzu Fillegana – Albert Wielki w dziele „O zwierzętach”. Obie książki rycerz trzymał pod deskami podłogi, we własnoręcznie wykonanej skrytce.

Część korzeni w całości zalał winem, część mocniejszą wódką, do kilku wrzuciwszy wysuszone głowy żab, jak radził Albert. Potem wyjął nóż i chwycił za pierwszy korzeń. Zaczął go strugać na wiórki, z wierzchniej części grube, ze środka drobniejsze, cienkie niby dobrze wyprawiony welin.

Kiedy chwycił trzeci korzeń, ten zaczął mu się wrywać z ręki.

– Na świętego Wolte! – krzyknął, wypuszczając go gwałtownie z ręki. Męska alrauna upadła z powrotem na stół. – Przecież Duendain cię zabił, cholero!

Korzeń wciąż podrygiwał jak oszołomiona żaba, nic sobie nie robiąc z tego, że już raz został uśmiercony.

Po chwili namysłu Fillegan ciachnął go nożem na pół.

Ku jego najwyższemu zdumieniu teraz na blacie stołu zaczęły podrygiwać dwa kawałki, zmierzając w jego stronę!...

Byłby całkiem zgłupiał, gdyby nie pamięć o zaklęciu wiążącym wszelkie moce mandragory.

– Sacra macra! – wrzasnął. – Santa masacra cura bura, vehicum!

Z podrygujących kawałków jał się wydobywać cichy jęk. Docierał do uszu przerażonego rycerza, który poniewczasie uświadomił sobie, że znów zapomniał o zatyczkach!

Na szczęście, nim zdążył cokolwiek uczynić, rozpołowiony korzeń przestał wydawać jakiegokolwiek odgłosy i zamarł w bezruchu. Fillegan w zadumie potarł lewe ucho, później zaś sięgnął po puste naczynie i zsunął tam obie części ponownie zabitego korzenia. Zalał je wódką.

Oba kawałki mandragory w słoiku znów wykonały kilka słabych ruchów, nim zastygły w zalewie. Zmieniły też kolor, z białozółtego na niebieskawy.

– Nie, tak tego nie można zostawić – mruknął do siebie, spoglądając na stół. Mandragora zachowywała się w sposób, jakiego nikt dotąd nie opisał. – Trzeba się zabezpieczyć.

Po chwili namysłu postanowił zakopać felerny korzeń w ogródku, z dala od ścieżek, niemal pod ogrodzeniem, gdzie prędkiej można się było spodziewać jakiegoś złodzieja – którego nie żał będzie w razie czego – niż kogokolwiek z kompanii. Najpierw jednak zakrył wierzch naczynia pergaminem i zalał woskiem, uszczelniając je w ten sposób.

Wracając do domu, wędrował pod koronami drzew owocowych, dumając, jaki to byt parł w jego stronę ze stołu, gdy naraz coś uderzyło go w głowę, wyrywając z zamyślenia. To soczyste jabłko wybrało tę chwilę na poszukiwanie wolności.

– Nie, dziękuję, droga jabłonko – odparł z westchnieniem Fillegan, usiłując doprowadzić się do porządku. – Jakoś nie jestem głodny.

Rozdział czwarty

I poznał Fillegan z Wake znój pomagania bliźnim, ich wdzięczność oraz skłonność do wybaczenia pomyłek...

Hodia von Tutenberg, ***Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata***

Jesień zbliżała się wielkimi krokami, które słyhać było w gwałtownych porywach wiatru szarpiącego okiennicami. Widać ją było również w nagłych zmianach pogody, ciemnych chmurach wiszących na niebieskiej powale niby zapowiedź worów pełnych puchatego śniegu.

Fillegan pracował nad preparatami opartymi na korzeniu, równocześnie z zadowoleniem przyglądając się jesiennej mandragorze, która najpierw zakwitła, a później poczęła się trudzić nad wydaniem dobrych owoców. Nie wiedziała, biedaczka, że pracowity ogrodnik zamierzał wybierać je skrupulatnie co do jednego, zniewolić małe mandragorzątka we własnym sadzie albo zabić alkoholem, różnymi wywarami czy sosem słodko-kwaśnym.

Wreszcie jednak rycerz znalazł czas, aby powrócić do magicznych praktyk, w pełni skorzystać z wiedzy zawartej w księgach. Pochłonięty dotąd przygotowywaniem leków z mandragory, lekturę innych dzieł wiedzy tajemnej musiał odsunąć na bok. Rozumiał bowiem, że aby pojąć istotę mocy i nabrać odpowiedniej biegłości w posługiwaniu się nią, musi się jej poświęcić, przeznaczyć na to sporo czasu. Miał zaś ambicję, aby być mocnym nie tylko w gębie, strasząc zbójów, że jest magiem. Chciał to

potwierdzić w czynach. Za sprawą Perdigana wpadł mu przecież w ręce całkiem spory zbiór wartościowych dzieł. Teraz nadszedł czas, aby to wykorzystać.

Po przykrych doświadczeniach z Orri przestał jednak uważać dom za miejsce właściwe dla naukowca eksperymentującego z magią demonologiczną. Parzenie ziółek i sporządzanie leków według receptur opartych na mandragorze bardzo się różni od wywoływania duchów. Cienkie ściany chałupy nikogo nie osłonią przed źle zastosowaną magią. Ponadto każdy z podręczników przestrzegał przed wplątywaniem w te ryzykowne przedsięwzięcia świadków, zarówno dla swego własnego, jak i ich bezpieczeństwa. Lepiej było czynić te praktyki pod osłoną lasu, z dala od ludzkich siedzib.

Rycerz zamierzał wywołać demona, który zostanie jego osobistym sługą. Demona dosyć słabego, aby go nie zdominował, jednak na tyle mocnego, aby mógł być pożyteczny. Nie udało się z Awatarickiem – i małego germańca po raz drugi przywoływać nie zamierzał. Postanowił spróbować wywołać diszę, złośliwego gnoma, który potrafił walczyć, czytać w myślach, przede wszystkim zaś miał tę zaletę, że jego potęgę dało się połączyć z mocą mandragory.

Albowiem w jednej z ksiąg Fillegan doczytał się, jakim sposobem można połączyć siły ducha i mandragory przepowiadającej przyszłość, nadać strudze magicznej mocy określony kierunek. Jego wizje nie były dotąd przydatne. Złączenie się potęg demona i magicznej rośliny miało zmienić tę sytuację. W całą sprawę postanowił wtajemniczyć jedynie Duendaina. To akurat musiał zrobić. Jeżeli coś się stanie z nim samym, kto go uratuje, jak nie wierny giermek? A jeżeli ktoś nadejdzie od strony miasteczka, chociaż noc głęboka? Mało to ludzi wpadło w kłopoty za uprawianie czarów?

– Nie ma sprawy, przecież wiem, żeście mag, widziałem na florenckiej drodze – skwitował te wyjaśnienia Duendain, zdybany w kuchni na pojadaniu. – Ech, przydałoby się kiedyś samemu poznać te czary, nie tak tylko z boku obserwować. A przede wszystkim moglibyście pasować na rycerza, jak to obiecywaliście.

– Jeszcze nie teraz, chłopcze – odparł jego pryncypał. – Na wszystko przyjdzie czas, daję słowo. Na razie biegnij, przynieś mi wody święconej z kościoła, najlepiej pełen dzbanek.

Oczy chłopaka otworzyły się szeroko niby jakieś zachłanne na wiedzę paszcze, w źrenicach błysnęła chęć zadania pytania. Powstrzymał się jednak, chwycił stosowne naczynie i pobiegł je napełnić.

Fillegan tymczasem zaszedł do pracowni, aby z wiszącego na ścianie wiechcia uzyskać potrzebną substancję. Nim giemek powrócił ze święconą wodą, przed rycerzem piętrzyła się już spora kupka sproszkowanego zioła oraz trzy szare listki desdemonium. Wziął od Duendaina dzbanek i łyżką wsypał proszek do wody. Zamieszał.

– To szałwia – wyjaśnił, kontrolując, czy woda odpowiednio się spieniła. Później dorzucił liście desdemonium. Od razu zmieniły kolor na jadowicie czerwony. – Jakby się coś ze mną działo niedobrego w czasie odprawiania tych... tych praktyk, chluśniesz tym na mnie. Aby celnie! Zrozumiałeś?

Chłopak skinął głową.

– Ładna płukanka – westchnął, obserwując, jak płyn nabiera intensywnej ciemnobrązowej barwy i charakterystycznego zapachu. – Ciekawe, co by się stało, jakby tak zaordynować ją Orri, zamiast tej płukanki, w której co parę dni myje włosy...

Fillegan szturchnął giemka w bok.

– Ani się waż! – syknął. – Bo sam papież nam nie pomoże, jak dziewczyna włosy straci! Lepiej idź spać, bo mi w nocy gdzie pod jakim

drzewem padniesz...

Zostawił Duendaina z otwartą gębą i ruszył do pokoju, aby i samemu choć na chwilę zamknąć oczy.

* * *

W ciemnościach rozświetlanych jedynie płomienistymi jęzorami pochodni ruiny stołpu wydawały się znacznie bardziej przerażające niż za dnia, kiedy światło wyciekające spomiędzy koron drzew oblewało polanę uspokajającą poświatą.

Musiała to kiedyś być wieża obronna, bo poza kwadratem fundamentów i resztek murów, wyglądających spomiędzy paproci niby wyszczerbione zęby, nie było widać śladów po jakichkolwiek innych budowlach. To zresztą czyniło zagadkę jeszcze trudniejszą do rozwiązania. Kto i po co postawił stołp w takim miejscu, w lesie?

Przy pomocy Duendaina Fillegan wyciął wszystkie paprocie oraz krzewy, wyrwał parę drzewek, które wdarły się w obrys starych murów i znalazły siłę, żeby się zakorzenić. Później nakazał giermkowi wycofać się na skraj polany, poza obszar wytyczony pozostałościami budowli. Sam zaś osadził przyniesione pochodnie na trzech tyczkach i przystąpił do przywoływania ducha.

Wszystko szło dobrze do momentu, kiedy usypał dla dissy więzienie z pokruszonych dębowych liści. Należało tam demona sprowadzić, utrzymać przez parę chwil, w tym czasie związać ze sobą Łączem Pokory, gdzieś w literaturze zwanym też Linkiem.

Dissa dał się jakoś sprowadzić do magicznej pułapki, ale złośliwy pokurcz bezustannie miotał się pośrodku, jego krąg – przecinający się z kręgiem, w którym stał Fillegan – drżał, liście tworzyły coraz cieńszą granicę. Wreszcie pojawiła się pierwsza szczelina. Nieszczęsny adept czarnoksięstwa zmartwiałyymi wargami wymamrotał zakłęcie uwalniające

niemal w ostatniej chwili, gdy szczerząc ostre zęby, dissa prawie zdołał go dosięgnąć i urządzić z niego potrawkę na ostro.

– Llassssh – gniewnie stęknął, pazurami przecinając po raz ostatni powietrze. I zniknął.

Poblady eksperymentator ze zniechęceniem rozrzucił liście dębu i wyszedł z kręgu. Duendain spoglądał na niego z przerażeniem. Gnom naprawdę wyglądał szpetnie – i nie wydawał się skłonny do żartów.

– Spróbujemy innym razem – próbował zbagatelizować sytuację rycerz, choć gdy odpłynęło podniecenie związane z użyciem magii, pojawiło się spływające w dół, wzdłuż kręgosłupa, mrowienie strachu. – Wracajmy, może jeszcze złapiemy trochę snu.

Byli już niemal przy samym domu, kiedy od strony lasu błysnęło oślepiająco jasnym światłem, a po chwili rozległ się potężny grom.

Fillegan paskudnie zaklął. Księga wspominała o tych zjawiskach. Disa wrócił do siebie. Ale dlaczego od razu z użyciem efektów specjalnych?

* * *

Tymczasem wieści o poszukiwaniach przez nowo przybyłych leśnych heretyków rozeszły się po Ravissaint jak każda, choćby i nawet średnio ciekawa, plotka.

– Jacyś heretycy rzeczywiście muszą tu być – Zenke przyznał rację rzeźnikowi Hummiemu, popatrując z zaciekawieniem na rycerza, kiedy znów wieczorem spotkali się przy biesiadnym stole, bo Fillegan na jakiś czas stracił ochotę do magicznych poczynań. – W nocy coś się działo w lesie, a rano ludzie znaleźli w ruinach wypalony krąg. Dziwne, nie?

Rycerz wzruszył ramionami, pokrywając zaskoczenie.

– Ja tam na razie herezji leśnej nie stwierdziłem – uciał, sięgając po kubek z winem.

* * *

– Nie przeszkadzaj! – warknął zły Fillegan.

Giermek trzymał w dłoni list.

– Poczta przyszła, panie. I to ze świata.

Rycerz natychmiast odprawił chłopaka, starannie zamknął za nim drzwi. Dopiero wtedy rozłamał pieczęć.

*Szanowny Panie – pisał Jakub von Gluttenberg – teoria pańska wydaje mi się tyleż zaskakująca, co pozbawiona sensu. Jak można łączyć **trivium** z **quadrivium**? Sonet, choćby najbardziej klasyczny, wyraża jedynie śmiałą myśl. Byt zaś jest realnością. I nie ma tu żadnego parcia. On jest, powstał, czego zarówno ja, jak i mam nadzieję, pan, jesteśmy dowodem.*

Życzę więc skierowania wysiłków w inną stronę, z większymi sukcesami.

– A jasne, jasne – mruknął Fillegan, odkładając list na stół, obok książki opisującej cztery żywioły podstawowe i dwadzieścia sześć magicznych, nad których zrozumieniem bezskutecznie się trudził od dłuższej chwili. – Jakbyś wiedział, czym się zajmuję, to byś pękł. Jakby na ciebie parła dzika i nieujarzmiona mandragora, to byś się pewnie ze strachu sfajdał, gryzipiórku jeden!

* * *

Tymczasem Duendain wraz z resztą kompanii usilnie pracował nad rozejściem się wieści, że Fillegan, choć temu zaprzecza, zdołał zlikwidować ową zagrażającą Ravissaint herezję leśną, czego dowodem miały być właśnie te ślady w pobliżu ruin stołpu, i może powrócić do swego podstawowego zajęcia, czyli uprawiania medycyny.

Szczególnie aktywna w głoszeniu tej nowiny wydawała się Orri. Jednak dostrzegając złośliwy błysk w jej oku, rycerz nabrał podejrzania, że dziewczynie idzie raczej o skompromitowanie go niż o pomoc w ugruntowaniu opinii zawołanego medyka. O ile bowiem chłopak dodawał,

że jego pryncypał to mag i lekarz z uniwersytetu w Wake, gdzie studiował razem z samym Rogerem Baconem, dziewczyna raczej podszyła mu przypadki tak nieuleczalne, jak tupaczka złośliwa, jaskier niemy czy niemota stuporoidalna.

Szeptanka w każdym razie zadziałała. Przez kilka dni giermek odprawiał chętnych, wzmagając napięcie niby w pierwszych wersach eposu, wreszcie jednak ujawnił, że medyk gotów jest przyjąć pierwszych potrzebujących.

Rycerz wcale jednak nie miał ochoty marnować mandragory, swego zasadniczego leku, na byle marność nad marnościami, pył i proch. Stąd Duendain robił nie tylko za odźwiernego, także za pierwsze sito. Pierwsze i jedyne, ale w tym względzie można było na nim polegać: jeśli nie wyczuł zapachu sporych pieniędzy, odsyłał bezlitośnie do diabła albo miejskich konowałów, co w sumie wychodziło na to samo.

Wreszcie jednak kolejny klient jako pierwszy znalazł uznanie giermka. Był to osobnik postawny, ale na twarzy krostowaty. W lewym kącie ust miał zaleczony ślad po wrzodzie, przez co wydawał się skrzywiony w wiecznym wyrazie niezadowolenia.

– Lekarstwa szukam – zaczął bezceremonialnie, ledwie Duendain wprowadził go do gabinetu, na drzwiach którego rycerz powiesił napis: „Izba Przyjęć. Bacność! Niczego nie dotykać!!!”. – Lekarstwa na dziewczki – dodał już mniej pewnie, dostrzegając płazy i gady w szklanych naczyniach, które po prawdzie rycerzowi do niczego potrzebne nie były, ale podobnie jak wypreparowany szkielet dłoni, ustawiony w geście „daj”, miały robić wrażenie i budzić szacunek albo nawet strach.

– Ho, ho, każdy by chciał – rzekł z pobłażaniem gospodarz. – A jakoś konkretniej?

Mężczyzna zwał się na krzesło po drugiej stronie stołu.

– Konkretniej, to omijają mnie te, które ja bym chciał spotkać, a spotykają te, które chciałbym ominąć – wymruczał. – A pono umiecie sprawić, żeby się to poprawiło, nie było na opak. Tak się mówi na mieście...

Przybysz wydał się Filleganowi niezbyt sympatyczny. Postanowił więc nie tylko z niego zedrzeć, ale i nauczyć moresu. Już wcześniej przygotował się na różne sytuacje, sięgnął więc teraz do skrzyni spoczywającej obok stołu i wyjął stamtąd niewielką flaszkę.

– Tu w środku jest odrobina preparatu, który wam pomoże – posunął buteleczkę w stronę gościa. Ten chwycił naczynie i natychmiast wyjął korek, żeby powąchać. Zajrzał do środka.

– Ueee! – wybuchnął. – W środku jest...

Rycerz uroczyście skinął głową.

– Głowa węża. Jak się już zdecydujecie, to od niej należy zacząć. Najpierw skóra, mięśnie i oczy, na trzy posiłki, kolejność według smaku i uznania. Drugiego dnia kości czaszki. Zmilić, rozprowadzić w wodzie, wypić przed wschodem słońca... a dopiero potem sam płyn, po siedem kropel siedem razy dziennie. Denar się należy.

Mężczyzna zamasztył ruchem odsunął flaszkę od siebie i wstał.

– Kpiny sobie urządzać! – warknął. – Baba z lasu węża sprzeda mi za kopę jaj albo sam sobie złapię!

– Dlatego tam w środku jest wywar z mandragory – z reflekssem odparł świeżo upieczony medyk. – Za poradę się należy – przypomniał. Patrząc, jak gość ciemnieje na twarzy, szybko dodał: – No, no, tylko bez awantur, bo straż miejska odbierze należność z odsetkami!

Mężczyzna szybko usiadł.

– Wezmę – wytchnął z rezygnacją.

I tak Fillegan począł leczyć ludność Ravissaint z bezpłodności oraz wielu innych brzydkich chorób. Jednemu, mającemu kłopoty z wykrzesaniem z

siebie niezbędnej namiętności, zapisał korzeń co piątek moczony w miseczce białego wina i noszony w woreczku na amulety z czerwonego jedwabiu i aksamitu, drugiemu umieszczony pod poduszką, trzeciemu na bezpłodność kazał jeść mandragorowe strużynki z serem...

Krąg jego klientów poszerzał się coraz bardziej, jakby ludność miasteczka teraz dopiero zdała sobie sprawę, że życie przed pojawieniem się Fillegana pełne było chorób i udręk, które za sprawą kaganka oświaty i cudownego korzenia można będzie z Ravissaint wyplenić.

W medycznej praktyce zdarzały się jednak i przypadki bardziej skomplikowane. Któregoś dnia skonfundowany Duendain wprowadził do izby przyjęć zgarbionego starca, który słabym głosem poprosił rycerza o lek nie dla siebie, lecz dla wnuczki, której nikt nie zdołał dotąd wyleczyć. Dopytywany, nie chciał jednak zdradzić, w czym rzecz. Poprosił o wizytę domową, jeśli łaska. Co prawda mieszka na przedmieściach, ale powóz czeka, tylko wsiadać.

– Zapłacę bez względu, czy leczenie okaże się skutecznie, czy wzorem innych medyków poniesiecie klęskę, panie – zapewniał.

I choć Fillegan świetnie zdawał sobie sprawę, że starzec gra na nucie podrażnionej ambicji, postanowił podjąć wyzwanie.

Dziewczę, niejaka Evoria, wiosen około czternastu, istotnie wyglądało marnie. Bładość lica, zwykle korzystna u młodych dziewcząt, w tym przypadku brzydko podkreślona była kośćmi wystającymi spod skóry i oczyma jakby zmętniałymi, zgaszonymi pod wpływem dręczącej ją wewnętrznej choroby. Na widok obcego nie poruszyła się nawet, silniej tylko zacisnęła dłonie. Za to jej matka – mocno otyła matrona o twarzy smutnej, lecz wciąż zachowującej ślady dawnej urody – spojrzała na niego z nadzieją. Usta jej drżały od powstrzymanego płaczu.

– Sami widzicie, panie – odezwał się po chwili ciężkiego milczenia starzec. – Opętało ją jakieś szaleństwo, ubrdała sobie, że jedzenie to choroba. Więc nie je przez czas jakiś. Później, pyk – strzelił palcami – coś się jej odwraca, zaczyna się niemiłosiernie objadać. No i nigdy nie jest zdrowa, bo albo chuda jak śmierć, albo gruba jak dynia.

Fillegan w zadumie przyglądał się Evorii. Wreszcie dostrzegł coś, co odpowiedziało mu rozwiązanie.

– Chciałbym z nią porozmawiać na osobności, dokonać lekarskiego wywiadu – rzekł. – Najlepiej przespacerujmy się po tym pięknym ogrodzie.

– Ona jest za słaba, panie – zaprotestował starzec. Chciał dodać coś jeszcze, ale wtedy matka dziewczyny położyła mu rękę na ramieniu i zamilkł.

Rycerz podał rękę Evorii. Ta niechętnie podniosła się z krzesła. Wyszli przed dom i powoli ruszyli wypielegnowaną aleją.

– Musisz jeść – zaczął cicho, kiedy stojący w drzwiach starzec nie mógł już go usłyszeć. – Zagłodzisz się na śmierć. Ale przecież nie powinnaś się też przejadać... bo nie zmieścisz się we wszystkie te piękne sukienki...

Dziewczę wzruszyło ramionami.

– Chcę umrzeć – jęknęła. – Dziadek mnie dręczy... a ojca nie ma, wciąż w interesach... mama się boi...

Fillegan zrobił krok naprzód, wyprzedzając ją, i obróciwszy się, stanął naprzeciw. Teraz spoglądał jej w twarz.

– Od kogo jest ta wstążka, którą trzymasz w dłoni? – spytał. – Mylę się, że z wzajemnością kochasz się w jakimś kawalerze?

Evoria obróciła się na pięcie, w ostatniej chwili Fillegan złapał ją za rękę i powstrzymał przed ucieczką.

– Posłuchaj – rzekł ostro. – Są różne sposoby leczenia. Myślisz, że jak zacznę cię karmić węzami, to ktokolwiek zaprotestuje?

Dziewczyna wstrząsnęła się z obrzydzeniem, przez jej twarz przebiegł grymas strachu. Nic jednak nie odpowiedziała, zdając sobie zapewne sprawę z tego, że jej rodzina pozwoliłaby zakopać ją w ogródku albo obwiesić wedle nowej mody magnesami, gdyby tylko pojawiła się nadzieja, że to może pomóc.

– A może być jeszcze gorzej – nieubłaganie ciągnął rycerz. – Mogę zdradzić twemu ukochanemu, że cię tymi wężami karmię. Jak myślisz, wtedy chyba całkiem mu cię obrzydzę, co? A pewnie wiesz, że bez trudu odkryję, kto to...

– Nie może pan tego zrobić! – krzyknęła Evoria z gniewem. – Zabiję pana! – Uniosła ręce. Jednak siły starczyło jej tylko na dwa uderzenia, które Fillegan przyjął ze spokojem. Potem dziewczyna wsparła się na jego ramieniu i zaczęła cicho, bezradnie łkać. W drzwiach dworku starzec przestępował z nogi na nogę, nie mając pojęcia, co się dzieje i czy powinien zareagować.

– Sama widzisz, żeby go nadal kochać, musisz jeść – powiedział rycerz, głaszcząc dziewczynę uspokajająco po głowie. – No, ale bez przesady, z umiarem, jak mądra kobieta, taka, która jest godna jego wzajemności. Rozumiemy się?

Evoria z niechęcią skinęła głową. Otarła łzy.

– A teraz porozmawiamy z twoją rodziną, bo oni chyba też potrzebują porady – mruknął Fillegan i podawszy Evorii ramię, skierował się w stronę domu.

Później, gdy odesłano dziewczynę, zakończył leczenie taką poradą:

– Mój giermek przywiezie tu za czas jakiś słój z lekiem. To niezwykle rzadka substancja, a zwierzę w niej zatopione posiada magiczną moc uzdrawiania. Niczego Evorii nie będziemy dodawać do jedzenia, trzeba za

to dobrze pilnować naczynia, córce pokazywać co jakiś czas, żeby odnowić działanie leku. To po pierwsze.

Zastukał palcami po stole, twardo spojrzął na pochmurnego starca – później przeniósł wzrok na matkę dziewczyny.

– Pora też znaleźć jej kawalera. Wyznała mi, że ma takiego, i sprawdziłem – zawiesił spojrzenie na coraz bardziej zasępionym dziadku Evorii – magiczne moce im sprzyjają, to dla niej dobra partia. Gwarantuję, jak za niego wyjdzie, wszystkie kłopoty ze zdrowiem wkrótce miną.

Odebrał zapłatę i ruszył do powozu, który miał go odwieźć do domu.

– I trochę mandragory się zaoszczędzi – mruknął sam do siebie, nim wsiadł. – Tu wystarczy sam wąż.

* * *

Najtrudniejszym przypadkiem w praktyce Fillegana okazał się jednak Caspar Chausner. A wszystko przez Duendaina, niech będzie przeklęty, bo zamiast odesłać do diabła, połasił się na monetę wciśniętą do ręki.

– J-ja s-się j-ją-k-kam – zaczął mężczyzna. I dalej, kalecząc straszliwie słowa, opowiedział historię, jak to dziecięciem znaleziono go w lesie, przytulonego do martwej szarej wilczycy. Przygarnęli go dobrzy ludzie, nauczyli wszystkiego, dali w rękę fach szanowanego w mieście i prowadzącego zyskowny interes cieśli... I wszystko było dobrze, póki któregoś dnia, spacerując po lesie, nie stał się przypadkowym świadkiem rzezi watahy wilków. Tak się przejął – bo jakoś nie potrafił tych zwierząt znienawidzić po bożemu, jak na człowieka przystało – że odtąd jąka się dramatycznie i nieustająco. Nie pomogły lekarstwa, modlitwy ani próby przestraszenia go.

– Nie, na to mandragora nie pomoże... – z powątpiewaniem rzekł Fillegan. Szkoda, bo mężczyzna wyglądał na majątnego, można by go skubnąć. Rycerz znalazł się w kropce. Mandragora była cudownym lekiem,

jednak ani Honoriusz z La Puty, ani tym bardziej Beda czy Albert słowem nie wspominali, że leczy jąkanie.

Chociaż... zaraz, zaraz. Przypomniał sobie, co Honoriusz wypisywał jako rzeczy niepewne, niesprawdzone, ale gwoli uczciwości, jak przystało uczciwemu badaczowi, odnotował je w appendixach.

Krytycznie przyjrzał się jąkałce.

– Odwagi wam nie brakuje?

Caspar niechętnie skinął głową.

– No to może jest sposób... – zaczął ostrożnie Fillegan. – Wypijecie nalewkę, którą wam sporządzę i rano podeślę przez mojego giermka. Dokładniej zaś, wypijecie pół, a drugie pół – w lesie, na jakiejś ścieżce, rozlejecie, gdy księżyc stanie nad drzewami. I to wasze przekleństwo przy odrobinie szczęścia przejdzie na jelenia czy lisa, albo jakieś inne nocne zwierzę. Bydlęciu to nie zaszkodzi, jak sądzę. I tak nawet w Wigilię, nie chcą z nami gadać.

Leczenie mieszkańców miasteczka wydawało się Filleganowi coraz bardziej interesujące. Rankiem wysłał Duendaina ze sporządzonym lekiem, którym był oczywiście uniwersalny preparat, czyli korzeń w skwaśniałym, tanio kupionym winie.

Sam zaś udał się do ogródka, sprawdzić, jak tam się ma jego cenna uprawa. Najpierw obejrzał pięknie zacienioną grządkę tych cudowności, z zadowoleniem stwierdzając, że owoce właściwie już dojrzały do zbiorów. To uniezależni go od Ravissaint. Gdziekolwiek się uda, będzie mógł hodować mandragorę.

Musnął z czułością jedną z roślin i ruszył z powrotem do domu.

I wtedy przypomniało mu się, że pod płotem zakopał ten dziwnie się zachowujący korzeń. Zawahał się, ale wrócił i wydobył słoje z kryjówki. Po

czym w najwyższym zdumieniu zaczął się przyglądać jego zawartości, popatrując pod słońce.

Kawałki korzenia miały dziwny, intensywnie granatowy kolor! Wódka, którą były zalane, nabrała niespotykanej jagodowej barwy. Było to tak niezwykle, jak zobaczyć jednorożca uwiązanego do studni pośrodku wioski, otoczonego i głaskanego przez grupę kobiet z dziećmi.

I wtedy coś, dissa albo jakiś inny demon, pieszczotliwie otarło się o jego nogę... Drgnął i wypuścił słoje z ręki. Ten upadł, pękając z trzaskiem i chlupotem.

– Ciszka, ty cholero! – rozległ się krzyk Duendaina. Fillegan otworzył oczy.

Giermek pospiesznie biegł w jego stronę. Suka przeciwnie, z kawałkiem niebieskiej mandragory w pysku uciekała w zarośla porzeczek.

– Psiakrew! – wrzasnął rycerz, dając upust grozie i wściekłości. – W mordę kopany!

– A bo na spacer wyprowadzałem, panie, i... – zaczął się tłumaczyć Duendain, rezygnując z pościgu za Ciszką. – Wróci, spokojnie. A pamiętacie, panie, tego trubadura, co to rozmawialiśmy? – zaczął, chytrze zmieniając temat.

Fillegan spojrział na niego groźnie, zastanawiając się, na jaką karę chłopak sobie zasłużył.

– A co? – burknął.

Giermek rozejrzał się, czy nikt nie podsłuchuje.

– A bo jak usłyszał, że leczycie z ciężkich przypadków, to mnie zaczął badać, czy byście go tak w absolutnym sekrecie, dochowując przysięgi tego tam, Hippochondra, nie przyjęli.

Oko rycerza rozbłysło ogniem. TAKIEGO pacjenta jeszcze nie miał!

– A wyplącalny jest?

– Oj, jest, panie, jest... – westchnął z rozrzewnieniem Duendain. – Pani rymarzowa Gellente płaci wszystkie jego rachunki, to i ten zapłaci.

– Jutro wieczorem – rzekł Fillegan. – A teraz posprzątaj to szkło. Wszystko na śmietnik, rozumiesz?

Tymczasem ukryta w krzakach porzeczeki Ciszka zaczęła dziwnie kaszleć, jakby się zakrztusiła korzeniem. *A dobrze ci tak, cholero* – pomyślał złośliwie rycerz, podążając w stronę pracowni. – *Nie dla psa alrauna.*

Zdołali pokonać pół drogi do domu, kiedy pies zaczął boleśnie wymiotować. Giermek chciał się wrócić, ale Fillegan go powstrzymał, chwytając za łokieć.

– Zostaw – rzekł. – Może się zaraza czegoś nauczy.

* * *

W miarę posuwania swej opowieści naprzód Falquet coraz częściej ocierał czoło, wzdychał melodramatycznie, stukał palcami w blat stołu, robił dziwaczne miny...

– No i tak. Nie ma już prawdziwych trubadurów – zakończył wreszcie. – Jestem ostatnim pośród ostatnich. Kryptotrubadurem, by tak rzec. Teraz się śpiewa nowoczesne, na mój gust zbyt prostackie rymy. Odchodzi alby, odchodzi canso...

Zniecierpliwiony Fillegan coraz częściej ziewał dyskretnie. Wbrew oczekiwaniom Falquet nie przyszedł po poradę lekarską wieczorem ani w nocy, tylko zerwał kolejno Duendainą, a potem jego pryncypała bladym świtem, kiedy porządni ludzie zwykli przewracać się z boku na bok. A jego wyjaśnienia, że musiał najpierw poobserwować dom, sprawdzić, czy nikt go nie przydybie, wydały się żałosne.

Wreszcie, kiedy trubadur doszedł do żonglowania terminami muzycznymi, o której to dziedzinie rycerz miał zaledwie blade pojęcie,

wprost mu przerwał, już na dobre zły, że na takie dyrdymały traci zdrowy sen.

– Nie widzę związku z moją działalnością, panie. Zioła i kamienie magiczne nie zwalczą postępu. A ja zresztą jestem zwolennikiem tego ostatniego.

Falquet znów westchnął ciężko.

– I nawet przestali szanować zacnych minstreli... Nie, mości Filleganie, nie na sentymentalne rojenia potrzeba mi lekarstwa... – Rozejrzył się po pokoju, ponownie z aprobatą witając kościotrupa. – Jak twierdzi wasz giermek, tajemnicy dochowujecie nie gorzej od księdza?

Gospodarz skinął głową.

– Lepiej nawet – odparł z uśmiechem. – Bo przecież mi zapłacicie, żebym milczał.

Dla odmiany, trubadur skrzywił się nieznacznie.

– Głos już nie taki, żeby śpiewać – wyznał wreszcie. – Czas jakiś mogę jeszcze żerować na swej sławie, kolegów namawiać, żeby rozpowiadali o mnie bajdy... ale ile to potrwa, rok? dwa lata? A co potem? Potrzeba mi leku, a wy pono cuda wyprawiać umiecie...

Fillegan zastanowił się. Podczas kiedy trubadur w skupieniu oglądał własne wypiełgnowane dłonie, rycerz przerzucał w myślach kolejne karty ksiąg. Mandragora i głos? Surowe jajka, i owszem, ale od tego Falquet pewnie zaczął i nie pomogło...

Naraz rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi. Zaniepokojony gość rozejrzył się raz i drugi.

– Nikt nie może mnie tu zobaczyć! – rzekł z naciskiem. – Byłbym skończony. Chory trubadur to żaden trubadur, panie.

Fillegan skinął głową. Co za cholerę tu przyniosło o tak bandyckiej porze? – myślał z niezadowoleniem.

– No, trudno, włączcie pod stół – poradził wreszcie rycerz.

Tymczasem pukanie do drzwi zamieniło się w bardziej zdecydowany łomot. Mamrocząc pod nosem przekleństwa i uwagi na temat własnej godności, trubadur schronił się w ostatniej chwili pod potężnym meblem. Wtedy Fillegan przekręcił klucz w zamku.

Do pokoju wpadł... Caspar Chausner.

– K-k-k-k-k-k-k... – zaczął, przyskajając na wszystkie strony śliną.

Jasne – pomyślał Fillegan. – *Leczenie nie pomogło. Tak to już jest z niesprawdzonymi recepturami.*

– O co chodzi? – rzekł na pozór spokojnie, uspokajającym gestem chwytając mężczyznę za ramię. Obrócił go ku drzwiom. Jeszcze chwila i wyprowadzi go z pokoju, gdzie ukrywał się trubadur.

Przybysz nie dał się jednak wyciągnąć na zewnątrz.

– K-k-ksiądz! – wydusił z siebie wreszcie. Po czym w urywanych, powtarzanych po wielekroć słowach opowiedział, że wszystko zrobił według zalecenia, ale kiedy z prostej ciekawości czekał, by sprawdzić, na jakie zwierzę padnie zły los, drogą przeszedł miejscowy ksiądz, Saligos.

Filleganowi szczęka opadła z wrażenia.

– Jezu Chryste! – szepnął.

Zaraz jednak opanował się, bo przecież nie wypada poważnemu medykusowi panikować.

– Coś zaradzimy. Idźcie do domu, a ja pomyślę.

Ksiądz! Psiakość, co cholerny klecha nocą robił w takim miejscu?!

Tymczasem Falquet wyłonił się spod stołu. Minę miał nietęgą, czemu trudno się dziwić, bo w jego obecności właśnie został podważony autorytet i kompetencje medyka.

Może to stres, może jakaś iluminacja, w każdym razie Fillegan postanowił podjąć się leczenia.

– Duendain przyśle wam lek po południu – rzekł głosem tak pewnym, na jaki tylko było go stać tej fatalnej nocy. – Bez obaw.

Postanowił być konserwatywny do bólu, skoro nowoczesne i niesprawdzone metody zawiodły. *Do jajek doda się mandragory i zobaczymy* – rozmyślał. Może na głos to nie pomoże, ale jak zwiększy potencję, to może kochanka przekona trubadura, że jeszcze się do czegoś nadaje?

Później wrócił myślami do tego nieszczęśnika, Caspara Chausnera. *A to pech! Czemu, do diabła, Saligos po nocy się płacze, gdzie nie powinien?!*

* * *

Sen nie zawsze przynosi ukojenie. Śnił się Filleganowi koszmar – a może była to wizja przyszłości, tyle że zatopiona we śnie? W każdym razie, dyndał na gałęzi. Był żywy, czuł ból, ale gawiedź już się rozchodziła, jakby wisielec spuścił z siebie wszystkie soki i przestał tańczyć na śmiertelnym wietrze. Próbował krzyknąć, coś powiedzieć, ale pętla mocno zaciśnięta na gardle miażdżyła krtań, nie pozwalała choćby na jęk. Od rąk na plecach, związanych grubym sznurem wrzynającym się w nadgarstki, szło bolesne drętwienie.

I wtedy obudził go Duendain. Całkiem legalnie go obudził, bo rycerz sam go prosił, żeby nie później niż w południe wywlekł go z łóżka. Mimo to zrazu nie wiedział, gdzie się znajduje. Giermek jednak szybko naprowadził go na właściwy trop:

– Słońce już wysoko, panie... A tak przy okazji, mam pomysł. Powiadają, że mandragora czyni odpornym na ciosy... a jakby tak jakiegoś możnego namówić, żeby przed bitwą rycerstwo zażyło leku? I zgarnąć kupę grosza?

– Nic z tego – uciął zły Fillegan, zastanawiając się przelotnie, kto to „powiadał” giermkowi takie głupoty. – To bajka. Niejeden już się naciął na tej odporności. Posiekają ich, a my poniesiemy odpowiedzialność. Mowy

nie ma, Duendain. Legendy jedno, życie drugie. Chcesz, znajdziemy ci zbroję, nakarmimy mandragorą i eksperymentalnie sprawdzimy, jak to jest z tą odpornością na ciosy. Reflektujesz?

Giermek zrobił markotną minę. Zaraz jednak jego oblicze rozjaśniło się ponownie:

– Po prawdzie, miałem dwa pomysły – wyznał z nadzieją. – A gdyby tak nasycić ziołowe napary mandragorą? I tak sprzedawać?

– Miałyś herbatkę ziołową. – Fillegan wzruszył ramionami, upychając koszulę w spodnie. – Ale kto by to kupił? Spójrz, nawet prości ludzie, jak już się dorobią trochę grosza, piją uczciwe wińsko, a nie jakieś herbaty ziołowe. Nie, nawet jakbyś w torebki powsadzał, nie przyjmie się. Chyba z musu – ale wtedy co to za interes? Kto by to kupił z własnej woli?

Ogarnął się, przejrzał w mętym lustrze.

– Spadaj. Muszę przyrządzić leki temu trubadurowi... no i sprawdzić, co tam słychać u biednego Caspara.

* * *

Zgodnie z przewidywaniami Fillegana, żadnym sposobem nie udało się namówić jąkały na konfrontację z księdzem. Kwiczał i zapierał się, aż wreszcie zrezygnowany rycerz machnął ręką i sam postanowił dokonać wizji lokalnej.

Tego dnia nie dotarł jednak do zakrystii. Wcześniej spotkał kilku znajomych, ci zaś skutecznie osłabili moc jego postanowienia.

Jakoś tak przy szóstym dzbanie do wnętrza Radości zajrzał nieszczęsny Caspar. Widząc jego pytające spojrzenie, rycerz przecząco pokręcił głową. Na poprawienie humoru sobie i cieśli, zamówił kolejną miarkę napitku. A potem kolejną.

Być może dzbanów wina poszło sześćset sześćdziesiąt i sześć, bo do zakrystii Fillegan tego popołudnia nie dotarł. I gdyby nie poważanie dla

inkwizytora i medykusa w jednym, trzeźwiałyby gdzieś w kącie tawerny, razem z paroma mniej szanowanymi obywatelami miasteczka. Karczmarz – tym bardziej skłonny do okazywania rycerzowi szacunku, że sam skorzystał wcześniej z jego porady – kazał kuchennym chłopcom zanieść ledwie żywego klienta do domu. Ci oparli go o drzwi i uciekli, nim rozeźlona Orri pogoniła ich nie tylko słowem, jak to już parę razy miało miejsce.

* * *

Wreszcie nadszedł czas niedzielnej mszy. Fillegan gryzł wargę i czekał. Przeszując próg kościoła, czuł się jak krzywoprzysięzca, którego zaraz trafi piorun, albo jak grzesznik słyszący wezwanie z wnętrza piekielnego kotła pełnego smoły. Rozglądając się w poszukiwaniu Chausnera, czuł rosnący niepokój – cieśla nie pojawił się, choć opuszczenie mszy było do niego niepodobne. Wreszcie rycerz, pchany falą wystrojonych owieczek podążających ku swemu pasterzowi, znalazł się w kościele.

Tu stwierdził z ulgą, że Saligos normalnie przystąpił do odprawiania mszy. Ksiądz był w tak dobrej formie, że pokusił się nawet o kazanie, w którym napiętnował nie tylko herezję leśną – co Fillegan przyjął z krzywym uśmiechem, rozbawiony narastaniem plotki do rozmiarów jedenastej plagi egipskiej – lecz także pleniące się w mieście nieobyczajne i niegodne zachowania osób wysoko postawionych. Wyraźnie przy tym spoglądał na rycerza.

Msza dobiegała już końca, gdy naraz za tylnymi ławkami, przeznaczonymi dla mniej znamienitych obywateli miasteczka, rozległ się dziwny kaszel. Te pół zgromadzenia, które z zainteresowaniem oderwało się od nudnej przemowy księdza, w tym i lekko obruszony słowami klechy Fillegan, ujrzało, jak ku środkowi przesuwają się Caspar Chausner. Zmierzał chyba w kierunku rycerza.

– ...A ci, którzy przeszkadzają głosić Słowo Boże, trafią do piekła – zręcznie wplótł ostrzeżenie Saligos, gniewnie spoglądając na jąkałę.

Ten zatrzymał się... spurpurowiał... wreszcie zgiął się wpół i przeciskając się przez tłum, biegiem ruszył z powrotem do wyjścia.

Po mszy czekał na rycerza, cały rozjaśniony i szczęśliwy, zupełnie nieprzejęty grozą trafienia do piekielnego kotła, albo też uważając, że zręczny cieśla wszędzie zapewni sobie poważanie.

– Chodźcie do karczmy, ja stawiam – rzekł szybko. – Jąkanie przeszło, a księżulo też zdrów, jest więc co opijać. Wasze lekarstwa, acz straszne, jednak pomogły!

Czyż zacny rycerz i medykus nad medykusy mógłby odmówić takiej propozycji, takich hołdów i zaszczytów? Może i mógłby. Fillegan w każdym razie podążył za Casparem, leniwie rozważając, co bardziej pomogło jąkałe: mandragora czy wstrząs, gdy zobaczył księdza potoczyście i bez najmniejszego zająknienia piętnującego mieszkańców Ravissaint, na dodatek grożącego mu piekłem.

Czas jakiś biesiadowali w przyjemnym nastroju. Ale miłe chwile mają to do siebie, że kiedyś się kończą. Rycerzowi zdążyło już nieźle zasumieć w głowie od niespodziewanego sukcesu, kiedy naraz jeden z mieszczan, któremu tydzień wcześniej udzielił porady, capnął go za rękaw i odciągnął w bok. Tam z zażenowaniem rzekł, że leki zadziałały i wszystko było dobrze, dopóki pod dach nie przyjął, poleconego przez swego dalekiego krewnego, gościa z Mediolanu.

– ...i jakoś ciągnie mnie do Gaetano – dokończył szeptem, popatrując, czy nikt nie podsłuchuje. – Do Clarissy zresztą także, tu nic się nie zmieniło. Ale skąd... – Głos mu się całkiem załamał.

Fillegan, mimo zmęczenia, od razu pojął w czym rzecz i znalazł winnego. Był nim... on sam! Przez pomyłkę musiał zaordynować męski

korzeń. Psiakrew! Tak to jest, jak się idzie na ilość, nie na jakość.

– Zimne kąpiele – osądził bez zmruczenia oka. – Długie, zimne, samotne kąpiele. Zawsze wtedy, gdy pomyślisz o Gaetano.

– A jeśli pomyślę o nim w czasie kazania? – zaniepokoił się mężczyzna.
– Jak dzisiaj?

– Wtedy po mszy – mruknął rycerz. – Chyba że dach zacznie przeciekać. Poklepał nieszczęśnika po ramieniu i wrócił do stołu, przy którym trwała dyskusja, czy demony piją gorzałkę, czy wolą piwo.

Od razu wsadził kij w mrowisko twierdzeniem, że raczej czerwone wytrawne wino, bo przypomina smakiem i wyglądem krew niewinnych ludzi. A demony też mają swoją hierarchię i zwłaszcza piwo pozostawiają ichniemu pospólstwu.

* * *

I tak, pomimo pewnych drobnych kłopotów, pomyślnie rozwijała się kariera Fillegana z Wake. Co więcej, mógł zacząć żerować na cudzej sławie!

Szedł sobie któregoś dnia rynkiem, kiedy z naprzeciwka wyszedł mu... Falquet.

– No i jak tam? – spytał muzyka. – Wszystko dobrze?

Trubadur skinął mu głową z szacunkiem, ale widać było, że chciałby porozmawiać, tylko nie pośród gapiów, których rozmowa dwóch znamienitych mieszkańców Ravissaint wyraźnie zainteresowała, bo zaczęli się gromadzić w pobliżu.

– Nieźle – odparł. – Dasz się, mości Filleganie, namówić na miarkę wina?

Rozpiję się – pomyślał rycerz. – Jak nic rozpiję się, zacznę rozpowiadać tajemnice i skończę w tajemnych lochach papieskich.

We wnętrzu tawerny było cicho i spokojnie. Mimo to trubadur konfidencyjnie pochylił się ku swemu rozmówcy, wcześniej obrzuciwszy pustą salę czujnym spojrzeniem.

– Lepiej – rzekł cichuteńko. – Rymarzówna, najmłodsza córka pani Gellente, naprawdę słodkie dziewczę, twierdzi, że głos nabrał aksamitu... a uszko to młode, wyczulone... Śpiewać jeszcze nie próbowałem, ale... – z nadzieją zawiesił głos.

Ot, co potrafią działać wiara, młode kobiece ciało i parę jajek – skonstatował Fillegan. Jednak nie zdradzał się minstrelowi ze swymi myślami. Sięgnął po kubek, upił łyk wina.

– Kuracja ledwie rozpoczęta – stwierdził z udawanym namysłem. – Rozumiesz, muzyku, że to długotrwałe leczenie, jeżeli ma przynieść skutki. I nie można go przerwać, bo możesz całkiem stracić głos...

Falquet gorliwie kiwał głową.

– I rok gotów jestem się leczyć, jeżeli da to trwałe wyniki...

Fillegan odsunął puste naczynie.

– Idę, inni chorzy czekają. Zajrzyj któregoś dnia wieczorem – ale wieczorem, psiakrew, nie bladym świtem! – to zobaczymy, jak przyspieszyć proces leczenia.

* * *

Prawdziwa reklamacja zdarzyła się raz tylko, za to była szczególnie dotkliwa, gdyż niezadowolonym okazał się karczmarz z Radości.

– Wypiłem. Trzy flaszki wypięm, i nic – mruknął, obrzucając izbę przyjęć Fillegana posepnym spojrzeniem. Dotąd załatwiali sprawę na zapleczu tawerny.

Rycerz westchnął.

– To już nie wina napoju, Rigadeau – odparł. – Widać nie kochałeś dziewczki szczerze. Na to i mandragora nic nie poradzi, trzeba porzucić

nadzieje. Ja gwarancję dawałem, zauważ, tylko na prawdziwą miłość, a ty ją pewnie chciałeś do łóżka zaprowadzić, a potem zostawić niebogę...

Karczmarz nadał się. Gdyby nie to, że jego knajpa odpowiadała Filleganowi, który lubił tam bywać, wyrzuciłby go na zbity pysk.

– Powinieneś oddać pieniądze – rzekł twardo Rigadeau.

Rycerz zastanawiał się przez chwilę.

– Wypiłeś nalewkę? Wypiłeś. Nie poskutkowało, trudno. Połowę pieniędzy oddam, ale bez przesady, w końcu straciłem i czas, i sporo cennego surowca...

Karczmarz chwilę ważył propozycję w myślach. Wreszcie skinął głową.

– Niech będzie. To uczciwe rozwiązanie.

Fillegan mógł być jednak pewien, że dobre czasy w Radości dobiegają końca. A przy pierwszej okazji zapowiedział Duendainowi, żeby chorych z reklamacjami odsyłał w diabły.

– Już i tak to robię, panie, z własnej inicjatywy – rzekł giermek. – Facetowi, który przyszedł i kwękał, że niepiękny, i chce leków na urodę, poradziłem, żeby zmienił lustro... albo, jak chce mieć nową twarz, niech idzie w jakiś zaułek, gdzie zbóje uprawiają twarzoplastykę!

– No i dobrze – odparł pryncypał. – Już mam dosyć tego leczenia. Naprawdę, to ciężki kawałek chleba.

* * *

Tymczasem wymiana myśli z uczonymi ze świata nabierała tempa, choć nie toczyła się według planu rycerza.

Zważył w ręku pakiecik od Olgana Durkheimera, po czym zabrał się do czytania.

Rozumiem, że każdy, nawet laik, ma prawo do prowadzenia badań, ale z tego jeszcze nie wynika, że każdy laik poprawnie wyciągnie wnioski – pisał tenże w niezwykle obcesowym tonie.

O żeż ty! Żeby cię pchły oblaży – pomyślał dotknięty do żywego Fillegan. – Ja ci pokażę.

Zalecam więc lekturę książek. Ale to nie wystarczy, przydałoby się kilka semestrów na jakiejś dobrej uczelni. Inaczej może się Pan stać pośmiewiskiem, a tego by Pan chyba nie chciał?

Znieważony adept magii zawarczał jak raniony niedźwiedź.

– Semestry, tak? – pogadywał pod nosem. – Pośmiewisko, uważasz?

Pstryknął palcami w okładkę książki, która leżała sobie na stole, założona źdźbłem czarnicy kropidlanej.

– Jeszcze zobaczymy, Durkheimer. Jeszcze zobaczymy...

Jakoś doczekał do wieczora, choć słowa niemieckiego uczonego poruszyły go do głębi. Nadszedł wreszcie zmierzch, zapowiedział reszcie kompanii, że noc spędzi w swojej pracowni.

Wreszcie, gdy okolicę spowity głębokie ciemności, a mieszkańcy Ravissaint zapadli w zdrowy sen, wyszedł do ogrodu, minął szereg drzew owocowych i dotarł do zagonu mandragory, już pozbawionej kwiatów i owoców. Liście oklapły, choć pod ziemią ukrywała się wciąż posiadająca moc alrauna. Fillegan nie przyznawał się nikomu, dlaczego – zamiast założyć porządną zagon – z sześciu mandragor utworzył w miarę regularny okrąg, pośrodku którego postawił daszek kryjący rośliny w niezbędnym dla ich żywota cieniu.

Po raz tysięczny chyba z uwagą przyjrzał się niewielkiemu tomikowi, który trzymał w ręce. Choć z trudem dałoby się odczytać litery w świetle księżycyca lub pochodni, on jednak nie potrzebował tego, stosowne akapity znał na pamięć, dziełko ze sobą zabrał raczej z szacunku. Traktat zawierał zaklęcia roślinne typu: jak zwykłą jagodę przemienić w wilczą, jak owies uchronić od zarazy, jak marchew wyprostować i rozmiar właściwy normom europejskim nadać, jak kapustę przed żerliwym motylem ochronić...

Fillegana szczególnie zainteresowało jedno z zaklęć. I teraz zamierzał je wypróbować.

Przyszłość. Kto by jej nie chciał znać? A przekopawszy się wstępnie przez te wszystkie źródła, rycerz dowiedział się, że nie tylko Honoriusz z La Puty twierdzi, że mandragora widzi przyszłość. Anonimowy autor „Niespotykanej siły natury” podał zaklęcie, którym, jeżeli rzecz działa się w lesie, należało związać zagon mandragory lub kilka rosnących obok siebie. Drugie zaklęcie, w księżycowy miesiąc później, winno maga włączyć w już istniejący krąg mocy i dać mu możliwość wejrzenia w przyszłość. Cała formuła miała dwie wersje: lepszą z *dissą* w roli medium, i gorszą, ale jednak wciąż działającą, bez udziału złośliwego gнома.

Rycerz popatrzył na sześć krzewów. Czekwały. Wyczuwał słabe pulsowanie ich mocy. Coś zakłócało czystość strumienia, wkradł się tu jakiś fałszywy ton, jednak zasadniczo zagon mandragory zachowywał się tak, jak to opisywała księga. A że drobne detale w rzeczywistości – jak choćby ta niespotykana niebieska mandragora – zwykły się różnić od opisów w dziełach poświęconych wiedzy tajemnej, pewnymi odstępstwami od normy Fillegan nie przejął się wcale.

– *Macabrus futurum habeamus sum!* – zaczął recytować zaklęcie. – *Linus schcupacus carpus jem! Patatam patatam mniam!*

Niebo przecięła błyskawica, pierwsze krople deszczu uderzyły w listowie...

* * *

Wróciwszy z ogrodu, wciąż był tak podekscytowany, że nie mógł zasnąć. Postanowił więc natychmiast odpowiedzieć złośliwemu naukowcowi. Pióro skrzypiało, z impetem kładąc słowa na papier.

Wreszcie odłożył je na bok i raz jeszcze rzucił okiem na list:

Zacny panie Durkheimer, nigdy nie zamierzałem nikomu czynić krzywdy. Niemniej natura ludzka stąd jest tak wielka, że człowiek ciągle poszukuje. Wciąż poszukuje i znajduje, a potem znów poszukuje. I czym może grozić hodowla mandragory albo dociekanie związków przyczynowych pomiędzy sonetem a filozoficznymi aspektami bytu?

Ziewnął. Wyczerpało go to stawianie liter.

– Trzeba iść spać.

* * *

Ledwie świtało. Fillegan obudził się z okropnym przeczuciem, że coś jest nie tak. Ale wciąż nie był pewien co.

I wtedy usłyszał śpiew. Delikatny sopran snuł pieśń, wznoszącą się i opadającą niby fale Loary, niby zmarszczki na rybnym stawie... Jakkolwiek wydawało się to nieprawdopodobne, głos płynął od zagonu mandragor!

Wtem do solistki dołączyły głosy Ciszki i Niemka z psiarni, tworząc chór. Zaraz potem dołączyły się psy z całej okolicy i natychmiast zrobił się zgiełk jak podczas wielkiej bitwy. Mimo to sopranistka wciąż była słyszalna w tej kakofonii.

– Cholera! – rzekł do siebie rycerz, zrywając się z łóżka. – No to wyhodowałem mużę!

Gwar od strony miasteczka narastał. To ludność Ravissaint, z mieczami, pikami, kosami i kto tam miał co pod ręką, już biegła ku domowi adepta magii, aby w pełni móc rozkoszować się nocnym koncertem.

Rozdział piąty

Nie wszystkim podobała się przemiana Fillegana z Wake z rycerza sypiającego po wykrotach w jedną ze znamienitych postaci tej epoki...

Hodia von Tutenberg, ***Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata***

– Naprzód, wciąż tylko naprzód! – sarknął niezadowolony Duendain, gdy wyminęli opłotki Ravissaint i zagłębili się w leśnej toni. – A może by tak pomieszkać trochę, zażyć spokojnego żywota, bliżej poznać Berenikę, nie tylko w łóżku, ale i z charakteru? – Spoglądał przy tym z wyrzutem na Fillegana, podążającego obok na swoim Bucefale Drugim. – Ustatkować się trochę? Bo inaczej, jak będą kiedyś pisać epos o tobie, panie, to będą musieli stworzyć nowy gatunek: epos drogi. Jechał, i jechał, i jechał... nic się nie działo... ciągle tylko gadał... i jechał... aż go na końcu zabili albo umarł. Chyba że wybiorą epos dygresyjny, w którym będziesz ciągle dokądś zbaczał z prostej drogi.

Rycerz nie słuchał go wcale. Zamyślonym wzrokiem błędził po skraju wijącej się przed nimi drogi. Z trudem docierał do niego skrzyp toczącego się ciężko po koleinach wozu i widok ponurych min Duendaina i Orri zasiadających na koźle. Dziewczyna była markotna tym bardziej, że Perdigan musiał ruszyć przodem, aby po kupiecku zadbać o jakieś lokum.

Wszyscy zgodnie obwiniali Fillegana za ściągnięcie na ich głowy nie tylko potężnych kłopotów, lecz także nieformalnej banicji.

Istotnie, gdyby nie Taranbum, Ravissaint zasłynęłoby z linczu oburzonych obywateli na niefortunnym magu i medyku w jednej osobie oraz jego kompanii. Chwała Bogu, burmistrz zdołał przekonać mieszkańców, że lepiej nie zadzierać z inkwizytorem, nawet jeżeli ów zachowuje się ekscentrycznie. Perdigan zyskał więc trochę czasu, aby odsprzedać interes z niewielką stratą, nim ruszył zadbać o ich przyszłość, a Fillegan mógł zaopiekować się mandragorą w ogródku i na leśnych stanowiskach. Szamoczące się niemrawo alrauny nie miały najmniejszych szans. Nać, choć prężyła się bojowo, w końcu obwisła martwo w ręku swego oprawcy. Szczególnie bezlitośnie potraktował tę szóstkę spod płotu, która w dzień nie prezentowała już takiej mocy jak o świtaniu.

– Jak uciekasz do przodu, znaczy: nie zabili – odrzekł wreszcie rycerz Duendainowi, powracając do smętnej terażniejszości. – Pomieszkać pod ziemią to ty jeszcze sobie zdążysz... cała wieczność przed tobą.

– A było mi zostać u Carcassiana – mruknął w odpowiedzi giermek. – Bił, skąpił jedzenia, ale jak się kładłem spać, to wiedziałem, że rano obudzę się w tym samym miejscu...

Fillegan nie odpowiedział. Spoglądał gdzieś w bok, ponad krzakami...

Jeszcze niedawno wiódł żywot rycerza bezkonnego, błąkał się po bagnach i bezdrożach, sypiał w stodołach i wykrotach, a teraz...

Uderzyły mu do głowy. Wiedział o tym.

Wielbłądy. Ilekroć w jego życiu pojawiał się jakiś nikły promyk szczęścia, natychmiast zaczynała się w nim ogrzewać garbacizna.

Zapewne był to uraz z dzieciństwa. Jakiś uczony medykus mógłby uznać, że dopiero zjedzenie kotleta z wielbłądziny albo coś równie idiotycznego, na przykład pojedynek z człowiekiem przebranym za baktriana, wyzwoliłoby nieszczęśnika z tego koszmaru. Rzecz w tym, że rycerz wcale nie uważał obdarzonych garbem bydła za złe. Podobnie rozmyślenia o

szczęśliwym dzieciństwie i wiążących się z nim przedmiotów, ludzi i zwierząt budziły w nim niemal same pozytywne emocje.

Kto wie, może jego los na zawsze powiązany został z tymi bydłętami?

Czyż nie byłby to imponujący widok: bojowy poczet wielbłądzi albo i dwa, jedno- i dwugarbny, obok siebie?

Świętej pamięci ojciec wyraźnie preferował azjatyckie baktriany. Fillegan nie potrafił się zdecydować, bo i dromadery, z tym pojedynczym, wystającym niby Matterhorn garbem kusiły go swoistym urokiem.

Mandragora miała zapewnić rycerzowi majątek. A właściwie – bogactwo. Było mu ono potrzebne do wykupienia Wake z łapsk tego kupczyny, Ayermine'a.

Do tego było jeszcze daleko. Jednak mikstury, korzenie, owoce i nasiona, które wieźli w sakwach i na wozie kierowanym przez giermka, wystarczały na prowadzenie dostatniego żywota. Księgi zaś... Fillegan zastanawiał się, czy nie pchną go na inną, dotąd niemożliwą nawet do pomyślenia, ścieżkę losu.

U kresu swej drogi dostrzegał nie tylko odayerminowane Wake. Wszak bogactwo winno służyć czemuś pożytecznemu. W tym przypadku miało doprowadzić do odrodzenia się hodowli wielbłądów w siedzibie rodowej. Rycerz marzył, aby historia zatoczyła koło, a potem rozwinęła się niby spirala, obejmując wielbłądami całą Europę.

– Cóż, Duendainie – oderwał się wreszcie od swych myśli – opuściliśmy Ravissaint, osiadzimy w Beaufou. Da Bóg, na dłużej, bo świat jest pełen ludzi szukających wsparcia w swych udrękach. Popatrz zresztą na Falqueta – rycerz roześmiał się głośno. – Dla naszej kompanii opuścił tak piękne miasteczko i zacne towarzystwo, a ty narzekasz?

W odpowiedzi trubadur, podążający konno obok Fillegana, prychnął z oburzeniem. Po czym, nie fatygując się szukaniem lutni w tobołach na

wozie, akcentując rytm wiersza, zaczął:

Podły świat, co zgrozą ziaje,
Dzięki Bogu, żegnam rad.
Opowiedzieć mi zostaje,
Jakiem tam nieszczęśliwości,
Jakiem mnóstwo przeżył trwóg!

Tu Falquet odchrząknął i dodał już zupełnie normalnym głosem:

– A śpiewające mandragory, Filleganie, wcale nie były pośród nich najstraszniejsze.

* * *

Z nieukrywaną odrazą i niedowierzaniem spoglądali na Perdigana.

– I to ma być ta nasza nowa ustron? – jęknęła wreszcie Orri, z kwaśną miną popatrując na stojącą przed nimi ruderę. – I ty sobie wyobrażasz, kochany, że ja tu zamieszkam, tak?

Kupiec skinął głową. Zgodnie z wolą Fillegana, wybrał siedzibę z dala od ludzkich oczu, na skraju miasteczka, położoną niemal przy samej ścianie bukowego lasu. Wydawała się wprost idealna dla adepta magii, które to życzenie rycerz zresztą wyraźnie Perdiganowi wyłuszczył. Dziewczyna, podobnie jak i Duendain, dostrzegała w niej jednak tylko kiepski stan zewnętrzny.

Mylili się. Wiadomo, dom potrzebował remontu, ale Jos najpierw starannie sprawdził, że konstrukcja jest zdrowa, a fundamenty solidne, nienadwątłone zębem czasu. No i ta cena... Perdigan błogo uśmiechnął się na samo wspomnienie. Levy, pisarz w burmistrzowskim urzędzie, opuścił tyle, że nawet po włożeniu trochę grosiwa w renowację chałupy, nadal będzie ona tania jak kawałek sera. A kupiecki nos podpowiadał mu, że co

szybko i dobrze kupione, może trzeba będzie równie szybko i z zyskiem sprzedać.

– Jak znam życie, to tylko prowizorka. – Uśmiechnął się i puścił oko do Orri. – Aha, byłbym zapomniiał. – Ostentacyjnie klepnął się w czoło. Spojrzał z frasunkiem na Fillegana. – Burmistrz chciałby pilnie zamienić z tobą kilka słów, mości inkwizytorze. Twoja sława bowiem zdążyła dotrzeć tu wcześniej.

Fillegan jęknął.

– Nie, nie, nie, tylko nie to!

I wtedy poczuł na sobie twarde spojrzenie Orri.

– A co, strach obleciał? – spytała szyderczo. – Odechciało się wchodzić w cudzą skórę?

Rycerz skrzywił się z niesmakiem, tym większym, że milczący dotąd Falquet roześmiał się naraz, z uznaniem pokręcił głową nad filipiką dziewczyny.

– Kracz, droga Orri, kracz. Jak mnie wezmą na męki, to co zrobią z wami, pomyślałaś może? A ty, trubadurze, co to zechciałeś nas zaszczyścić swą obecnością, nie szukaj aby tematu do pieśni w mojej tragedii, bo mieczem przez grzbiet zdzielię!

Po raz ostatni obrzucił spojrzeniem rudere i ruszył w stronę rynku. Chciał mieć za sobą wszystkie te niemiłe spotkania i formalności, zanim się zajmie prawdziwą nauką.

Miał też nadzieję, że inkwizytorska skórka nie odklei się w najmniej spodziewanym momencie.

Po drodze trafił na kapliczkę z Monty Pychotkiem, jedynym świętym, którego poważał. Uznał to za dobry znak, uklęknął i zmówił modlitwę w intencji szczęścia rozumnym, a na pohybel gorliwcom, psom i głuptakom.

* * *

– Twoja sława cię wyprzedza – mruknął burmistrz Schoemaker, szczupły mężczyzna o niezbyt przyjemnym obliczu, na którym malowała się wyraźna rezerwa. – Ale nie są to tania popularność i poklask, jak pewnie wiesz.

Fillegan w skupieniu przyglądał się, jak rośnie mu paznokieć prawego kciuka, nieco żółkłego od soku mandragory. Postanowił wyczekać burmistrza do ostatniego, najostatniejszego słowa i dopiero wtedy zareagować.

Schoemaker z irytacją zabębnił palcami po stole.

– Niespecjalnie mi się podoba, że chcesz tu zamieszkać, inkwizytorze – rzekł wreszcie. – Utrudniać ci nie zamierzam, ale i pomagać, jak Taranbum, też nie mam ochoty. Lepiej, żeby nie było żadnych kłopotów, rozumiesz?

Rycerz skwapliwie skinął głową.

– Niech to zostanie pomiędzy nami – odparł. – Inkwizytorem bywam sporadycznie i raczej niechętnie. Nie ma potrzeby straszyć mieszkańców, po co mają się denerwować, prawda? Potrzeba mi spokoju i czasu, aby studiować księgi. To moje prawdziwe powołanie. Param się medycyną naturalną, panie Schoemaker, trochę też alchemią, w zakresie, na jaki Kościół pozwala.

Burmistrz niespodziewanie uniósł brew. Na jego pociągłej twarzy pojawiło się nagle zainteresowanie.

– Medycyną, powiadasz... – mruknął. – Hm, to nieco zmienia sytuację... Spodziewaj się mnie zatem, któregoś dnia wieczorem, jak się już zadamowisz. Bo mam sprawę, o której tutejsi, rozumiesz, wiedzieć nie powinni... – Przerwał, na jego policzki wypłynął krwisty rumieniec zażenowania.

Tak, cierpienie naprawdę zbliża ludzi do siebie, czyniąc ich przyjaciółmi w niedoli.

* * *

Cóż, trzeba było Perdiganowi zwrócić honor: po tygodniowym remoncie dom nabrał blasku, zamienił się w przyjemną jesienną przystań dla całej spragnionej dostatniego, leniwego żywota czwórki.

Dla adepta magii, który pracowitością przewyższał wszystkich tych leniuchów, udało się wygospodarować osobne pomieszczenie na gabinet, z własnym wejściem, z dala od pokoi zajętych przez resztę kompanii.

– W ten sposób twoje smrody nie będą nas truły – osądziła zadowolona Orri podczas jednego z posiłków. – Sam je sobie wączhaj, skoro lubisz.

Fillegan wcale nie kłamał Schoemakerowi. Naprawdę zamierzał zagłębić się w księgi i hodować mandragorę. Od tego drugiego zresztą zaczął: jeszcze dobrze nie zagnieździli się w nowej siedzibie, a już zaczął szukać stanowisk, w których mógłby przed nadejściem zimy złożyć mandragorowe nasiona. A kiedy znalazł odpowiednie miejsca, posiał tam życie i pobłogosławił na wszystkie znane mu sposoby.

Własne pomieszczenie, gdzie rzadko zachodziła wścibska Orri lub reszta kompanii, miało dla rycerza same zalety. Największą zaś taką, że mógł tam sobie odsypiać pijaństwa i libacje, a i tak jego autorytet się ugruntowywał – wszyscy widzieli, jak wiele czasu, na studiach oczywiście, tam spędza. Rozwalone dokoła księgi i preparaty każdemu musiały dowieść, że prace naukowe lokatora owego pokoju ostro posuwają się do przodu.

Nie przyznawał się do swoich dalszych planów towarzyszom, jednak miał zamiar pobyć w Beaufou co najmniej rok. Zimą, gdy mandragora będzie sobie spała słodko pod ziemią, nakryta śniegiem, planował studiować księgi oraz analizować wszystkie dostępne mu aspekty magii. A było tego tak wiele, że szybko porzucił żal, iż niepotrzebne wysłał na tę zimę Geoffa do zamku hrabiego Detardieux, zamiast samemu ukryć się tam i eksperymentować w grubych i pustych murach, sprawdzać siłę niektórych

ciekawych zaklęć, czarów i uroków... Prędko bowiem doszedł do wniosku, że tej zimy i tak niewiele by działał. Dotychczasowe wyniki nie były imponujące, a wypadki brały się ze zwykłej niewiedzy i nieumiejętności. Na przykład do tej pory nie rozumiał, co sprawiło, że mandragora zaczęła śpiewać, chociaż przypomniał sobie Ciszkę porywającą jeden kawałek zepsutego korzenia i fakt, że nie sprawdził, co się stało z kawałkiem numer dwa. A także to, że po tej „muzycznej” nocy jej sierść zmieniła barwę, pokrywając się cętkami o wielkości i kolorze rozgniecionej jagody.

Zaniechał wszelkich magicznych poczynań, póki nie zdobędzie bardziej gruntownego teoretycznego wykształcenia. Czytał więc księgi, preparował leki, ale z magią, prawdziwą magią, dał sobie spokój, obawiając się skutków. Mając za przodków naukowców tej klasy, co przesławnej pamięci Tytanus z Wake, rycerz wolał uczoną refleksję od szaleństwa żywiołowego wtykania palców w drzwi. Na wpychanie ich w szpary też przyjdzie pora, ale uznał, że skoro palce nie odrastają, lepiej uważać, gdzie się je wkłada.

I tak zastał go piątek pewnego dnia wczesnej jesieni.

Noc Fillegan spędził w pracowni, bo od popołudnia nie tylko czytał księgi i rozmyślał nad nimi, ale za pomocą siarki oraz zaszuszonego palca żebraka (zdobytego z niemałym trudem), próbował, jak nakazywał przepis, wytrącić z soku mandragory czystą esencję magiczną. W efekcie pracownia strasznie zaśmierdła, palec rozpuścił się prawie całkowicie – na dnie naczynia pozostały jedynie kościane drzazgi – sam zaś destylat, jeżeli nawet posiadał jakieś magiczne moce, to ich nie ujawniał ani pod wpływem zaklęć, ani imienia bożego (jak widać, wezwanego nadaremno), ani wreszcie pod wiązką grubych przekleństw miotanych przez ambitnego badacza, którego od tych siarczano-kościanych oparów strasznie rozboleła głowa. Z trudem dotarł do zapasowego łóżka pod ścianą i zapadł w ciężki sen.

Zbudziło go nieznośne parcie na pęcherz. Akurat świtało. Fillegan nie trudził się poszukiwaniem naczynia w kącie czy pod łóżkiem, postanowił zażyć rzeźwiącego chłodu. W całym nagim majestacie ukazał się w oknie. Dom stał na uboczu, a okna jego pracowni wychodziły na ścianę lasu, tak więc nie obawiał się na tym pustkowiu podglądaczy ani publicznego zgorszenia.

Dokonał stosownych operacji, pogwizdując sobie z narastającą radością – i już miał włożyć koszulę w spodnie, kiedy nagle we framugę okna z przeraźliwym świstem wbiła się strzała! Fillegan dał rozpaczliwego nura w głąb pokoju, potrącając jakieś przedmioty, klnąc i kwicząc jak źle, czyli nie całkiem na śmierć zabite prosię. Przyczaił się za skrzynią z medykamentami. Czekał. Zabłąkane strzały rzadko wypadają z lasu ot tak, same z siebie. Na polu bitwy to co innego, ale tu, niemal w leśnej głuszy? Celując akurat w niewinnego, opróżniającego pęcherz zacnego rycerza? Był to więc zamach – zamach na jego życie, a nawet cześć i godność, bo gdyby strzała trafiła nie w drewno, tylko w czoło albo miejsce poniżej podkasanej koszuli, to nici z chwalebного eposu, bo jak by go niby bard miał zakończyć: że Fillegan całe życie walczył dzielnie, ale poległ, oddając ziemi nadmiar wody z pęcherza?

Co gorsza, wciąż mogło się tak zdarzyć. Strzały to stworzenia rodem z haremu: cały kołczan podporządkowany jest swemu panu i władcy, łukowi. Zapewne więc wiele sióstr tej, która wciąż drgała nerwowo we framudze, tylko czekało, aż ofiara wychyli nos ze swej kryjówki.

Wreszcie, jakieś trzy utraty cierpliwości później, wymacał miecz i płacząc się w koszuli, chyłkiem i po cichu zaczął się skradać w stronę wyjścia z pracowni.

– Już ja cię na foie gras przerobię! – mruzczał pod nosem.

Nikogo jednak nie przerobił na siekankę, bo kiedy udało mu się cichutko otworzyć drzwi, a później pełznąć, czołgając się i skradając, dotarł wreszcie na miejsce naprzeciw swego okna, gdzie w wygniecionych krzakach znajdowało się stanowisko strzeleckie, nikogo tam nie znalazł. Żadnych śladów.

Chociaż... wciąż jeszcze kręcił się tu nikły zapach ziół, wysuszonych na powale i zmielonych. Inkwizycyjne części duszy Fillegana zaczęły kręcić stryczek i układać drewno na stos okolicznym medykom, ich pomocnikom oraz zielarzom.

Wreszcie uznał, że już nic więcej nie wskóra i ruszył z powrotem do domu.

Orri z Perdiganem akurat przyglądali się strzale tkwiącej we framudze. Widać zbudziły ich hałasy albo lubili rozmowy o świcie.

W pierwszej chwili rycerz chciał się wycofać, ale szelest krzaków zwrócił uwagę dziewczyny. Cóż było robić, przestał się ukrywać.

– Eksperymentowałeś? – spytała chłodno, gdy wylazł z zarośli.

Fillegan wzruszył ramionami, otrzepując się z liści i grudek ziemi.

– Co słowem wypuścisz, strzałą wróci, droga Orri – odparł. – Wracaj do domu, bo się zaziębisz – dodał z troską, podchodząc do obojga. Wciąż było chłodno.

O dziwo, posłuchała. Fillegan zajął się zaś narzędziem zbrodni, uwalniając je z framugi.

W swojej pracowni rycerz długo i w skupieniu przyglądał się strzale.

Była zatruta!

* * *

Tymczasem Duendain – który pocieszał się po Berenice, flirtując z kim popadnie i więcej czasu spędzając w mieście, niż dbając o swego pryncypała – przyniósł rankiem zaskakującą nowinę.

– Tutejszy uczony, niejaki Kuiper, chciałby się z tobą zobaczyć, panie – rzekł, poziewując. – Słyszał coś o twoich badaniach i pragnie wymienić doświadczenia...

Rycerz spoglądał na bukowy las widoczny za oknem, zastanawiając się, kiedy wyfrunie stamtąd kolejna strzała, tym razem celna.

– Nie zawracaj mi głowy! – warknął.

Giermek jednak nie rezygnował, jakby miał prywatny interes w zejściu się dwóch naukowców.

– Panie, to zacny naukowiec – namawiał. – I zważ, sam prosi o rozmowę. Powiedziałem mu, że korespondujesz z całym światem. Ta szara tutejsza myszka może podbić twoją sławę – kuśli. – Na jej tle będziesz jaśnieć niby księżyc w otoczeniu bladych gwiazd...

Fillegan prychnął na taki brak gustu w metaforyce. Chłopak będzie musiał nad tym popracować.

– A czym on się w ogóle zajmuje?

– Tajemnicami jakiejś silencji, panie – rzekł już mniej pewnie giermek. – Tak przynajmniej twierdzi.

Rycerz wzruszył ramionami, przejechał paznokciem po okładce rozprawki umoralniającej o niejaki Angelusie Kudlatusie, w które to dzieło podobno zostały wplecione najstraszliwsze zaklęcia wzywające anioły. Tyle że po trzykrotnej lekturze Fillegan nadal nie zauważył ani jednego, za to przekonał się, że sam jest chyba bestią moralności całkowicie pozbawioną.

– Pożytku z tego nie będzie żadnego... Powiedz, że może w przyszłym tygodniu znajdę dla niego czas. Na razie widzisz, czym się zajmuję. – Wskazał piętrzące się na stole woluminy.

Odprawiwszy Duendaina, odsunął na bok Angelusa i wrócił do czytania poprzednio zaczętej księgi. Wcześniej odłożył ją na bok, bo zajmowała się

tymi aspektami magicznymi, które uważał za przesadne albo wręcz zbędne. Teraz jednak „Magia merkatoryczna”, jak z pompą nazwał swe dzieło niejaki Gerhard Kremer Mercator, miała pomóc odpowiedzieć Filleganowi, kto próbował go zabić. Za pomocą tak zwanego rzutu magicznego zamierzał zlokalizować zamachowca. A precyzyjniej rzecz ujmując, miejsce, gdzie ów zatruwał strzałę, to ona bowiem była jedynym śladem, który mógł doprowadzić do napastnika.

Do wykonania potrzebna była jednak mapa miasteczka oraz metalowy walec. W tym celu rycerz musiał wyjść z domu. A jeśli zamachowiec czyha gdzieś tam, na zewnątrz?

Na taką okoliczność najlepszy byłby czar niewidzialności i niesłyszalności. Problem w tym, że choć autorzy kilku co najmniej ksiąg wspominali o jego istnieniu, żaden nie podał formuły, którą można by zastosować w praktyce.

A gdzie Fillegana bezpiecznie nie pošlesz, tam trzeba wysłać... dziewczynę.

Orri nie zamierzała jednak współpracować.

– Chybaś zgłupiał! – gniewnie zareagowała na jego życzenie. – Po co ci mapa? Myślisz, że burmistrz mi ją wyda, ot tak sobie? A kowala to chyba chcesz mieć na sumieniu? Przecież jak go poproszę o to żelastwo, padnie trupem ze śmiechu!!!

I poszła, obrażona.

Cóż było robić, rycerz najpierw solennie postanowił sobie jak najszybciej wywołać jakiegoś demona, który by go chronił przed zamachowcami, później oddał ciało pod bożą opiekę, wreszcie wychylił poza drzwi najpierw czubek nosa, potem lewą stopę, aż w końcu wyłonił się w całej skulonej okazałości.

I – o cudzie prawdziwy – nieugodzony żadną strzałą czy kamieniem, powędrował do Schoemakera.

* * *

– Mapa to nie problem – mruknął burmistrz, popatrując na rynek, gdzie mimo jesiennej zimy było rojno i gwarliwie. – Ale wasze tłumaczenie jakoś mnie nie przekonuje. Leczeniem mieliście się zajmować... moje wrzody do końca wykurować... choć muszę przyznać, że zaordynowane leki pomagają. Stąd skłonny jestem wypożyczyć wam mapę do skopiowania. Tylko nie mówcie, że będziecie leczyć za jej pomocą, aż taki głupi nie jestem. Tej bajki o złych wiatrach i ich wpływie na zarzę także nie kupuję. Jak już chcecie się tłumaczyć, bardziej wysilcie fantazję. – Odwrócił się w stronę wciąż nieruchomo siedzącego rycerza. – Zresztą nic nie mówcie. – Schoemaker uniósł dłoń, gdy ten chciał mu coś rzec. – Dam i tyle. A zajrzę któregoś dnia do was, to się w lekach rozliczymy.

Wychodząc z burmistrzowskiego urzędu, rycerz uśmiechnął się lekko. Gdyby Schoemaker wiedział, do czego mapa ma posłużyć... W sumie był blisko. Fillegan faktycznie zamierzał przy jej pomocy kogoś wyleczyć. Z głupich myśli i jeszcze bardziej niemądrych czynów. Raz i na zawsze. By tak rzec – miało to być leczenie ostateczne.

* * *

Kuźnie, jak się szybko zorientował, Beaufou miało aż dwie. Jedną z nich, podobno lepszą, prowadził niejaki Oort, i ta znajdowała się na wschodnich krańcach miasteczka, na drodze prowadzącej w stronę Tuluzy. Druga rozlokowała się niemal w centrum, podobno poziom jej usług absolutnie nie dorównywał śpiewanym tam cenom, kowal i jego pomocnicy fałszowali materiały, bo sąsiedztwo kilku oberż i gospód w rynku sprzyjało

oszukiwaniu gości. Fillegan wybrał więc drogę dalszą, za to z lepszą perspektywą.

– Walec? – zdumiał się kowal, kiedy przybysz wyłuszczył mu swoją prośbę. – A jaki: pełny czy pusty? I jakiej długości?

Teraz w konfuzję popadł rycerz. Walec to walec, nie zastanawiał się przedtem nad tym zagadnieniem, jaki właściwie powinien być. W księżde stało jedynie tyle, że nie może to być zwykły żelazny pręt.

– Chyba pełny – orzekł wreszcie. – Taki na długość dłoni, smukły, gruby na dwa palce... aby specjalnie wykuty.

Kowal skinął głową.

– Nie ma sprawy... Mylę się, że to wyście ten nowy medyk w mieście? Bo jeśli tak, to moglibyście mi zapłacić ziołami na oparzenia. Zaraza, ciągle coś sobie przysmażę ja albo moi niezdarni pomocnicy...

Fillegan z aprobatą skinął głową.

– Jak się sprawicie, dam cały worek suszonki. Na pół roku zapasu.

Kowal roześmiał się gromko.

– Panie, tu się pracuje! Niechby i na tydzień wystarczyło, też będzie dobrze. Przyjdźcie po południu... albo nie. Wiem, gdzie się zatrzymaliście, to wieczorem wyślę chłopaka. Może być?

Rycerz ponownie skinął głową. Skąd też wszyscy wiedzieli, gdzie mieszka? Plotki rozchodziły się tu jak w Ravissaint. Zaraz tak samo zaczną go nachodzić. Zaraza!

* * *

Rozłożywszy na stole mapę, Fillegan zaczął się zastanawiać, gdzie mieszka ów zagrażający mu zamachowiec.

Na rozwiniętym rulonie Beaufou prezentowało się bardziej imponująco niż w rzeczywistości. Z niezmierzonych przestworzy lasu wyrastała wielka wyspa domów i murów miejskich. Z oględzin mogłoby się wydawać, że

światnością równa się niemal z Florencją czy chociaż z niedaleką Tulużą. Tymczasem miasteczko było niewielkie, mury zaś... istniały tylko w zamierzeniach. Mówiło się co prawda o potrzebie ich zbudowania, ale gdy pojawiała się kwestia, ile to będzie kosztować i kto sfinansuje budowę, rozmówcy natychmiast znajdowali sobie ciekawszy temat, dajmy na to dociekania, czy suczka burmistrza powiła osiem szczeniąt, czy sześć szczeniąt i dwa prosiaki, jak głosiła plotka.

Imponująca czy nie, do odnalezienia zamachowca mapa wystarczała w zupełności. Jak tylko Oort podeśle walec, rycerz zamierzał dokonać magicznego rzutu.

Spoglądając na grafikę, zaczął marzyć. Ech, gdyby tak mieć taki pergaminoskop, którym by można lepiej niż nieuzbrojonym okiem przyrzeć się mapie. Albo taki, dajmy na to, pergaminograf, za pomocą którego można by ją skopiować... na przykład w tysiącu sztuk. Tylko, westchnął, skąd wziąć te stada zwierzaków, co to by je trzeba na ten cel przeznaczyć... i ze smutkiem odrzucił to szaleństwo.

Tymczasem jakoś pod wieczór chłopak od kowala przyniósł zamówiony przyrząd. Fillegan zamknął się w pracowni, w czterech narożnikach stołu postawił zapalone świece, rozprostowany rulon mapy położył na blacie i wziął do ręki walec. Zważył go w dłoni...

Ostre płomyki świec tworzyły przestrzeń. Na razie była to tylko zwykła projekcja w umyśle – linie pomiędzy ognikami przebiegały w wyobraźni maga-wizjonera.

– Mercatorus geographus equus boom – zaczął wymawiać zakłęcie. – Unus cilometres kvadratoves est! Yiachoo bum boom!

Pomiędzy świecami pojawiły się ogniste linie zagarniające przestrzeń stołu, obrębające mapę żywym magicznym ogniem.

– Fireum cum boom! – syknął Fillegan i rzucił ciężar na mapę.

Po czym, ujrawszy efekt czaru, dosadnie zaklął.

W swej księdze Mercatorus wyraźnie twierdził, że żelazny walec ma pionowo stanąć w tym miejscu, gdzie znajduje się poszukiwany obiekt. I walec to właśnie uczynił. Ba! można by rzec, iż stanął z impetem należnym magicznym przyrządom, strącając jedną ze świec...

Tyle że walec wybrał sobie miejsce poza grafiką miasta, na porośniętych lasem terenach go otaczających! Tkwił na zboczu pagórka, który wedle mapy nosił nazwę Lisiej Góry.

– Psiakrew! – wściekał się Fillegan, mamrocząc w duchu przekleństwa pod adresem nieprecyzyjnego Mercatorusa.

Westchnął ciężko – trzeba będzie powtórzyć ceremoniał.

Jednak ku jego najwyższemu zdumieniu, walec za każdym razem lądował w tym samym miejscu. Po czwartej próbie rycerz zrezygnował, klnąc plugawie. Gdyby go ktoś słyszał i doniósł Trybunałowi, rycerz za same słowa i obelgi dostałby karę trzykrotnego stosu.

Wreszcie, zniechęcony do magii, nauki oraz ogólnie całego świata, poszedł spać.

* * *

Obudził się jakoś nocą. Nie, nic nie śpiewało, nie gryzło, nie podchodził go żaden duch... To w głowie zakołatała mu niespokojna myśl. Przekręcił się na bok, odrzuciwszy ją jako idiotyczną. Ale nie mógł ponownie zasnąć. Wstał i popatrzył na księżyc. Noc była chłodna, a zapowiadał się też zimny ranek.

I gdy tak stał w oknie – oświeciło go: a jeżeli magiczna formuła powiedziała mu prawdę i napastnik wcale nie mieszkał w mieście?!

* * *

– **A** dokąd się wybierasz, panie nasz i władco?

Pytanie wcale nie zawisło w próżni. Orri zadała je zza pleców rycerza tyleż zniecka, co z całkowitą pewnością, że ten będzie musiał zareagować. Jak każdy, kto został przyłapany na gorącym uczynku wykradania się cichaczem, bez powiadomienia kogokolwiek z kompanii.

Tak więc, przydybany zniecka, odwrócił się i poprawił ciężką torbę przewieszoną przez ramię. Rozglądął się, niby to sprawdzając, czy okolica nadal tak piękna jak przedtem. No i dom stał, liście wciąż zaścielały ogród i ścieżki grubiejącą jesienną kołdrą, a Orri stała bez ruchu na stopniu schodów wiodących do wnętrza ich wspólnego domostwa, z tym samym niby to ironicznym, a może jednak pełnym zaniepokojenia uśmiechem na wargach.

– Wybieram się na ryby – odparł rycerz, krzywiąc się w okrutnym wyrazie. – Idę zapolować na drapieżną i groźną rybkę, kochana Orri.

Dziewczyna nie wydawała się zaskoczona. Sennym ruchem przesunęła dłonią po włosach.

– Idę zapolować – powtórzył. – Gdyby ktoś pytał, znajdzie mnie nad rzeką, rozumiesz?

Skinęła głową.

– Dobrze, będziesz nad rzeką.

Rycerz odwrócił się i z wolna zagłębił w ścianie lasu.

Orri patrzyła, jak niknie pomiędzy drzewami. Szedł w stronę, gdzie na kilka mil naprzód nie było żadnej rzeki, nawet najmniejszej strugi. Jedyne źródło ciekło po przeciwnej stronie miasteczka.

Szybkim krokiem zmierzał w stronę Lisiej Góry.

* * *

Strużka dymu była tak dyskretna, że gdyby specjalnie jej nie poszukiwał, na pewno by ją przeoczył. Wylot komina znajdował się tuż przy pniu solidnego dębu, rosnącego na zboczu od wschodniej, przeciwnej do

miasteczka strony Lisiej Góry. Szerokie na dwa palce ujście wychodziło na głęboką szczerbę w pniu drzewa, przez co dym wspinał się we wgłębieniu, praktycznie niewidoczny dla obserwatora, biegł ku koronie i tam rozpraszał się niepostrzeżenie. Fillegan z uznaniem pokiwał głową, po czym tuż przy wylocie położył niewielką paczuszkę. Rozejrzał się, sprawdził, czy teren nadal jest czysty, po czym szybkim ruchem wcisnął zawiniątko w głąb komina. Sam zaś pędem rzucił się do wyjścia z ziemianki, ładnych kilkadziesiąt kroków w bok. Dobiegłszy, wrzucił do środka drugą paczuszkę, padł na ziemię i zaczął gwałtownie przełykać ślinę...

Zakwiczało i zahuczało. Wzdęło się. Zadudniło. Westchnęło.

Dwa drzewa zwały się z hukiem, staczając wzdłuż zbocza.

Z ziemianki nikt nie wyszedł.

Rycerz poczekał, aż opadnie kurz i strącone jesienne liście, nim poszedł sprawdzić rezultaty akcji odwetowej.

* * *

Do domu wrócił przed zachodem słońca. Upaprany ziemią, ale wesół jak pliszka.

Orry wypatrzyła go z okna.

– I jak tam łowy? – spytała, obrzucając spojrzeniem jego ubiór.

Uśmiechnął się szeroko i pokazał wypchaną torbę, którą miał przewieszoną przez ramię.

– Będzie trofeum.

Dziewczyna skinęła z uznaniem głową.

– To te ryby, tak?

Rycerz potwierdził z zadowoleniem. Jego spojrzenie zdawało się mówić całemu światu: Wygrałem. To ja jestem myśliwym.

– Właśnie tak, Orry. Rybie uszy, właśnie tak.

Dziewczyna skrzywiła usta w okrutnym uśmiechu. W jej zmrużonych oczach pojawiły się ogniki zgoła niechrześcijańskiej satysfakcji.

– To już nam te ryby nie będą przeszkadzać, jak myślę? Nikomu z nas?

Fillegan rozluźnił się, przeciągnął z westchnieniem.

– Na pewno nie. Za to mogę ci ręczyć własnym gardłem.

Nikt nie zdoła zrobić krzywdy tak zacnej kompanii – pomyślał, wędrując do swego gabinetu. Był rad, że Orri ma chyba podobne zdanie.

* * *

W swojej pracowni położył kilka wykopanych z gruzowiska pęków rzadkich ziół.

Ażebyś się w piekle smażyła, stara czarownico – pomyślał mściwie. – *Chciałaś zwalczyć konkurencję? To proszę. A swoją drogą, że też się nikt nie wydał, że taka tutaj lokalna specyfika...*

* * *

Spotkali się w samo południe następnego dnia, w Zacnej Łani. Do siedzącego przy miarce wina i odpoczywającego po trudach zwalczania groźnej konkurencji Fillegana podszedł naraz jakiś mikrego wzrostu mężczyzna z krostami na twarzy.

– Wyście ten naukowiec? – spytał, a widząc niechętne, potakujące kiwnięcie głową, przysiadł się bezceremonialnie.

– Ja też – ciągnął, nie dopuszczając rycerza do głosu. – Kuiper jestem, Feliks Kuiper. Wymienić wiedzą się chciałem.

Fillegan prychnął pogardliwie.

– Pono, jak wspominał mój giermek, badasz języki. Choroby może jakieś wypatrzysz, ale żeby to interesujące było... wybaczyć, nie jest.

Mikrus – przy którym, samemu będąc nikkzemnej postury, rycerz miał prawo czuć się niczym Herkules – zaciął usta.

– Ja prowadzę badania nad milczeniem, panie. Badam wpływ intensywnego silentium na obiektywnie poznawalną rzeczywistość.

Fillegan tylko wzruszył ramionami.

– Jak pisze niejaki Leopard da Winda, nie masz sztuki ponad słowo i obraz. Co do tych drugich, nie znam się na malarstwie, panie Kuiper. Ale kiedy słucham jakiegoś rycerskiego eposu czy choćby tutejszej sestyny, to one niewątpliwie poruszają mnie intensywnie wypowiedanym słowem i dźwiękami muzyki, nie zaś milczeniem.

Odwrócił się w stronę dziewczki i pokazał jej na palcach, że chce jeszcze dwa dzbany wina.

– Pogadajmy lepiej o pogodzie – dodał na koniec. – Coś chłodno, sroga zima idzie.

Kuiper spurpurowiał na twarzy.

– Uważasz pan, że moja nauka niegodna twego czasu? – syknął. – To się jeszcze przekonamy.

Rozdział szósty

Znak ten Fillegan z Wake odczytał trafnie: to przemówiły niebiosy. Moc po raz pierwszy objawiła swą siłę, dając Filleganowi do zrozumienia, że jeżeli zdoła ją okiełznać, stanie się równy nieomal bogom.

Hodia von Tutenberg, ***Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata***

Następnego dnia raniem Fillegan znalazł na drzwiach swego domu przybity nożem pergamin z wyzwaniem na pojedynek.

Kuiper spełnił swą groźbę.

Rycerz zaś spełnił swoją: zignorował zaczepkę. Może i prowadził życie coraz bardziej mieszczańskie, ale bez przesady: nie będzie mu byle gołodupiec, jakiś tam gryziپیórek (nawet nie podłej, ale wręcz żadnej krwi) dyktować, co ma robić, jakim powietrzem oddychać ani w czyjej obecności.

Aby zmyć z siebie irytację, powędrował najpierw do zamtuza, gdzie bliżej zapoznał się ze słodką i znaną ze swych umiejętności Jeanette, później zaś wstąpił na jednego do Rozkoszy.

I tam dopadła go zła nowina.

– To co, masz zamiar wygrać? – spytał niejaki Edmund Halley, tutejszy niebieski ptak, przysiadając się ze swoim kubkiem do stołu zajętego przez samotnie siedzącego Fillegana.

A kiedy rycerz w zaskoczeniu uniósł brew, Halley wyjaśnił mu, że Kuiper wyzwaniem na pojedynek opergaminował chyba całe miasteczko. Zdołał nawet poświadczyć pismo w urzędzie burmistrza.

– To czemu ja nic o tym nie wiem? – warknął rozwścieczony Fillegan, podrywając się z ławy.

Halley wzruszył ramionami, po czym skrzywił się w ironicznym uśmiešku. Począł, aż jego rozmówca usiądzie.

– Późno wstajesz, to i mało wiesz – odparł, wygodniej lokując łokieć na stole. – Ale podobno Kuiper jeszcze w nocy odwiedził twój dom?

– „Odwiedził” to źle powiedziane – mruknął rycerz, wierząc się niespokojnie. – Cichcem przybił jakiś świstek i wziął nogi za pas, nie dając mi szansy rozsiekania go na ćwierci. Rano znalazłem jego pismo. Wyrzuciłbym, ale pergamin zacnej jakości, wyskrobie się i posłuży lepszej sprawie. No, dobra – wstał z niechęcią – trzeba tę historię wyjaśnić, zanim nabierze własnego życia.

Halley odprowadził go spojrzeniem do drzwi.

– A jakże. Tyle że Kuiper już nie takiemu rzucał wyzwanie – mruknął do siebie. I sięgnął po na wpół opróżniony kubek rycerza, bo co się miał napitek zmarnować.

* * *

– Nie ma powodu tak się żołądkować i sierznić – tonował Schoemaker, nic sobie nie robiąc z protestów Fillegana, który wciąż nie rozumiał, jakim sposobem burmistrz pozwala na ten idiotyczny pojedynek. – To nieszkodliwe wariactwo... Zrozum, gdybyście się mieli potykać na miecze, to co innego. A tak gawiedź będzie miała trochę rozrywki, może i kto z okolicznych wsi się zjawi? Zarobią kupcy, karczmarze, kto wie? Niewykluczone, że nawet podziemie hazardowe coś na tym zyska? A wy przecież nic nie straciecie...

Teraz dopiero rycerz pojął, że za bagatelizowaniem sprawy przez burmistrza kryje się jakiś straszliwy despekt!

– To CZYM my mamy walczyć?! – z trudem wydobył z siebie ochryply głos. – Nie na miecze będziemy się potykać?! Na kopie? Z tym krostowatym kurduplem?

Dla odmiany, teraz burmistrz wydał się niby karp zmęczony letnią przyduchą.

– A nie pisało? No przecież to magister silentium, jak sam siebie nazywa – odparł ze zdziwieniem. – To pewnie jedyna rzecz, na której się zna, bo poza tym straszna z niego fajłapa. Takiego krewniaka mieć, Boże zmiłuj... Z tego, co mi wiadomo, będzie dążyć do udowodnienia ci, że jego nauka nie tylko w teorii poważna, ale w praktyce też coś znaczy. Mówiąc zaś wprost i po bożemu – przy ostatnich słowach burmistrz uśmiechnął się szeroko – chce dowieść, że milczeć potrafi dłużej niż ty, panie. Co więcej, ma jakiś plan edukacyjny względem gawiedzi. Jak mówiłem, to taka nieszkodliwa idée fixe.

– I ty zamierzasz na to pozwolić? – ponuro rzekł Fillegan. – Na ten brak szacunku dla prawdziwej nauki? Na propagowanie oczywistych bredni?

W odpowiedzi Schoemaker skinął głową.

– Krewniak przecież – stwierdził, jakby to wszystko miało wyjaśniać. – Ot, spędzicie trochę czasu razem, będziesz miał czas wreszcie porozmyślać nad problemami prawdziwej nauki... może nawet lepsze lekarstwo na moje wrzody wymyślisz? Sam zobacz, ile korzyści płynie z takiego pojedynku!

* * *

Gdyby po wyjściu z burmistrzowskiego urzędu Fillegan z Wake natknął się na Feliksa Kuipera, niechybnie by doszło do rzezi winiątek. Konkretnie zaś, do eksterminacji jednego winiątka, za to niezwykle silnie drażniącego godność i honor rycerski, a także etos pracy prawdziwego uczonego – snuł bojowe rozważania Fillegan, wielkimi susami sadząc w stronę najbliższej tawerny. Zdecydowanie dojrzał do zażycia kolejnej porcji lekarstwa.

Jak każdy uczciwy naukowiec i on też żywił przekonanie, że ma wyobraźnię bogatą, rozległą i nieulekłą. A jednak taka forma pojedynku nie mieściła mu się w głowie!

Zamiast Kuipera spotkał jednak na swej drodze Perdigana, który – jak na kupca przystało – próbował założyć jakiś interes. Właśnie usiłował dotrzymać kroku mistrzowi tutejszego cechu, siwobrodemu starcowi roztaczającemu wokół siebie aurę majestatu i zamożności. W powietrzu wyraźnie czuć było woń łapówki, która tę aurę jeszcze powiększy. Wyglądało na to, że Perdigan lada chwila zacznie jeść ziemię, po której stąpał dostojny decydet. Dłuższą chwilę udawał, że nie dostrzega znaków swego towarzysza, usiłującego odwołać go na stronę, wreszcie z niechęcią odstąpił od mistrza.

– No co jest? – burknął na powitanie. – Ślepyś? Nie widzisz, że próbuję się wkraść w łaski tego potwora?

Rycerz skinął głową.

– Na razie to widzę, jak merdasz ogonem. Lepiej pomyśl, jak mnie wyciągnąć z kabaly. – Szybko streścił Perdiganowi bieg zdarzeń.

– Co się dziwisz? – mruknął Jos po krótkiej chwili namysłu, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. – Sam pisujesz do naukowców, chcesz się z nimi mierzyć, to czemu odmawiasz tego prawa Kuiperowi? Ja tam rozumiem, dlaczego się rozżłościł...

I niedbale machnąwszy ręką na pożegnanie, poszedł szukać swojej Alfy i Omerty kupieckiego cechu.

* * *

Poszukiwany Kuiper ujawnił się dopiero późnym popołudniem, kiedy całe miasteczko wiedziało już o wyzwaniu rzuconym Filleganowi z Wake. Być może magister silentium czynił przygotowania do pojedynku. Rycerz powziął jednak podejrzenie, iż prawda jest bardziej trywialna: ta zakała

naukowego cechu nie odważyła się pokazać rywalowi na oczy, póki żądnym sensacji tłum nie zapewni jej bezpieczeństwa.

Co też nastąpiło. Mocno już zrelaksowany rycerz został wystawiony przed tawernę i odpoczywał tam sobie w jesiennym słońcu, przysypiając. Nie zbudził go przelotny deszczyk ani nawet gołąb, który na przedramieniu mężczyzny zostawił swój podpis.

Ze snu wyrwało go dopiero bezceremonialne trącanie. Otworzył oko – i ujrzał swego prześladowcę, Feliksa Kuipera.

– Ja cię!... – wychrypiął z głębi gardła, chwytając za miecz.

Kuiper zrobił krok w tył, w głąb swego kokonu ochronnego, który tworzyło z dziesięcioro żebraków i miejskich mętów płci obojga.

– Może i jesteś sławny – rzekł. – Ale ja też mam swój honor, swoją dumę. I mam protektorów, panie uczony. W uczciwym pojedynku dowiodę, że nie gorszy od ciebie.

– Pojedynku! – syknął oburzony Fillegan, zrywając się z ławki. – Ty mi gadaj o uczciwym pojedynku, psi bracie! Już ja bym cię mieczem pomacał, psia twoja mać, tylko w szaty naukowca się ubierasz, drżącą ręką zasłaniasz!

Ten i ów się roześmiał, jednak Kuiper nie wyglądał wcale na przejętego oznakami lekceważenia.

– Nie uszanowałeś dziedziny wiedzy, jaką się zajmuję, stąd i będą konsekwencje – odparł z mściwym błyskiem w oku. – Stchórzyc nie stchórzysz, do pojedynku staniesz. A powiem ci jeszcze, jaką będę miał z tego satysfakcję. Otóż, nigdy nie badałem prawdziwego naukowca. Będiesz pierwszy... A pobić zamierzam cię twoją własną bronią, boś gadatliwy podobno tak, że gorzej nie można. – Kuiper uśmiechnął się szyderczo. – To co, zaczynamy jutro w południe? Znajomy karczmarz

udzieli nam gościny na Małym Rynku. Gdybyś nie mógł znaleźć, pytaj o tawernę Heffeliusa.

– A stawka? – rzucił Fillegan.

Kuiper wzruszył ramionami.

– Myślałem, że doczytałeś się w piśmie. Moja nauka przeciw twojej – i niech wygra prawda, a triumf będzie tu jedyną słodką nagrodą. Ja twierdzę, że silentium jest istotą mowy, ty uznajesz to za szarlatanerię, niech więc staną do pojedynku twoje słowa przeciw mojemu milczeniu.

Logika tego wywodu była równie wysokiej próby, jak – zapewne – naukowa wartość prac Kuipera. Rycerz mógł próbować tę logikę obalić, skoro wbrew swemu twierdzeniu, wyzywający go na pojedynek Kuiper zakazywał Filleganowi posługiwania się słowami, zmuszał go do milczenia. Mógł, rzecz jasna, w ogóle zakwestionować absurdalne warunki. Mógł próbować ich nie przyjąć. Ale godność i pogarda wobec pospólstwa, jakim otoczył się Kuiper (a więcej takich zapewne zacierało ręce, z innych źródeł dowiadując się o pojedynku), nie pozwoliła mu na to.

Zacisnął zęby i cedząc słowa, wydobył z siebie jedno jedynie zdanie:

– Zatem do jutra.

I sztywny niby podpisany gołębiem atramentem kij podążył w stronę drzwi tawerny.

* * *

Życie w takich miasteczkach jak Beaufou biegnie powolnym, leniwym rytmem, wyznaczanym przez religijne święta i pory roku. Nic więc dziwnego, że każde niespodziewane zdarzenie działa niby kij wsadzony w szprychy koła.

Pojedynek Feliksa Kuipera z Filleganem z Wake był dla pogrążonego w jesiennej zadumie miasteczka niby ożywczy prysznic. To nic, że większość spośród zgromadzonego tłumu nie rozumiała, czego dotyczy spór. W

gruncie rzeczy postrzegali tę rywalizację jako wyzwanie rzucone przez dziwaka tutejszego – wariatowi obcemu, napływowemu.

Póki można było na tych cudaków popatrzeć i rozerwać się trochę, reszta nie liczyła się wcale.

Burmistrz był za sprytny, aby wspierać pojedynek własnym autorytetem. Ponieważ jednak sprawa dotyczyła jego krewniaka, przydzielił strażników, którzy mieli czuwać zarówno nad bezpieczeństwem uczestników, jak i uczciwością pojedynku. Roli sędziego podjął się trzeci naukowiec w miasteczku, czyli Heffelius we własnej grubaśnej osobie, z zawodu karczmarz. Okazało się, że on z kolei uwielbia spoglądać w niebiosa, wypatrując tam oznak życia.

– I co z tego wypatrywania wynika? – zapytał zaintrygowany rycerz, kiedy podstawowe zasady rywalizacji zostały już ustalone, łącznie z tymi mówiącymi, iż pojedynek toczył się będzie na dworze, aby rozstrzygnięcia doczekać się wcześniej niż zimą, oraz ustaleniem sekundantów, Duendaina lub Falqueta w jego zastępstwie, ze strony Fillegana, oraz strażników miejskich, na których, ku zdumieniu rycerza, zdecydował się Kuiper. – Rozpoznałeś może gatunek sera, z którego zbudowany jest Księżyc?

Heffelius uśmiechnął się krzywo, rad, że rozmowa toczy się przy stole wystawionym przed karczmę, a gawiedź niecierpliwi się odepchnięta przez strażników dziesięć kroków dalej.

– Byłbym zapomniał: macie obaj prawo do odwiedzenia wygodki wewnątrz karczmy – rzekł, ignorując złośliwość rycerza. – Ale siedzenie tam dłużej niż kwadrans będzie traktowane jak poddanie pojedynku. Podobnie jak mówienie do siebie. To co, gotowi?

I tak, w samo południe, rozpoczął się pojedynek na słowa. Albo – na ich brak.

* * *

Heffelius zapewne nigdy nie narzekał na brak gości. Jego knajpka, położona na Małym Rynku, nie cieszyła się taką sławą, jak chociażby Prawdziwa Rozkosz, dokąd zwykle zaglądał Fillegan, ale że ceny były tu niższe, chętni bez trudu znajdowali drogę.

Teraz, w parę chwil po rozpoczęciu pojedynku, ciżba gęstniała jednak nie wewnątrz murów, przy stołach, lecz przed knajpką, wokół stołu, gdzie usadowieni naprzeciw siebie, trwając w ponurym milczeniu, zasiedli obaj rywale do naukowej sławy.

Wpatrywanie się w Kuipera, na którego ustach pojawił się zaraz i trwał nieprzyjemny, szyderczy uśmiezek, naprawdę nie było szczytem marzeń Fillegana. Szybko więc przeniósł spojrzenie na otaczający ich tłum. Wyłowił najpierw Duendaina, później zaś skoncentrował uwagę na gapiach, stanowiących reprezentatywną próbkę chamstwa i ciekawości, jaka zawsze towarzyszy różnego rodzaju rozróbom. Bo tak jak prawdziwa nauka wymaga skupienia i posuwa rozumienie świata w ścianach pracowni oraz gabinetów, tak szemrany tłum pod przywództwem hochsztaplerów w rodzaju Kuipera jest niezbędnym atrybutem wszelkiego rodzaju rewolucji, z których zwykle wynikają same tylko kłopoty.

Jednak materiału do tej refleksji wystarczyło Filleganowi ledwie na kwadrans. Dalsze wpatrywanie okazało się zajęciem dobrym może dla złodzieja szukającego okazji do wzbogacenia się, ale z pewnością nie dla szanującego się naukowca. Rycerz znudził się gawiedzią – zresztą z wzajemnością. Ludzie szybko pojęli smutną prawdę, że nie ma co liczyć na szybkie rozstrzygnięcie, a obaj rywale nie zamierzają podgrzewać atmosfery jakimiś spektakularnymi działaniami. Wkrótce zostało im do towarzystwa tylko kilkanaście najbardziej wytrwałych osób, pośród nich zmieniający się Falquet i giermek Fillegana, czuwający, aby nie doszło do jakiegoś oszustwa.

Silentium ujawniło swą największą wadę, a zarazem najbardziej charakterystyczną cechę: nudę. Nudę po trzykroć.

Również Heffelius nie zamierzał poświęcać naukowcom całego swego czasu. Zniknął we wnętrzu knajpy, wcześniej czujnym spojrzeniem upewniwszy się, że strażnicy przydzieleni przez Schoemakera trwają na posterunku. Tyle miał litości, że nim umarli z głodu, przysłał chłopaka z miskami spyży.

Kuiper i Fillegan wciąż zacięcie i coraz bardziej ponuro milczeli, a widzów ubywało.

Wreszcie, wieczorem, na zewnątrz pozostali jedynie obaj rywale i nowa zmiana strażników oraz wsparty o ścianę i przysypiający giermek rycerza.

Pojawiło się za to trochę ciekawskich, ale ci zasiedli we wnętrzu knajpy, aby raczyć się specjalnie przygotowanymi na tę okazję napitkami w rodzaju „Niemy krzyk”, zakąszając je „Głuchym wrzaskiem ognia”, jak z fantazją nazwał zwykłą micę pierogów z mięsem karczmarz, sprytnie potrajając ilość dodanego pieprzu i biorąc pięć razy wyższą cenę. Obserwując nadciągający zmierzch, Fillegan doszedł do ponurego wniosku, że na całej tej historii najlepiej wyjdzie właśnie Heffelius. Co więcej, dostrzegając zdecydowanie coraz bardziej rzednącą minę Kuipera – do którego musiało już dotrzeć, że plotki o nieustającej i niepowstrzymanej gadatliwości jego przeciwnika są bardzo mocno przesadzone – rycerz zaczął snuć podejrzenie, że to sam karczmarz mógł podpuścić naiwnego małomiasteczkowego naukowca.

Zmierzch tymczasem zgęstniał, zamienił się w noc... przybytek Heffeliusa wyludniał się coraz bardziej... wreszcie można było powiedzieć, że zrobiło się późno w nocy... straż przysypiała, rywale także, podłożywszy łokcie pod głowy...

W końcu doszło do tego, do czego dojść musiało – sam właściciel obudził ich szturchnięciem pod żebra. Księżyc świecił, jesienny ziąb ciął do kości, absurdalność zakładu wyzierała z twarzy Kuipera niby płomień z kominka świeżo nakarmionego drewnem, nawet strażnicy, którzy podnieśli głowy na dźwięk kroków, spoglądali z rezygnacją – i tylko karczmarz wydawał się zadowolony z dotychczasowych rezultatów pojedynku.

– Idę do domu – rzekł sennie. – Przyjemnej zabawy, chłopaki.

* * *

Noc trwała. Kuiper chrząkał, nie mogąc zasnąć, Fillegan także, pogrążony w odrętwieniu.

Naraz jeden ze strażników, rudowłosy olbrzym dotąd milczący niby mur, odezwał się półgłosem do drugiego, niby to nie chcąc zostać usłyszanym przez nikogo poza swoim towarzyszem:

– Upierdliwi ci inkwizytorzy, nie? Jakby mało kłopotów było na świecie, płaczą się, wężą...

Fillegan uśmiechnął się w duchu. Spodziewał się nieczystej gry i oto się jej doczekał.

– A ja bym ich wszystkich powywieszał – kontynuował pierwszy strażnik, pocierając brodę. – Łapał na rogatkach i tam ustawiał w roli ostrzeżenia. Co komu do tego, w co ludziska wierzą w ukryciu własnego domu?

Rycerz tylko się uśmiechnął. Gdzieś zawył pies. *Bardzo dobry komentarz* – pomyślał, kątem oka łapiąc zdumione spojrzenie przebudzonego Duendaina, który widać nie zorientował się w intrydze, jeszcze oplątany snem. Wyglądał zresztą tak, jakby nadal drzemał, pewnie dlatego strażnicy uznali, że można zacząć tę prowokacyjną rozmowę.

– No, ale z medykami to nie inaczej – odparł scenicznym szeptem drugi strażnik. – Przyjedzie taki i myśli, że bez niego to w mieście nic się

wydarzyć nie może, ani kichnąć. Jakby zwykły znachor nie był tyle samo wart, a może i lepszy, bo tańszy.

– E, co tam z nich za medycy. Z ksiąg korzystają, sami to niczego nie wymyślą. Tego tam, Alberta chyba. – Rudy wzruszył ramionami.

– Nie, on się chyba nie nazywał Albert, tylko Adalbert, albo Adastra. Czy jakoś tak – odmruknął drugi strażnik, chcąc się popisać.

Fillegan zacisnął zęby.

To tylko prowokacja – pomyślał. Ale cholera i tak zaczęła go brać, bo co innego szarganie powagi inkwizytorskiego urzędu, co innego szyderstwa z nauki.

Kose spojrzenie Kuipera upewniło go, że jego podejrzenie było słuszne. Zmusił się do uśmiechu, puścił oko do magistra od silentium.

Wciąż milczeli.

* * *

Niewiele zabrakło, aby pojedynek rozstrzygnął się nad ranem. A to za przyczyną... pełnego pęcherza.

Nadeszła właśnie pora, gdy ciemna noc przełamuje się w świt, świecą jeszcze gwiazdy, ale niebo jaśnieje, nieboskłon nabiera barwy ciemnego granatu. Fillegan, wybudzony z niespokojnej drzemki, odczuł jednak nie zachwyty nad urodziwymi widokami, lecz parcie na pęcherz. Natura wołała o swoje, ostry ból przywołał go do porządku, odsuwając na bok wszelkie refleksje natury metafizycznej. A ponieważ uczestnikom pojedynku przysługiwało prawo do odwiedzenia ubikacji, rycerz postanowił z prawa tego niezwłocznie skorzystać.

Tymczasem knajpa, ku której skierował zaspane kroki, okazała się zamknięta!

Już miał na końcu języka ostre przekleństwo – lecz powstrzymał się w ostatniej chwili, tłumiąc inwektywę nieartykułowanym chrząknięciem.

Poszedł za ścianę i tam sobie ulżył, rozmyślając nad przypadkami, jakie mogą pomóc w zwycięstwie. Albo je odebrać.

* * *

Cały następny dzień był jedną wielką katorgą. Widmo jałowego, niepoświęconego pracy przepuszczenia pomiędzy palcami kolejnych dni, a w razie zaciętego uporu Kuipera, nawet i tygodni, przerażało Fillegana coraz bardziej!

Aby zająć myśli jakąś pożyteczną robotą, wrócił do spraw magicznych. Szybko przejechał katalog zaklęć, którymi mógłby unieszkodliwić Kuipera, gdyby tylko zechciał.

Ale to zabrało mu nie więcej niż dziesięć pacierzy, bo przecież na drodze władania magią postawił dopiero pierwsze kroki. Później znów popadł w odrętwienie.

Wyrwała go z tego niespokojna, bląkająca się gdzieś na obrzeżach świadomości myśl o pierwszej hodowli mandragory – i o Ciszce.

Doszedł do wniosku, że pies musiał zwymiotować ten kawałek niebieskiej mandragory obok jej sześciu żywych sióstr, i stąd zaklęcie związało się wadliwie. Albo robactwo, niby spulchniając ziemię, wykonało jakąś krecią robotę – bo to wiadomo?

Na cześć suki dzielnie uczestniczącej w badaniach naukowych, postanowił nazwać swe odkrycie „efektem Ciszki”, jeżeli powtórzony w bardziej sprzyjających okolicznościach eksperyment da podobny wynik.

– O Jezu słodki! – westchnął któryś ze strażników, gdy nadeszło południe. – Kiedy to się skończy?

Fillegan ze zniechęceniem pokiwał głową. *Sam diabeł to wie* – pomyślał. – *Albo i nie.*

* * *

Nadeszła druga noc. Twarda ława niemiłosiernie gniotła Fillegana w tyłek. Wiercąc się, chyba – zamiast jeszcze bardziej ją wyszlifować – zadarł jakąś krótką drzazgę, kolącą go w pośladek.

Miał ochotę krzyczeć, zawyć do nieba w wilczym jęku. Nawet zadarł głowę... Kuiper spojrział na niego zdziwiony...

I wtedy nocne niebo ponad nimi oszalało. Z narastającym szumem przemknęła po nim krecha białego ognia, zdało się – tuż nad ich głowami, aż wszyscy się skulili w sobie – po czym w lesie za miasteczkiem huknęło, wstrząsnęło...

I ucichło.

Fillegan zagryzł wargę. Popatrzył na Kuipera, ten spojrział na niego...

– Gniew boży – mruknął jeden ze strażników. – Czas marnujemy, zamiast w domach siedzieć...

Rycerz ledwo dosłyszalnie prychnął. Przypomniawszy sobie jednak zaraz, jak używał magii, i zrobiło mu się nieswojo. A jeżeli była to tylko przymiarka i jakiś celniej rzucony piorun czy kula ognia spadnie na ławę, gdzie siedzieli obaj z Kuiperem? Już do niego przecież strzelano! Co prawda kaliber był mniejszy, ale zawsze!

Mina tutejszego naukowca świadczyła, że i on intensywnie stara się domyślić, jakiego to dziwu właśnie byli świadkami. I czy było to zjawisko naturalne, czy metafizyczne. Bo że nie wchodziło w kategorię silentium, to akurat Kuiper chyba by nie dyskutował. Grzmot musiał wyrwać ze snu wszystkich w miasteczku.

Ale noc się jeszcze nie skończyła, i żaden z nich nie chciał przegrać.

A ława robiła się coraz twardsza.

* * *

Rankiem znów, jak zwykle – można tu już było mówić o nowej świeckiej tradycji, trwającej trzeci dzień – pojawiło się trochę gapiów,

przyglądających się pogrążonym w zapiekłym milczeniu naukowcom.

A że ci wciąż nie odzywali się ani do siebie, ani też nikogo innego nie raczyli zaszczyścić dobrym słowem (a choćby i złym, zawsze to coś), tłum musiał radzić sobie sam.

– Słyszeliście ten huk w nocy, jakby wielki kamień spadł? – zaczęła jakaś babina rozglądająca się bystrze dokoła. – Diabli rzucili, albo co? Pokarali nas, że, o, takich tu mamy?

Stojący obok młodzian tylko prychnął pogardliwie.

– Kamienie nie spadają z nieba, głupia kobieto!

Fillegana trafiał szlag. Chętnie by się włączył w dyskusję albo – lepiej – pobiegł szukać w lesie śladów. Mina Kuipera świadczyła, że i on bez namysłu by tak uczynił, gdyby nie ten przeklęty, wymuszony nie w porę pojedynek.

Żaden z nich wycofać się jednak nie mógł, nie chcąc ponieść porażki. I w ten sposób ta sama nauka, w imię której toczyli cały ten spór, nie pozwoliła im – jedynym prawdziwym naukowcom w mieście, poza Heffeliusem, który wolał doglądać swego interesu – pójść tam, gdzie z pewnością polazła nieuczona gawiedź.

Strażnicy także wydawali się nieszczęśliwi, zwłaszcza ten, który pomylił Alberta z Adastrą.

– E, to złoto było! – mruknął. – Pewnie ktoś sobie zamówił, jak flaki na wynos... W końcu diabeł musi jakoś finansować swoich zwolenników, nie?

Rycerz tylko z rezygnacją zamknął oczy.

* * *

Był jasny dzień. A umęczony Fillegan zasnął snem słodkim i sprawiedliwym.

Obudziły go wrzaski oraz bolesna sójka w bok. Z trudem rozkleił powieki...

– Wygrałeś, wygrałeś, wygrałeś! – Duendain, który znów się pojawił, tarmosił go za ramię. – Kuiper przerwał milczenie, panie!

Rzeczony Kuiper z ponurą twarzą ukrytą w dłoniach siedział obok.

– Ducha zobaczyłem! – warknął, ustawiając ostatnią linię obrony. – To co, miałem nie krzyczeć?!

Strażnicy wzruszyli ramionami. Widać żaden z nich nie zauważył ani jednego demona w pobliżu.

– Waszym silentium trudno to nazwać – szyderczo stwierdził Fillegan, bo choć sam nie słyszał przerywającego milczenie Kuipera, postanowił kuć żelazo, póki gorące, nie dając nikomu szansy na spokojną analizę. Dostyc już miał tego idiotycznego pojedynku. – Duendain, nie leń się, pora wracać do roboty – powiedział, ciężko wstając z ławy.

I tak demonus maius zwyciężył silentiusa minorusa, czyli duch poradził sobie z materią, a nauka prawdziwa zwyciężyła faryzeusza, czyli pseudonaukową szarlatanerię. Zadowolony rycerz z ukosa popatrywał na Kuipera. Ten jednak opanował się już, przełknął gorycz z tytułu porażki.

– Wygrałbym, ale ten duch... – powtórzył.

Zwycięzca uśmiechnął się szeroko. Mięśnie pośladków mrowiły odzwyczajone od normalnej postawy.

– Jasne...

Kuiper wzruszył ramionami.

– Ja wyznaję materializm naukowy, panie – rzekł wreszcie wyjaśniająco.
– Ale jak widzę ducha, to widzę ducha, nie będę udawał, że to mgła się unosi nad ziemią, skoro bydlę próbowało mnie sięgnąć szponami. Wychynał spod ławy i tam zaczął nabierać kształtów. Widziałem przerażającą głowę, szyję, górę korpusu ze szponiastymi łapskami...

Ironiczny uśmiech spelzł z twarzy Fillegana. Opis świetnie pasował do pewnej bestii...

Jasny szlag! Awatarick!

Rozejrzał się nerwowo. Na szczęście demon, gdziekolwiek był, nie dawał znaku życia. Choć w każdej chwili mógł spróbować capnąć rycerza albo któregoś ze strażników...

– Trzeba by gardło zwilżyć – zaproponował, udając, że to tylko poczucie zwycięstwa pcha go jak najdalej od miejsca pojedynku. – No, chyba że najpierw pójdziemy obejrzyć krater.

– Słusznie. – Kuiper skinął głową. – Może to być nawet nie jeden krater, tylko kilka? Ostatecznie nie wiadomo, ile takich różnych rzeczy, co to spadają nam na głowy, krążyło wcześniej pomiędzy sferami niebieskimi. Może w kupie leciały?

* * *

Należało się tego spodziewać: jeżeli gdzieś puścisz pospolite chłopstwo albo gawiedź żądną jedynie sensacji, stratuja, zadcpczą, zniszczą to wszystko, co naukowcowi wyda się interesujące.

W drodze gorączkowo z Kuiperem porównali swe przypuszczenia – i wyszło im, że to musiał runąć na ziemię kawałek sferycznej materii, który w księgach nazywany był zwykle twardym eterem. I rzeczywiście. Na miejscu tylko utwierdzili się w swych podejrzeniach, bo nie byle co tu spadło. Drzewa zostały powalone na jakieś ćwierć mili dookoła, położyły się pokotem, jak odkos rzucony w bok od kierunku ruchu kosiarza.

Eter uderzył w górę zbocza, wypalając wielką dziurę. Byłoby rzeczą naprawdę ciekawą móc zbadać nietknięty teren. Chamstwo i pospólstwo rozdziobało jednak górę, uwierzywszy, że to nie żaden twardy eter sferyczny, tylko wielka gruda złota uderzyła w ziemię. Tak jakby funt złota marzył tylko o tym, żeby spaść w pobliżu Beaufou, zamiast – gdyby już koniecznie jakiś samorodek polatywał w powietrzu – udać się na spotkanie z braćmi w królewskiej skarbnicy.

Popatrzyli na siebie.

– Cholerny zabobon – mruknął Fillegan.

Kuiper skinął głową.

– Zawsze jakiś ciemny lud rzuca nauce kłody pod nogi.

I poszli wspólnie upić się z rozpaczy, bo cały eter zdążył wyparować, zanim zdolali go zbadać. Jak to kosmiczny eter ma w zwyczaju.

W knajpie spotkali Schoemakera z Levym, który także odkrył w sobie duszę naukowca i postanowił skupić się na tajemnicach gromowładnej planety Jowisz, która w świetle naprędce stworzonej przez niego teorii miała odpowiadać za burze i pioruny. Dyskusja natychmiast stała się żywa i gorąca.

Filleganowi od razu przypomniał się Cycerus. A przede wszystkim sam rycerz miał z piorunami doświadczenia: w końcu, gdy opuszczał Wake, zegnała go okrutna burza, błyskawice gęstą siecią pokryły niebo. A kiedy zaczął wygrażać pięścią Bogu, piorun rozszczępił drzewo obok niego.

Jakby zaskakujących wydarzeń było nie dość, późnym wieczorem tego dnia do drzwi Fillegana zastukał pewien pigularz... Mocno przejęło go zniknięcie pewnej czarownicy, a grozą dopełnił upadek kosmicznego eteru. Postanowił więc złożyć samokrytykę w nadziei na łagodniejszy wyrok, niż kiedy Fillegan odnajdzie go sam.

– Od razu chciałem wam, panie, wyznać prawdę – zakończył pigularz ze szlochom, na kolanach, wciśnięty zadkiem w próg, bo wydawało mu się, że tylko taka postawa, pełna żarliwego strachu, pozwoli mu ocalić życie. – Od razu chciałem, ale się pojedynkowaliście i nijak było przeszkadzać!

Fillegan z trudem odnalazł w szumiącej głowie właściwie słowa:

– Idź z Bogiem i lecz. No, precz mi stąd, bo eterem pogonię!

Kładąc się do łóżka, miał nadzieję, że już żaden pigularz, ani tym bardziej żadna starucha, nie wejdą mu w paradę.

Mylił się oczywiście – ale cóż to byłby za epos, gdybyśmy wszystkie sekrety zdradzili w tej chwili?

Rozdział siódmy

...Było to coś, co wiele lat później Fillegan z Wake określił mianem małej, gadającej Apokalipsy...

Hodia von Tutenberg, *Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata*

Jedynym skutkiem alchemicznych poczynań Fillegana było wyprodukowanie myślącego mchu.

A może tylko gadającego? Bo ta zielonkawa, kosmata płatanina włókien, brązowych zarodników i żółtawych korzeni wędrujących w poszukiwaniu substancji odżywczych, spoczywająca w mosiężnej miednicy służącej wcześniej do robienia konfitur, nie musiała być wcale istotą myślącą. Gadała natomiast na pewno.

– Bllrr! – znów odezwał się mech.

Fillegan zaklął okrutnie. Być może Kuiper byłby zachwycony, mogąc prowadzić studia nad gramatyką i semantyką tego roślinnego świństwa – bo choć oficjalnie zajmował się tajemnicami silentium, w prywatnej rozmowie przyznał się, że i nad językami prowadzi pewne badania.

Rycerz chciał natomiast wyprodukować zwykły – a w stosunku do gadającego mchu wręcz banalny – demonit, półszlachetny kamień, wewnątrz którego mógłby trzymać wywołanego następnie czarta, demona czy innego zaświatowca.

Albo pochwyconego Awataricka! Choć bowiem mały germaniec nie wydawał się zdolny do jakichś szczególnie paskudnych działań –

prawdopodobnie nie zdołał nabrać całkowicie materialnej struktury – to przecież wciąż plątał się po świecie. Pomógł Filleganowi wygrać z Kuiperem, fakt niezaprzeczalny. Ale równie dobrze mógł się przyczynić do zapoznania się przez rycerza z najgłębszymi lochami Watykanu. Albo...

Nie, rycerz wolał nie wyobrażać sobie najgorszych możliwych sytuacji. Wystarczyła mu ta, która mimo woli przyszła Filleganowi na myśl. W jednej z ksiąg opisany został przypadek niejakiego Lukacza Tepesa z Czarnogóry, w którego rękę wniknął – źle przywołany z zaświatów – demon zwany Vardarem Mrocznym. Nieszczęśnik stracił nie tylko kończynę, ale i głowę. Choć bowiem dzielny Lukacz sam uciął sobie dłoń, próbując powstrzymać Vardara, ten zdążył przenieść się wyżej, w przedramię. Odjęcie przedramienia dało taki skutek, iż demon usadowił się w barku. Aż wreszcie oswobodził się, rozpryskując zawartość czaszki swego nosiciela na wszystkie strony świata...

– Gluup! – znów towarzysko zagadał mech.

Fillegan ponurym spojrzeniem obrzucił miskę. Pracownia zavalona była najprzeróżniejszymi gratami. Trudno było znaleźć miejsce dla jakichś dodatkowych paskudztw, zwłaszcza gadających i wędrownych. Zresztą najlepiej będzie pozbyć się tego świństwa po cichu, ulokować wynik nieudanego eksperymentu z dala od ludzkich oczu. Krater nada się w sam raz. Wystarczy, że zepsutą mandragorę zakopał zbyt blisko domu – i jak się to skończyło?

Już chciał zawołać Duendaina, żeby giermek zabrał miskę, kiedy do drzwi nieoczekiwanie rozległo się ciche, nieśmiałe pukanie.

– Zaraz! – wrzasnął rycerz, natychmiast pojmując, że to nikt z domowników, bo ci zachowywali się bardziej bezceremonialnie. W panice szukał miejsca, gdzie mógłby schować gadające nieszczęście, które wciąż

cicho pomrukiwało. Wreszcie wsadził miskę pod rulon grubego szarego sukna, na wierzch kładąc fragment zepsutego zegara wodnego.

– Wejść! – mruknął, sadowiąc się przy stole, jakby zamierzał sprawić wrażenie zatopionego w lekturze książki rozłożonej na stole.

Do środka nieśmiało zajrzał wysoki, nieco tyczkowaty mężczyzna, przyodziany w ponurą, pogrzebową czerń.

– No, czego tu? – huknął na niego Fillegan. Ale kiedy nieborak obdarzył go umęczonym spojrzeniem, wciąż stojąc w progu, rycerzowi zrobiło się go żal.

– No, wchodźcie, co mi wiatr do pokoju wpuszczacie. O co chodzi?

Przybysz przedstawił się jako Jacques Le Quoff. Pracował w magistracie miasta Montcuq, odległego o paręnaście mil od Beaufou, i szybko potwierdził podejrzenie gospodarza, że całemu złu świata winni są inkwizytorzy. W tym zaś szczególnym przypadku niejaki ojciec Leon z Deviant, który postanowił zaprowadzić porządku w tamtej mieścinie.

Dłuższą chwilę snuł opowieść o podłym dominikaninie. W końcu jednak urwał, orientując się, że jego rozmówca właściwie wcale go nie słucha (mylnie zaś podejrzewał, że powodem są finanse, podczas kiedy rycerz z niepokojem nasłuchiwał cichego burczenia mchu pod suknem). Sięgnął więc pod pazuchę i wyjął stamtąd pobrzękujący metalicznie mieszek. Położył go na stole.

Fillegan natychmiast zapomniał o zawartości miski na konfitury i wziął się do rozwiązywania woreczka. Doznał jednak strasznego rozczarowania: w środku nie było kawałów złota albo monet z dobrego kruszcu. Była za to wielka ilość byle jakiego, poobrzyzanego grosiwa.

– Ale czemu ja? – rzekł z rozpaczą, niechętnie odsuwając od siebie mieszek. – Czemu to wszystko zawsze musi spaść na mnie?

Le Quoff spojrział na niego smutno.

– A bo wy, panie, jesteście dobrym inkwizytorem, jak powiadają. I świeckim. A ten dominikanin to istny diabeł wcielony, choć może nie wypada mówić tak o duchownym.

Po czym dokończył swoją ponurą historię. Otóż przez Montcuq przejeżdżał niejaki ojciec Leon, dominikanin z Deviant. Inkwizytor. Nie to, żeby w miasteczku siedzieli jacyś heretycy, ot, droga skądś dokądś wiodła akurat przez Montcuq. W końcu przez jakieś miasteczka wieść musi. Zatrzymał się na kwaterze, której użyczył mu jeden z pobożnych mieszkańców. No ale w nocy nie mógł spać, chodził po pokoju i... wypatrył schowek ukryty za obluzowaną cegłą. A w nim – księgi.

– I to heretyckie – doprecyzował ze smutkiem przybysz. – Niewątpliwie dzieła kacerskie i pełne magii, podyktowane przez szatana.

Fillegan z zaciekawieniem nadstawił ucha.

Ojciec Leon wpadł w szał. Droga przez Montcuq zamieniła się w drogę do Montcuq. Odkrywszy gniazdo szatana, inkwizytor postanowił odnaleźć tych, którzy te dzieła w skrytce zamurowali. Ale to okazało się trudne. Mieszkańcy domu kupili go niedawno, a ich pobożność nie podlegała dyskusji. Leon sam się o tym przekonał.

– Co gorsza, nim zdążył sprawdzić, co z poprzednimi właścicielami, miasteczko przeżyło pożar archiwów... – ciągnął zmaltretowany urzędnik z Montcuq.

– I co ja mam z tym wspólnego? – przerwał mu Fillegan. Księgi księgami, ale przecież nie do gaszenia pożaru chyba chcą go wezwać?

– A to, że ojciec Leon opukuje ściany, rozbija podejrzane miejsca, w miasteczku zapanował strach. Wciąż nie odnaleźli się właściciela ksiąg, czemu trudno się dziwić... – Le Quoff westchnął ciężko. – Panie, jeżeli to jest herezja, wykryjcie ją. Nie w tym rzecz. Idzie o to, że tak żyć nie można,

a dominikanin gotów to śledztwo i rok prowadzić, sto chałup do szczeru rozwalić. Tak się nie da!

– Zgoda – rzekł z westchnieniem rycerz. – Wracajcie sami, ja jutro ruszę na pomoc. A pieniądze zabierzcie. Tym razem będzie gratis.

Naraz spod materiału dobiegło niewyraźne kasłanie i odchrząkiwanie. Gość ze zdumieniem spojrzał na Fillegana.

– Ech, nic, to tylko myszy harcują – zbagatelizował sprawę gospodarz.

Nie musiał namawiać przybysza do odejścia. Tym bardziej że mech rozgadał się na całego, a po chwili zaczął udawać kruka.

Klnąc na czym świat stoi, Fillegan odczekał dłuższą chwilę, aż Le Quoff zniknie mu z oczu, po czym wyszedł przed dom i wrzasnął:

– Duendain?!

Chłopak zjawił się jak spod ziemi. Rycerz zaprowadził go do pracowni i wskazał mu miskę.

– Wywalisz do krateru za miasteczkiem, jasne?

Chłopak skinął głową. Zignorował czułe zagadywanie mchu, pozostając głuchym na wszelkie próby nawiązania międzygatunkowego dialogu.

– Zawartość, nie miskę – dodał na wszelki wypadek pryncypał. – Miska dobra, tylko to świństwo niepewne. I uważaj, jak niesiesz, bo nie wiadomo, co może się stać. No, na co czekasz, pędź...

Sam zaś usiadł przy stole i zaczął się zastanawiać. Po czym ruszył w stronę kuchni, gdzie urzędowała piękna i łagodna Orriflemina Lagrange, zajęta przygotowywaniem obiadu. Jak zwykle, próbowała robić przy tym tysiąc innych rzeczy, na przykład naprawiać rzeczy Perdigana.

– Orri, usiądź i posłuchaj – zaczął rycerz. Takie nerwowe krzątanie denerwowało go tym mocniej, odkąd uświadomił sobie, że to może być z jego strony jakaś forma zazdrości, bo pracując, sam chodził po pokoju niby

nakręcana sprężyną lalka. Trudno orzec, co ma gotowanie obiadu do studiowania magicznych ksiąg – a jednak zawsze go to irytowało i już.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nic nie powiedziała, znalazła sobie zydel i w skupieniu wysłuchiwała krótkiej relacji, obracając w rękę klucz od rycerskiego kufra.

– No i jak nie wrócę za dziesięć dni, to bierz wszystkie pieniądze i zwiewajcie, byle dalej – zakończył rycerz. – Wiesz, co może oznaczać, jak się nie pojawię w terminie... – urwał.

Orri spoglądała na niego z frasunkiem. Wcale się jej nie podobało, że właśnie ją obdarzył zaufaniem, powierzając swoje sekrety.

– Czy ty w ogóle kiedyś zmądrzejesz? – spytała wreszcie. – Naprawdę musisz jechać?

Fillegan wzruszył ramionami.

– Musieć nie muszę, ryzyko wpadki przecież istnieje... Ale księgi chciałbym obejrzeć, Orri. Jeśli dzieła cenne, to warto... tak sobie kalkuluję.

Dziewczyna patrzyła na niego z wahaniem.

– W nosie masz całą resztę, jakieś tam ratowanie ludzi... Chcesz zostać potężnym magiem, prawda? Tylko to cię tak naprawdę interesuje.

Mężczyzna skinął głową.

– Taki mam plan, Orri. Pieniądze i władza, magia zaś do tego prowadzi. Wiesz, że inaczej nie zdołam odebrać Ayermine'owi swej rodzinnej siedziby. A na kości ojca przysięgałem, że dokonam tego, nim zdechnę.

Podebrał z talerza trochę sałaty i poszedł do swojej pracowni, spakować się przed wyjazdem.

* * *

Montcuq okazało się miasteczkiem małym i brzydkim, jakby sam Bóg odwrócił się do niego plecami. Fillegan zniechęcił się do tej miejsciny niemal od pierwszego wejrzenia, dokładniej zaś za sprawą zajazdu Trzy

Palce, który z miejsca wzbudził jego obawy, że pierwsza spędzona tu noc może się okazać zarazem ostatnią na tym łożu padole. A on przecież wcale nie miał ochoty na tak szybkie odwiedziny w Królestwie Niebieskim, skoro jego kariera maga-amatora rozwijała się ciekawie, rokując jak najlepiej samemu rycerzowi, jak najgorzej zaś przebrzydłemu kupczynie Ayermine'owi.

Na szczęście na rynku stał całkiem porządny zajazd, Pod Jelenim Łbem. Fillegan wziął pokój, nie zdradzając się z rolą, jaką zamierzał odegrać, po czym ruszył tropem ojca Leona, rozpytując mieszkańców. Chciał rzecz załatwić jak najszybciej. Pojęcia na razie nie miał, w jaki sposób tego dokonać, wierzył jednak w siłę swej improwizacji.

Ślad wciąż był świeży i krwawy, jeżeli sądzić po reakcjach zaczepionych. Bledli, żegnali się, a jeden z mężczyzn wprost spytał, czy naprawdę wie, kogo szuka, i czy jest aby zdrow na ciele i umyśle.

Wreszcie poszukiwania zaprowadziły go do jednej z kamienic niedaleko rynku. Chwilę kontemplował to trzypiętrowe brzydactwo, nim załomotał pierścieniem w drewniane odrzwia wzmocnione żelaznymi pasami.

Niemal natychmiast odpowiedziało mu głucho pukanie. Najpierw skrzywił się, biorąc je za paskudny dowcip kogoś z domowników. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to ktoś kuje kilofem ścianę. Wtedy spochmurniał. Zapowiadała się niezła zabawa.

– Do ojca Leona – rzucił krótko, kiedy otworzyła mu służąca o twarzy zatroskanej i oczach smutnych jak na głodnym przednówku.

Zakonnik urzędował na pierwszym piętrze w niewielkim pokoiku. Z pozoru sprawiał wrażenie człowieka chłodnego, opanowanego, wręcz pozbawionego emocji. Jednak kiedy się odezwał, a właściwie zakrakał ochrypłym głosem:

– Z donosem? – złudzenie przysło, zza fasady powściągliwości wyjrzała jego prawdziwa twarz.

Rycerz skrzywił się z niesmakiem. Popatrzył na robotnika, który opuściwszy kilof, stanął nieruchomo przy ścianie, czekając na dalsze rozkazy inkwizytora. Wyłupany w litym murze otwór miał wielkość dłoni i na razie nie odsłonił żadnej skrytki.

– Przeceniacie mnie, ojcie – mruknął. – Ot, przejeżdżałem, a że sprawy inkwizycji są mi bliskie, postanowiłem zajrzeć, zamienić kilka słów. – Wyciągnął w stronę ojca Leona dokument sporządzony przez Bonaventurę.

Dominikanin przybliżył go do oczu, chwilę studiował w skupieniu.

– No, to się cieszę ze wsparcia – rzekł wreszcie, wyciągając zakurzoną dłoń na powitanie. – Świecki, nie świecki, pomoc w tropieniu herezji się przyda.

Uścisk miał mocny i zdecydowany. Szybko zreferował swe działania w Montcuq. Tyle ścian rozbił, tyle mieszkań przeszukał... Wszystko miał zapisane w głowie, jakby zonglowanie tymi szczegółami, całkiem zresztą nieistotnymi dla sedna zagadnienia, sprawiało mu niewypowiedzianą rozkosz.

Robotnik przyglądał się rozmowie inkwizytorów z chłodną miną. Raz tylko Fillegan złapał jego bystre spojrzenie, kiedy ojciec Leon wspomniał rodzinę Pantanich.

– Na żywych heretyków wciąż nie trafiłem – podsumował swoją tyradę dominikanin. – Stąd pomoc się przyda, we dwóch łatwiej dojdziemy do prawdy i szybciej rozpalimy stosy. Już prawie spać nie mogę, wciąż tylko myślę i myślę...

– Spotkajmy się wieczorem, może przy dzbanie zacnego wina coś uradzimy. Kwateruję pod Jelenim Łbem – zaproponował Fillegan. – A na razie muszę się przejść. Rozejrzę się, może Bóg oświeci mądrą myślą...

* * *

Po drugim spojrzeniu Montcuq okazało się być jeszcze bardziej brzydkie. Rynsztoki śmierdziały gorzej niż w Beaufou, bieda wyzierała z kątów jeszcze dotkliwiej, a kiedy zmęczony przechadzką rycerz zawrócił do zajazdu, okazało się, że i trunki mają tu nieporównanie podlejsze, rozcieńczane w sposób tak barbarzyński, że będące prawie odwróceniem cudu dokonanego przez Syna Bożego. Zamiana wina w wodę ocierała się o herezję, której tłusty karczmarz wydał się Filleganowi gorliwym wyznawcą.

Siedział więc smętnie przy stole, zastanawiając się, jakich to przypadłości może się nabawić z powodu picia tak podłego trunku i snując ponure rozważania nad tym najdziwniejszym ze światów, w którym ktoś taki jak on – prosty rycerz, co to mu w głowie tylko wielbłądy i magiczne księgi – musi udawać inkwizytora, kiedy naraz w zajeździe wszczął się ruch i ożywiony gwar. Podniósłszy głowę, zobaczył utkwione w siebie spojrzenia szynkarza oraz wielu gości. Uśmiechnął się, ale nikt nie odwzajemnił jego życzliwości. Wręcz przeciwnie, goście w pośpiechu, chyłkiem zaczęli opuszczać salę, aż został sam na sam z szynkarzem, który trwał w rozterce malującej się na jego twarzy.

Dowiedzieli się, kim jestem – wysnuł mało odkrywczy wniosek – a właściwie, za kogo się podaję.

Zajrzał do pucharu z winem, zabełtał resztką smętnie chlupoczącą na dnie, skinął na szynkarza. Ten w trzech skokach przybiegł z nowym dzbanem.

– Na koszt zajazdu – rzekł chrypliwie, ostrożnie stawiając naczynie na stole. – Na chwałę bożą.

Rycerz popatrzył na niego smutno.

– A jak się upiję, to na czyje konto pójdzie?

Karczmarz milczał, nie odważywszy się wejść na grunt teologicznych rozważań. Fillegan wzruszył ramionami i sięgnął po naczynie.

Tym razem wino nie było rozcieńczone, lecz mocne jak cholera. Wkrótce zaszumiało mu w głowie.

Kończył właśnie trzeci dzban, wciąż oczekując ojca Leona, kiedy naraz drzwi otworzyły się z łomotem i do środka wtargnął jakiś mieszczanin, przyodziany bogato. „Wtargnął” może nie dosłownie, ale nasycony winem mózg inkwizytora źle reagował na wszelkie hałasy. *Czyż ludzie nie powinni sług bożych obchodzić na paluszkach?* – pomyślał z irytacją.

Przybysz popędził w stronę Fillegana. Tuż przed ławą rymsnął na kolana i rzucił się do całowania inkwizytorskich butów. Rycerz nie miał gdzie uciec, podkulenie nóg nie pomogło, bo mieszczanin natychmiast wpełzł głębiej. W końcu z ciężkim i bolesnym westchnięciem chwycił mężczyznę za sukno na plecach i zdecydowanym szarpnięciem, czując jak materia rozłazi mu się pod palcami, wyciągnął spod ławy.

– No co jest? – warknął, czując jak opary alkoholu wzmacniają jego złość.

Mieszczanin był blady jak śmierć.

– Dowiedziałem się, żeście, panie, nowy inkwizytor w mieście – zaczął prawie szeptem. – A wiem, że działający tu w imieniu Trybunału ojciec Leon planuje jutro sprawdzić mój dom. I przyszedłem błagać, żebyście to wy wzięli mnie na spytki, przeszukali dom, bo jak ten zacny dominikanin zabierze się do dzieła, to... – Tu mężczyzna zamilkł i tylko spuścił głowę.

Po chwili, podczas której Fillegan z trudem zbierał słowa do odpowiedzi, dodał:

– U mnie żadnych ksiąg nie da się znaleźć, bo i tak czytać ani pisać nie umiem, panie.

Fillegan skinął głową.

– Nazwisko? – wychrypiał.

– Bocelli, panie – z pokorą odparł mieszczanin. – Rzeźnik Bocelli, naprzeciw kościoła świętej Anny.

– Przyjdę jutro – mruknął rycerz. – A teraz precz.

Cofając się, nisko zgięty ku podłodze rzeźnik zostawił jaśniejszy ślad na brudnej podłodze.

Fillegan zaś, wzdychając ciężko, znów sięgnął po wino.

Jeżeli zostanę magiem – myślał ponuro – takim wszechmocnym i przepotężnym, co daj mi Boże, wszystkich prawdziwych inkwizytorów zamienię w ropuchy. Bo to, do czego doprowadzają ludzi, woła o pomstę. Mieli dbać o czystość wiary, a tylko strach szerzą.

* * *

Dominikanin z rozmachem odsunął dzban na bok i dłonie wsparł na krawędzi stołu. Uniósł się lekko, zrobił namaszczonej minę i rzekł:

– Tak naprawdę, zacny Filleganie, chciałbym zostać muzykiem.

Zapewne takie wyznanie powinno rycerza – pardon, inkwizytora, ale po tylu dzbanach wina nawet narratorowi wszystko ma prawo się pokręcić – no więc takie wyznanie powinno zapewne powalić inkwizytora piorunem olśnienia, po czym to zrozumienie zatwierdzić gromem uznania, niby pojedynczą trąbą jerychońską, rozwalającą mur indolencji.

Rycerz uznał jednak, że ojciec Leon ma słabą głowę i zwyczajnie się upił.

Zapewne taką też myśl można było odczytać na jego spoconym obliczu, bo dominikanin machnął niecierpliwie ręką i zaczął wyjaśniać, połykając końcówki słów:

– Chęci i talent były, tylko pieniędzy na kształcenie brakło... i tak zostałem duchownym, zamiast muzykiem gdzieś na dworze... – Tu mnich stłumił szloch płynący z głębi gardła.

– Ale nawet jako inkwizytor nie zapomniałem o słodkiej muzie – ciągnął po chwili. – Wykonując tę czarną robotę na chwałę bożą, wpadłem na pomysł organów, które by leczyły z melancholii. A ta, jak wiadomo, dotyka nawet najważniejsze, najbardziej światłe osobistości naszego świata.

Fillegan wstał. Dosyć już wypił, jeszcze więcej wysłuchał, nim bowiem ojciec Leon doszedł do swoich wynurzeń na temat muzyki, zdążył go wcześniej zanudzić malowniczymi opisami herezji, o jakie podejrzewał mieszkańców Montcuq. Rycerz tymczasem doszedł do stanu, w którym kategorycznie należało powędrować do łoża. W oczach karczmarza – który pomimo późnej pory usługiwał im, nie mając śmiałości przerwać dwóm inkwizytorom – także można było dostrzec marzenie, aby już sobie poszli, nie zabierając go do lochów.

– Siedź! – Dominikanin dramatycznie uniósł dłoń, powstrzymując rozmówcę. – Pójdiesz, jak skończę! – Po czym kontynuował głosem spokojniejszym, co nie znaczy cichym: – Takie organy zamiast piszczałek miałyby kłujki, a więźniowie byliby umieszczeni według gamy. I kat, grając na klawiaturze, wydobywałby odpowiedni dźwięk poprzez nakłucie wybranego „głosu”.

Fillegan wstrząsnął się z niesmakiem.

– A gdyby jeszcze słuchacze mogli widzieć miny tych ludzkich piszczałek, delektować się wyrazistością muzyki, czyż nie ożywiłoby to nawet żony Lota, o naszym królu nie wspominając? – zakończył ojciec Leon. – I co o tym myślisz? Da się wcielić w życie ten koncept?

W odpowiedzi rycerz wstał.

– Pomysł dobry, ale w głowie mi się miesza. Idę spać.

* * *

– **O** żeby cię mocarny byk przebódł trzecim rogiem – mamrotał Fillegan, mocując się z zamkiem drzwi. – Ażeby zaraza liszajami obsypała cię na

duszy...

Wreszcie znalazł się na środku swego pokoju, przy stole. Zapalił świecę, w półmroku dostrzegł łóżko i zaczął się rozdziewać.

I wtedy w rogu zobaczył mysz.

– A pódziesz ty! – mruknął pokojowo.

Mysz nie poruszyła się, jakby oślepiało ją światło albo poraził strach w obecności inkwizytorskiego sztyletu wiary.

Rycerz wziął do ręki but i rzucił nim, celując, żeby wylądował na ścianie obok zwierzęcia, samemu gryzoniowi nie robiąc krzywdy.

Mysz nawet nie drgnęła.

Gryzoń samobójca – pomyślał zdumiony, biorąc do ręki drugi but. – *Faktycznie, oszalało ze strachu to miasto, skoro tak się zachowują nawet zwierzęta...*

Mysz wciąż stała nieruchomo, ciemnymi paciorkami oczu wpatrując się w niego. Poza czarną kropką na końcu lewego ucha była jednolicie biała. Wąsaty pyszczek drżał lekko, kiedy podszedł i ostrożnie wziął ją w dłoń. Przyłgnęła do nich z całkowicie niewytłumaczalnym w racjonalnych kategoriach zaufaniem.

– No dobra. – Postawił gryzonia na stole. – Od tej chwili nazywasz się Diogenes i jesteś pod moją opieką. Masz siedzieć cicho i nigdzie nie łązić...

Diogenes patrzył na niego, jakby wszystko rozumiał. Fillegan podsunął mu kawałek sera, który sechł na stole od czasów poprzedniego mieszkańca tego pokoju.

– No to jesteśmy umówieni – mruknął i zwałił się na łóżko.

* * *

Rankiem ze zdumieniem stwierdził, że porozumienie z Diogenesem nie było wcale produktem skacowanego umysłu. Mysz uznała, że umowa, choć zawarta pod wpływem alkoholu, nadal obowiązuje.

Rycerz zaś, popatrując na jej zagadkowe oblicze, na tę plamkę na końcu ucha, doznał porannego objawienia: przecież dokładnie taką samą plamkę miał na końcu ucha Gibran, jego pierwszy wielbłąd!

A więc w tym kruchym ciele krył się potężny wielbłądzi duch!

Ze wzruszeniem pogłaskał Diogenesa po pyszczku. Po czym wsadził mysz do kieszeni kaftana i ruszył do boju, który zyskał teraz nowy wymiar. Albowiem co innego spróbować ukraść magiczne księgi albo wystawić na pośmiewisko głupiego inkwizytora – a co innego ocalić Montcuq, gdzie odrodził się Gibran-Diogenes, od szalonego ojca Leona, który w porywie krwawej fantazji mógł całe miasteczko przerobić na swe organy.

* * *

Odnalezienie Le Quoffa nie zabrało Filleganowi wiele czasu. Wyjaśnienie mu, że rycerz wpadł na pomysł, jak pozbyć się szalonego inkwizytora, zajęło ledwie chwilę. Gorzej poszło z przekonaniem, że rozmowa z Passaranem, jak nazywał się tutejszy burmistrz, musi się odbyć w absolutnej tajemnicy, a więc oczekuje obu w samo południe na skraju miasteczka, przy kapliczce świętego Jana Wędrownika.

Na długo przed południem rycerz zajął miejsce w ukryciu, przyglądając się figurze przedstawiającej człowieka mocno sfatygowanego życiem. W jego wyłupiastych oczach można było dostrzec ukryte cierpienie. Choć nie wiadomo, czy artysta przypadkiem nie wykorzystał oblicza kogoś sobie znanego, jak to się zdarzało, a ból nie był odpowiedzią na porannego kaca.

Pozostali dwaj spiskowcy nadeszli o oznaczonej porze, rozglądając się nieufnie. Burmistrz okazał się człowiekiem starym i zmęczonym, taszczącym przed sobą brzuch wielkości małej beczułki. Krytycznie przyglądał się przybyszowi, jakby nie do końca pewien, czy aby inkwizytor nie próbuje go wciągnąć w jakąś paskudną kabałę. W końcu jednak poczucie odpowiedzialności za mieszkańców miasteczka zwyciężyło.

Fillegan od razu przystąpił do dzieła. Zacząć zaś postanowił, zgodnie z radą pewnego teoretyka w dziedzinie konstrukcji eposu, od trzęsienia ziemi. Ponieważ jednak aż takimi efektami nie dysponował, przyszło mu zadowolić się skromniejszym, acz nie mniej wymownym środkiem. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd... Diogenesa.

– Wiecie, co to jest? – spytał, głaszcząc mysz po łebku.

Le Quoff, który miał okazję zapoznać się z pracownią adepta magii, nie okazał zdziwienia. Burmistrz za to wpadł w lekki popłoch, czemu nie należy się dziwić, bo co rusz odnajdował w sobie jakieś dowody na to, że małżeństwo z Petronelą mu nie służy. Tylko złe rzeczy od niej przejmował, jak choćby strach przed takimi zwierzątkami.

– Mysz – wyjaśnił jego rozmówca. – Gryzoń. I za jego pomocą, drogi burmistrzu, pozbędziesz się kłopotu, czyli ojca Leona. Uważam, że on rzeczywiście psuje dobre imię braci inkwizytorskiej, więc postanowiłem wam pomóc. Ale mnie w tej sprawie nie ma i nigdy nie będzie. To ty, Passaran, napiszesz skargę do biskupa. A później, gdy przybędzie sam biskup albo jego wysłannik... nieco wyolbrzymisz rolę ojca Leona, łaskawie zapominając przy tym o moim istnieniu. Rozumiesz?

Passaran skinął głową. Wciąż ze zdumieniem przyglądał się gryzoniowi, który rozglądał się dookoła, nie zamierzając opuścić dłoni inkwizytora.

– Co niby miałbym napisać?

Fillegan schował Diogenesa do kieszeni.

– Że ojciec Leon oszalał i dopatrzywszy się herezji wśród ludzi, jął też poszukiwać jej zarówno pośród zwierząt gospodarskich, jak i wśród kotów i gryzoni. To powinno wystarczyć, biskup z pewnością nie życzy sobie ośmieszania roli inkwizytorów. Aha, namów swego księdza, żeby cię poparł. Dasz radę?

Passaran niechętnie przytaknął.

– Ale co będzie, jak nic nie zrobisz i później będę musiał odszczekiwać ten list?

Rycerz tylko wzruszył ramionami na takie dictum.

– Nie masz wyboru, musisz mi zaufać. W końcu po to mnie ściągnęliście, prawda? – Westchnął, z pewnym żalem myśląc o sprawach magii, od których go oderwali. – Pisz i jeszcze dziś wysyłaj gońca do Tuluzy – poradził. – A ja idę strącić ten pierwszy kamyk, który pociągnie za sobą lawinę.

I tak święty Jan Wędrownik, w którego cieniu toczyli tę rozmowę, został patronem spisku.

* * *

Ojciec Leon jak zwykle ciężko pracował. Fillegan odnalazł go w kamienicy należącej do rzeźnika Bocellego. Smętne spojrzenie mężczyzny sprawiło, że rycerz przypomniał sobie ze wstydem złożoną mu wczoraj, w nieco pijackiej atmosferze, obietnicę. Zrobiło mu się głupio, ale... no, zajmując się sprawami wyższymi, o niższych zwyczajnie zapomniał.

Na szczęście, mógł odkupić część win, uwalniając rzeźnika od towarzystwa obu inkwizytorów.

– Musimy porozmawiać – oznajmił stanowczo dominikaninowi. – I to natychmiast. Przejdźmy się.

Zakonnik skierował na niego zaskoczone spojrzenie, bowiem właśnie miał przystąpić do przesłuchania dwójki kilkuletnich synów Bocellego. Z doświadczenia wiedział, że dzieci widzą wszystko, zwłaszcza to, co rodzice chcieliby przed nimi ukryć. A dominikanin miał swoje sprawdzone sposoby na pozyskiwanie dziecięcych dusz.

– Teraz? – jęknął. Ale widząc zdecydowaną miną Fillegana, machnął ręką na rodzinę Bocellego. Nigdzie nie uciekną. A nawet jeżeli, to się ich wyłapie.

– Zjrzałem do magistratu – zaczął rycerz, kiedy wyszli na zewnątrz i ruszyli uliczką wiodącą w stronę dzielnicy, gdzie znajdowało się kilka magazynów ze zbożem. Fillegan odwiedził je, zanim odszukał Leona, szedł więc teraz na pewniaka. – I co tam widzę? Ano, myszy harcuja po księgach. I wiesz, ojcze, co pomyślałem? Że może to one zaprowadzą cię do tych heretyków?

– No jakże to? – zdumiał się dominikanin. – Wiadomo, sługi szatana. Ale ksiąg przecież nie napisały, pazurami to można tylko wydrapywać wrogie hasła na murach, a pergamin i inkaust za delikatne dla tych czarcich szponów...

Fillegan pokręcił przecząco głową. I znów wyciągnął swoją małą, tajną broń, czyli Diogenesa, z kieszeni. Chwilę spoglądał na wstrząśniętego ojca Leona, wzmagając efekt, wreszcie wycedził:

– Bo musisz wiedzieć, Leonie, że pracuję właśnie nad księgą zatytułowaną „Rola miejskiego gryzonia w szerzeniu herezji”. Ten tu Diogenes nawrócił się na naszą wiarę, ale jego bracia... – Rycerz zrobił znaczącą minę. – Sam wiesz.

Wstrząśnięty mnich wciąż milczał.

– To nie wszystko. – Fillegan pogłaskał Diogenesa po głowie. – Wypuściłem tego naszego małego szpiega pomiędzy jego heretyckich pobratymców... i wiesz, co on mi powiedział? Że właśnie teraz w jednym ze składów trwają obrzędy plugawiające Pismo!

W prawym oku ojca Leona zaświeciła groza, lewe błysnęło prawowierną nienawiścią.

– Trzeba im przeszkodzić! – krzyknął.

Fillegan uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

– Właśnie tam idziemy – rzekł, wpuszczając mysz do kieszeni. – To ten budynek. – Wskazał niską, szeroką budowlę, jeden z magistrackich

składów.

Ledwie podeszli, wyskoczył ku nim z ukrycia wysoki, łysy strażnik – ten sam, którego Filleganowi udało się wcześniej wyprowadzić w pole. Nie zdążył jednak ani się przedstawić, ani też spytać, co zamierzają, bo zakonnik bezceremonialnie odsunął go na bok, szarpiąc drzwi wejściowe.

– Precz! – krzyknął. – W imię Boże, nie przeszkadzaj pracować inkwizytorom!

– Kluczem otworzę – mruknął w odpowiedzi strażnik. – To szybciej będzie, niż jak będziecie próbowali wyrwać drzwi z zawiasów.

Korzystając z tego, że ojciec Leon nieco ochłonął i odsunął się na bok, sięgnął do kółka u pasa i wybrawszy odpowiedni klucz, wsadził go w zamek. Po chwili magazyn, podzielony na komory, stanął przed nimi otworem. Wstąpili w ciemne korytarze.

Fillegan z westchnieniem stwierdził, że była to znacznie prostsza i szybsza droga do środka niż przeciskanie się przez wietrzniki, pozostawione, żeby ziarno nie zaparowało.

Odwiedzali kolejne części magazynu. Rycerz prowadził tak, aby nie budzić podejrzeń, dopiero w piątej komorze światło ostrożnie niesionego łuczywa odsłoniło leżący na wysokiej stercie ziarna strzęp pergaminu.

Ojciec Leon rzucił się ku niemu, uniósł do oczu... i zaklął.

– Sataniści! Zbrodniarze! – Wymachiwał pogryzioną, pełną dziur, opaloną na brzegach stronicą z Apokalipsy św. Jana.

– Wszystkie heretyckie gryzonie zdążyły uciec – stwierdził Fillegan, rozglądając się po wnętrzu. – Cóż, złapiemy je innym razem.

Zakonnik znów zaklął. Gdyby na wyciągnięcie jego ręki pojawił się jakiś szczur albo inny gryzoń, pewnie ojciec Leon gotów byłby spalić go ogniem łuczywa albo żywcem obrać z kości, a te wysać ze szpiku. Na szczęście jedyna mysz w jego pobliżu bezpiecznie kryła się w Filleganowej kieszeni.

– Tego już doprawdy za wiele! Mało nas przeciw ludziom, a tu jeszcze takie... takie zezwierżenie! – wysyczał zakonnik.

Fillegan ujął go za ramię i skierował ku wyjściu.

– Trzeba sprawę omówić w świetle dnia.

Podążyli ku rynkowi. Rycerz chytrze prowadził w stronę kościoła, gdzie na plebanii zainstalował się ojciec Leon, choć ten myślał zapewne, że zmierzają w stronę domu Bocellich, aby kontynuować pracę nad pozyskiwaniem dziecięcych duszyczek dla oczyszczającego ognia.

– Aha, jeszcze jedno – rzekł Fillegan, kiedy byli już blisko. – Chciałbym rzucić okiem na te odnalezione księgi, jeśli łaska.

Zakonnik, myślami krążący zupełnie gdzie indziej, skinął głową.

– Ano, skoro chcecie... – rzekł niechętnie. – Miejmy to za sobą, potem wrócę do przesłuchań.

Po drodze do swej kwatery wyłowił jeszcze syna kościelnego ogrodnika, usiłującego ukryć się przed nimi w bramie. Capnął go za kołnierz i powlókł piszczącego przed sobą.

– Ksiąg dużo, to i pomocnik ci się przyda – wyjaśnił zaskoczonemu Filleganowi.

W swej izbie wyjął z kufra cały stos opasłych tomiszczy, nierzadko zawierających kilka pozszywanych ksiąg w jednych okładkach. Wreszcie z trzaskiem zamknął podrózną skrzynię.

– To już wszystkie.

Fillegan z zadowoleniem przyglądał się sporej stercie woluminów. Miał nadzieję, że były warte ryzyka, jakie podjął.

– Dobrze, ja je zabiorę do analizy, a ty nadal zajmuj się tropieniem herezji. Jak wpadnę na jakiś ślad, to pogadamy. Jeżeli nie, spotkamy się u mnie wieczorem.

Miał nadzieję, że ziarno zasiane w duszy dominikanina szybko wykiełkuje. Bo jeżeli nie, trzeba będzie posłać Diogenesa w misję specjalną...

* * *

Wieczorem nadal tak pilnie studiował heretyckie księgi, że całkiem zapomniał o zaproszeniu, jakie złożył dominikaninowi. Przypomniał sobie o nim dopiero głęboką nocą, kiedy Diogenes, dotąd śpiący w rękawie kaftana rzuconego na łożę, postanowił urozmaicić swojemu nowemu przyjacielowi tryb życia.

– A niech cię! – mruknął, mając na myśli ojca Leona, nie mysz, która z jego ramienia postanowiła oddać serię skoków wprost do zbiorniczka z atramentem. – Mam nadzieję, że przynajmniej nocą dasz żyć, stary dziadzie!

Chwilę jeszcze pobawił się z Diogenesem, wreszcie uznał, że pora położyć się spać.

Obudziło go straszne łomotanie do drzwi. W pierwszej chwili przekonany był, że to dalszy ciąg snu, w którym walczył z heretykami chcącymi go zatłuc przy pomocy ogromnych drewnianych młotów. Potem dopiero krzyki dobiegające z zewnątrz i pełne pasji stukanie pozwoliły mu na dobre wrócić do rzeczywistości. Za oknem słońce stało w pełnej krasie. Chwycił miecz i ruszył otworzyć.

Za nimi – z obliczem przepełnionym zgrozą – czekał karczmarz we własnej osobie.

– Panie, Passaran kazał zawiadomić, że inkwizytor oszalał! – rzekł szybko na widok stojącego w drzwiach zaspanego mężczyzny. – Podłożył ogień pod magazyn ze zbożem, a później wpadł do magistratu z jakąś trucizną, krzycząc, że pozabija wszystkie szczury i myszy. Rozrzucił ją w kilku pokojach, podniosły się cuchnące opary, które prawie na śmierć

zatrwały dwóch urzędników i jednego interesanta! Burmistrz błaga, żeby pan przyszedł jak najszybciej! – zakończył karczmarz, popatrując na Fillegana ze strachem.

Rycerz ciężko westchnął. Podpuszczając ojca Leona nie spodziewał się aż takiego dramatu. Choć z drugiej strony, nikogo już nie będzie trzeba przekonywać, że inkwizytor naprawdę oszalał.

* * *

– Tak to sobie przewidziałeś? – spytał Passaran z goryczą, kiedy zostali sami. – Tych ludzi także?

Fillegan, szczerze zmartwiony, zaprzeczył ruchem głowy.

– Jest bardziej szalony, niż to podejrzewałem – przyznał. – Zamknęliście go?

Burmistrz skinął głową. Wskazał rycerzowi krzesło, odsunął na bok jakieś papiery. Wydawał się jeszcze bardziej zmęczony niż wczoraj.

– Trzymamy pod strażą, w areszcie domowym – odparł. – Jednak nie ręczę, że któryś ze strażników nie pomoże mu w spowiedzi za grzechy. Wcale bym się nie zmartwił – dorzucił mściwie.

– Wyślij kolejnego gońca do biskupa, bo to nie zaszkodzi – poradził Fillegan.

Passaran wbił w niego chmurne spojrzenie.

– Wiem, że chciałeś odjechać jak najszybciej. Ale zatrzymaj się czas jakiś, jeśli łaska, póki nie przyjdzie odpowiedź.

Wyszedłszy z magistratu, rycerz udał się do kościoła przy rynku, aby odmówić modlitwę w intencji zatrutych przez szalonego dominikanina ludzi oraz niewinne zwierzęta.

* * *

Dwa dni później z Tuluzy przybył biskupi wysłannik. Roli drugiego, świeckiego, inkwizytora nie dało się ukryć, ale też Fillegan specjalnie nie oponował, a sam posłaniec, zakonnik, jak i ojciec Leon, nie wydawał się specjalnie zainteresowany rozmową. Obejrzał papiery Bonaventury, zezwalające na prowadzenie inkwizycji, kłamstwa, że rycerz przybył tu przypadkiem, nie raczył skomentować, heretyckie księgi, od których zaczęła się cała historia, odebrał (przynajmniej te, które Fillegan zechciał oddać, bo parę specjałów sobie zostawił).

Przed odjazdem rycerz postanowił jeszcze odwiedzić ojca Leona w jego tymczasowym areszcie domowym.

Dominikanin znajdował się w stanie totalnej depresji. Przywitał się cicho, wypowiadając słowa zgaszonym głosem, a zapytany, co słyhać, w odpowiedzi podał Filleganowi zmartwiałymi dłońmi jakieś pismo.

Rycerz szybko przebiegł spojrzeniem treść dokumentu:

Nakazuje się ojcu Leonowi z Deviant zaprzestać poszukiwań herezji pośród gryzoni miasteczka Montcuq, jak też powstrzymać się od przesłuchań miejscowej ludności.

– To nie wszystko – chlipnął zakonnik. – On nie dał się przekonać, że ci ludzie to tylko przypadek, a jeśli nie wyżyją, to Bóg i tak rozpozna swoich. Dał mi drugie pismo...

Nakazuje się udać pod strażą miasta Montcuq i osiąść w zakonie na wyspie Possorium opodal Tuluzy, przeznaczonym dla braci dotkniętych trądem, i tam modlitwą odnowić czystość wiary. Oba postanowienia wchodzi w życie z chwilą powiadomienia.

Na obu dokumentach widniał podpis samego biskupa, choć sama treść dokumentu zapisana została innym charakterem pisma. Widać wysłannik księcia Kościoła cieszył się jego pełnym zaufaniem.

– I tam mam tropić herezję? – załkał ojciec Leon. – Pośród swych braci?

Fillegan objął go pocieszająco.

– Herezja może dotknąć każdego z nas.

Miał nadzieję, że solidne mury Possorium nie poddadzą się tak łatwo pożodze szalejącej w duszy ojca Leona, a bystra woda powstrzyma go przed ucieczką.

Jednak dopiero w swym pokoju, już pewien, że upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu, pozwolił sobie na chwilę prawdziwego triumfu. Nalał wina do kielicha razem z karafką stojącego na stole i spełnił toast na pohybel wszystkim gorliwcom, psom i głuptakom.

– Widzisz, Diogenesie – rzekł, spoglądając na mysz, która spokojnie myła sobie pyszczek – jest jednak jakaś sprawiedliwość na tym świecie. Szaleństwo ukarane, godność nagrodzona, a księgi w naszym posiadaniu.

Mysz skończyła toaletę, podeszła do krawędzi stołu i wsunęła się do kieszeni, gdzie spokojnie zasnęła.

Rozdział ósmy

Choć jego celem był Ayermine, nie on odczuł jako pierwszy skutki nieudanych magicznych eksperymentów Fillegana...

Hodia von Tutenberg, ***Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata***

Zobaczyć po przebudzeniu białą mysz – nie, stanowczo nie jest to widok, jakim chciałoby się witać nowy dzień.

Jeszcze gorszy może być smak tego nowego dnia, gdy mysi ogon zaplącze się człowiekowi w usta.

Fillegan doświadczył jednego i drugiego.

Po prawdzie, sam był sobie winien, bo w nocy tak intensywnie ślęczał nad księgami, że zasnął przy stole. Diogenes szybko nauczył się nie włączyć do Filleganowego łóżka ustawionego w pracowni rycerza, bo tam groziło mu zgniecenie albo dotkliwe represje za wścibstwo. Stołu jednak ta umowa nie obejmowała. Czyż to wina myszorka, że miał długi ogonek, który ciągle gdzieś wędrował?

Rycerz wypluł go z niesmakiem.

– A żeby cię zaraza, Diogenes! – odchrząknął. Otrząsnął się z resztek snu, splunął, aby pozbyć się mysiego smaku w ustach i ruszył do wyjścia z pracowni.

– Pora zajrzeć do naszego Kartofla – mruknął.

* * *

Piwniczka była ciasna i płytko zagłębiona w ziemi, miała jednak tę niewątpliwą zaletę, iż znajdowała się na tyłach domu. Dzięki temu Fillegan mógł tam wcielać w czyn najdziwsze pomysły, na jakie tylko przyszła mu ochota.

A istotnie naszała go straszna chęć wywołania skandalu na skalę międzynarodową. Bowiem pośród ksiąg, jakie w skrytce odkrył ojciec Leon – i za sprawą których Montcuq przeżyło cały ten dramat – znalazły się dzieła nie tylko opisujące większość herezji światowych, nawet tak rzadkich jak żonkilianie złotowłosi, czy dzieła tak bolesne jak „Cała prawda o ranach Chrystusa” czy „Dlaczego to Aryjczycy zabili Syna Bożego?!”. Zaplątał się również, nie mający nic wspólnego z heretyckim paskudztwem, przetłumaczony z hyksoskiego podręcznik preparowania mumii! Jakiś nieznany rycerzowi naukowiec, podpisujący się imieniem Thezaurus Rex, na manuskrypcie dokonał wpisów udoskonalających starą recepturę i dopasowujących ją do wymogów współczesności, na przykład wyjaśniających, jakiego zamiennika użyć dla skarabeusza i jego kulki.

Zwykła mumia, choć cenna, nie była żadną sensacją. Znalezienie lub wyprodukowanie truchełka jakiegoś wieśniaka czy podrzędnego urzędnika w Memphis, takiego na przykład Preslejofisa, dajmy na to, czy byle Kluchotepha, nie stanowiło żadnego problemu.

Fillegan mierzył wyżej: postanowił wyprodukować mumię samego Ramzesa XII. Oczywiście będzie musiał nieco ją sfatygować, nadpsuć, nadgryźć sztucznym zębem czasu przy pomocy rozlicznych paskudnych roztworów, o których wspólnie pisali anonimowy Hyksos oraz T. Rex.

Przypadkiem bowiem dowiedział się o pewnym kolekcjonerze mumii z Lyonu, niejakim Risotto de Pulardzie. Już wysłał mu liścik z ofertą sprzedaży tego bezcennego znaleziska, które – jak w jaskrawych barwach

opisał to Fillegan – przebyć musiało trzy oceany i sto rzek, pokonać wysokie góry i rozległe bagna...

A jeżeli Pularda fałszywego Ramzesa nie kupi, to, myślał sobie rycerz, zawsze można przeznaczyć produkt na potrzeby magiczne.

Otwierając piwniczkę, zastanawiał się, czy jego samego nie spotka kiedyś podobny los. Leżysz sobie, człowieku, we własnej krypcie i czekając na zmartwychwstanie, powoli rozpadasz się w proch, tuczając robactwo oraz gryzonie – aż tu naraz jakiś bandyta gwałci tę śmiertelną ciszę i spokój...

Krypta barona de Karfolla, upchnięta w jednym z bocznych sektorów tutejszego cmentarza, była w odpowiednim stopniu zrujnowana, a w miasteczku nie mieszkał nikt o takim nazwisku. Zapewne wszyscy przedstawiciele rodu dawno się stąd wynieśli lub umarli. Nikt więc nie upomni się o biednego Kartofla (jak szybko ochrzcił go Fillegan, a to za sprawą nosa wielkości dorodnego ziemniaka, który był dominującym akcentem na trumiennym portrecie barona). Nawet duchy nie zaprotestowały, gdy rycerz z Duendainem wykradali hrabiego.

I teraz Kartofel dojrzewał sobie w różnych sokach. Nabierał ciała – o ile można tak nazwać substancję sporządzoną na bazie węgla drzewnego, zepsutej ryby i tysiąca innych składników, obrastającą ocalałe kości Karfolla.

Rycerz obrzucił wannę krytycznym spojrzeniem. Pierwsze dni naprawdę dały mu popalić. Ciecz opływająca resztki hrabiego zanurzone w naczyniu zaczęła się pienić i wylewać falą śmierdzącej, żółtawej piany. Później, gdy na pozór wszystko się uspokoiło, omal nie zabił Fillegana bąbel jakiegoś strasznie żrącego gazu. Akurat pochylił się nad swoją mumią in statu nascendi, czyli w stanie dojrzewania, gdy nieoczekiwanie powierzchnia cieczy eksplodowała, uwalniając trujące wapory prosto w rycerską twarz. Krwotok z nosa trwał, z małymi przerwami, dobre pół dnia. I nauczył

adepta magii naukowej ostrożności. Dociekliwość – tak, ale po zabezpieczeniu tyłów i przodów.

Krótko mówiąc, pojął, co mógł czuć nieszczęsny Carcassian, mocząc w płynie konserwującym swego ojca. Zwłaszcza kiedy skutki działania tej substancji okazały się inne od zamierzonych.

Dziś jednak Kartofel wyglądał dobrze i zdrowo. Wyraźnie przytył.

– No, to do zobaczenia jutro – mruknął rycerz i wyszedł na światło dnia.

Później ruszył na poszukiwanie trubadura, któremu zamierzał poruczyć pewną ważną misję. Doszedł bowiem do wniosku, że Falquet najlepiej ją wypełni, a będzie miał odpowiednią motywację, aby nie skrewić i szybko wrócić do miasteczka.

Odnalezienie go jednak okazało się niemożliwe. Na rynku go nie było, nie siedział także w żadnej z knajp. A po babińcach Fillegan chodzić nie zamierzał.

Na szczęście następnego dnia ranniem trubadur sam się odnalazł. Ziewając nieco, zaszedł do pracowni rycerza. Gdy mu Fillegan zaczął wyjaśniać, czego szuka, Falquet, spoglądając na księgi i słoje z mandragorą oraz wszelkimi innymi dziwami natury, jakie adeptowi magii udało się zdobyć, tylko się uśmiechnął.

– No, wiem, kto by to mógł mieć – odparł wreszcie. – Kosztu oszacować nie umiem, ale zdobyć pewnie bym potrafił. A po co ci ten specyfik, jeżeli to nie tajemnica?

Gospodarz posunął po stole w jego kierunku pękaty mieszek ze złotem.

– Chcesz, żebym leczył twój głos, trubadurze? – A dostrzegając lekkie skiniecie głową, kontynuował: – Ta substancja pomoże nie tylko w leczeniu. I jest niezbędna. Jedź i wracaj jak najszybciej.

– Akurat – mruknął szyderczo minstrel. – Chyba nie myślisz, że wezmę to do ust. Potrzebujesz, pojedę, odnowię stare i niebezpieczne znajomości.

Tylko nie opowiadaj, że czynisz to dla mojego schorowanego gardła. Wyruszę jutro, pojutrze, jeśli łaska. – Ziewnął. – Noc była męcząca, rozumiesz.

Fillegan skinął przyzwalająco głową.

– Choćby i za tydzień. To nie taka pilna sprawa. Do wiosny tu będę siedzieć, później dopiero może gdzieś ruszę. To jeszcze ustalimy.

Obserwując przez okno oddalającego się Falqueta, rycerz uśmiechnął się w myśli. Muzyk nawet nie podejrzewał, że od powodzenia jego misji może zależeć los całego świata.

No, bez przesady, przynajmniej jego kawałka – tego, na który wpływ zamierzał mieć Fillegan z Wake, rycerz bezkonny ongiś, jednokonny obecnie, a w marzeniach pan i władca wszystkich włości, które uda mu się podbić siłą czy zniewalającym urokiem własnej osoby.

* * *

Było późne popołudnie. Fillegan zmęczonym ruchem odsunął od siebie księgę z czarami... i wtedy dotarło do niego, że ktoś w ogrodzie brzdąka na lutni.

Wyjrzał przez okno i zobaczył Falqueta, który siedząc na ławce z zamyśloną miną, przebierał palcami po strunach Małej Panienci, jak nazywał swój instrument. Pokręcił w niedowierzaniu głową. Rzadko widywał trubadura w takim nastroju.

– Co, wena wezbrała? – odezwał się półgłosem.

Falquet uśmiechnął się szeroko i uczynił zapraszający gest. A kiedy po chwili rycerz usiadł obok niego, trącił strunę i wyrecytował taki oto wierszyk:

Uwielbiam, kiedy hardy pan

Na wrogie szyki leci sam,

Koń parska, rycerz tnie za dwóch,
W drużynie dziarski rośnie duch,
Bo przykład to nie lada;
Rycerzem się zaczyna być,
Gdy można rąbać, kłuć i bić,
Co wielką radość sprawia;
A kto się boi, ten i sam
Jest prostak, tchórz i zwykły cham.

– Coraz mniej we mnie rycerza. – Fillegan pokręcił głową, rozglądając się po ogrodzie. – Dostrzegłem szersze horyzonty, mistrzu. Aby być szanowanym rycerzem w tak podłym kraju, jak Anglia, trzeba mieć za sobą potęgę. Usiłuję ją właśnie zdobyć. Ale czy wtedy będę bardziej szlachcicem czy magiem? Doprawdy trudno to rzec.

Falquet skinął głową.

– Okaże się.

– W każdym razie cieszę się, że głos ci się poprawił – ciągnął Fillegan. – Naprawdę...

Chciał dodać coś jeszcze, ale tymczasem dźwięki lutni wywabiły z domu Orri, a za nią, z niechętną miną, podążał Perdigan, oderwany zapewne od swych kupieckich spraw, które zajmowały mu całe dni. Za nimi oczywiście zaraz przyleciał Duendain, ciekaw, co też wszystkich ściągnęło do ogrodu, więc Fillegan już nie zdążył zwierzyć się muzykowi z przekonania, że nie potrafi się oprzeć wrażeniu, iż świat wokół niego zaczął się kręcić w dziwną, niespodziewaną stronę, a rycerz troszkę boi się, co z tego wszystkiego wyniknie.

– Mógłbyś coś weselszego zagrać – poprosiła dziewczyna, przysiadając na trawie, bo dzień był wciąż ciepły, przyjemny, jeden z ostatnich takich przed nadejściem chłodów. – Choćby coś o miłości...

Falquet zamyślił się, w jego oczach błysnął smutek. Naraz znów trącił struny i zaśpiewał półgłosem:

Serce moje w głos się śmieje,
Świat mi się odmienia,
Szron jak kwiat purpurowieje,
Lśni się, rozzielenia...
Tyle w sercu miłości,
Słodczy i radości,
Że śnieg lśni od zieloności,
Zima w kwiat się zmienia.

– Piękne – westchnęła Orri, wygodniej układając się Perdiganowi w ramionach.

Falquet skinął głową.

– A to będzie na dodatek prawdziwe – rzekł, i popłynęła kolejna pieśń:

Gdy dni wydłuża wonny maj,
A ptasząt śpiew napełnia dal,
Opuszczam mój ojczysty kraj,
Wędrując ku miłości w dal.
Podążam smętny, pełen trwóg;
Ni słodki trel, ni cudny głóg
Nie milsze mi niż lód i mróz.

Odłożył lutnię i siedzieli tak w ciszy parę chwil, nasłuchując, co też ma im do powiedzenia świat dookoła.

Może to właśnie wtedy naprawdę narodziła się kompania.

* * *

Falquet odjechał dwa dni później, ale resztę kompanii pozostawił w dziwnym, niespokojnym nastroju. Szczególnie dotyczyło to Fillegana, w duszy którego trubadur poruszył jakąś głęboko ukrytą strunę.

Nowe życie. Spoglądając na swój dom na przedmieściach Beaufou, rycerz nie potrafił się oprzeć wzruszeniu. Wykroty oddalały się z prędkością światła, bieda była coraz dalej, a do wymarzonego przez niego sybarytyzmu i koneserstwa coraz bliżej. Miecz zamieniał na oręż wiedzy. Bo i po cóż bronią machać dla paru groszy, skoro kufer odpowiednio dobranych ksiąg i umiejętność skorzystania z zawartej w nich mądrości może dać po wielekroć więcej?

Z tego wszystkiego Fillegan postanowił się upić. Pozostawił więc Ramzesa XII, primo voto Jeana de Karfolla, pod opieką Boga w niebiesiech, a sam ziemską drogą powędrował do miasteczka, do Zacnej Łani. Krokiem zmierzał sprężystym, ochotnym, w myślach szacując, ile to dzbanów wina może wypić, zanim zacznie rozpowiadać o sekretach magii, czego chciał uniknąć.

Nagle bowiem opadł go ponury ciężar odpowiedzialności. Wcześniej, kiedy nic nie posiadał, upijać mógł się do woli, niczym prawdziwy utracjusz. Teraz, gdy zarysowała się perspektywa odzyskania w przyszłości Wake, spełnienia danej ojcu obietnicy, a nawet więcej: zyskania sławy, majątku i potęgi, chłanie na umór stało się ryzykowne, mogło wizje świetlanej przyszłości zamienić w jałową fatamorganę. Mimo to odczuwał taki stopień wysuszenia, że musiał choćby powąchać powietrze nad dzbanem pełnym dobrego wina.

A tam towarzystwo było zacne. No, przynajmniej, póki nie przyłazł Kuiper, który od razu wszczął dyskusję, czy od posługiwania się barbarzyńskimi językami mogą się rzucić na twarz czyraki.

Nieco już sfatygowany Fillegan wytoczył się wreszcie wieczorem z knajpy, po czym powędrował chwiejnie do domu. Ale na drodze stanęło mu złośliwe drzewo. Kilka razy próbował je wyminąć, wreszcie zrezygnował i objąwszy je rękoma, zasnął w tej niewygodnej pozycji.

* * *

Rankiem, gdy już wytrzeźwiały i hodujący w sobie głębokie poczucie winy dotarł do pracowni, Diogenes popatrzył na niego z wyrzutem.

– Mysz, ty mi tu nie rób wypominków – mruknął Fillegan. – Sam wiem, że się schlałem.

Diogenes wymownie milczał.

Tymczasem na stole leżał niewielki, obwiązany płócienną taśmą i zalakowany pakiet. Poczta. Rycerz rozszarpał go niecierpliwie.

Szanowny Panie – pisał Olgan von Durkheimer z Haltenburga – zdobyłem ostatnio księgę o parciu bytu (czy też sonetu) na rzeczywistość, i choć według autora, niejakiego Gineccolusa di Bambini, sprawa wygląda inaczej niż w pańskiej teorii, rozwinięcie ma bardzo zaskakujący charakter, rzecz tym bardziej wydaje mi się warta przedyskutowania. Dzieła z rąk nie wypuszczę, bo posiadam chyba jedyny egzemplarz, ale zapraszam do siebie, w każdej chwili, byle zapowiedział się pan uprzednio.

Fillegan uśmiechnął się z triumfem i sięgnął po pergamin.

Kończył już odpowiedź, gdy do pokoju wpadła Orri.

– Goondi koniecznie chciał się z tobą widzieć – rzekła pospiesznie. – Spotkaliście się?

Rycerz pokręcił przecząco głową.

– Skończę list, to go poszukam – odparł. – Ja też będę miał do niego interes.

* * *

Zastał go przy oględzinach nowej partii sukna. Goondi marudził jak zwykle, krzywił się do sprzedawcy niby liszka, narzekał, że z tak lichej materii to nawet tak genialny krawiec jak on niewiele dobra uczyni. Wreszcie jednak dobił targu i zaszedł z Filleganem na zaplecze. Usadził przy stole, nalał po kielichu wina. Swego jednak nie tknął.

– Już dawniej, zaraz po twym powrocie, chciałem ci o tym powiedzieć – zaczął wreszcie, nerwowo zaplatając palce. – Ale wtedy wydało mi się, że oni przesadzają... I dopiero dziś...

Sztuka elokwentnego przelewania z pustego w próżne nie była obca Goondiemu, rycerz wywnioskował więc, że krawiec naprawdę zetknął się z problemem, który go przerasta, skoro z takim trudem zbierał słowa.

– No i dziś usłyszałem to samemu. Na własne uszy się przekonałem, że to prawda – mruknął Goondi.

Rycerz podniósł na niego pytający wzrok.

– Ale o czym ty gadasz, do cholery? – rzekł. – Mów jakoś jaśniej, bo ani w ząb nie rozumiem.

Krawiec wzruszył ramionami. Sięgnął po swój kielich i duszkiem wypił całą zawartość naczynia.

– Ano, mówię o tym, że jakiś mech zaczął zżerać moją kamienicę, którą wynajmuję! Jak lokatorzy się skarżyli, tłumaczyłem, że grzyb i przecież dlatego cenę opuściłem. Jak gadali, że głosy słyszą, to im modlitwy kazałem odmawiać... aż wczoraj przekonałem się, że i w jednym, i w drugim przypadku racja leży po ich stronie. Stąd proszę cię o pomoc.

Fillegan od razu domyślił się, co zaszło, ale niczego nie dał po sobie poznać.

– E, zabobon – rzucił od niechcienia. – Widziałeś kiedy gadający mech? – Skierował oskarżycielski palec w stronę swego rozmówcy. – Nie widziałeś. A ja też nie zobaczę, zdecydowałem się wyjechać na parę miesięcy do

Haltenburga, aby tam, u znanego uczonego Jakuba von Durkheimera, nauki pobierać.

Na to Goondi zrobił cierpiętniczą minę i odparł jeszcze bardziej chmurnie:

– Rozumiem, że nie wierzysz. Sam bym nie dał wiary, że solidna kamienica może się obsypać jak kot gęstym futrem na zimę i jeszcze do tego nabrać ochoty do rozmowy... Chodź, pokażę ci tę moją zgryzotę.

I tak nie pozostało rycerzowi nic innego, jak podążyć za krawcem kilka ulic dalej, gdzie zaczynała się dzielnica niezbyt ciekawa, pełna zbójów, a także dziewczek lekkich obyczajów i ciężkich chorób.

Kamienica rzeczywiście wyglądała na zrujnowaną. Co więcej, już na dwadzieścia kroków od niej pojawił się dziwny, niepokojący zapach – nie smród, ale coś osobliwego, jakaś zagadkowa woń...

...którą Fillegan natychmiast bezbłędnie rozpoznał.

Tymczasem podeszli już tak blisko, że rycerz mógł niemal dotknąć ściany. O ile by się odważył.

– O, znów! – naraz odezwał się Goondi. – Słyszałeś chyba?

Fillegan mógł zaprzeczyć. Jednak lubił tego pogodnego, zażywnego mężczyznę, bowiem ten był równie nietypowym rzemieślnikiem jak Perdigan kupcem. O ile jednak w duszy Perdigana grała Wielka Przygoda, krawiec z Beaufou miał inną słabość: hazard. I nie była to taka pospolita przypadłość, która sprawia, że szybko wygrywa się drobną kwotę, by potem, równie szybko, przegrać cały majątek. Nie, Goondi uzależnił się od samej gry, tego pierwiastka niepewności, emocji towarzyszącej ujawnianiu wyniku. Gra z nim była niezwykle fascynująca, nawet jeżeli stawką były tylko wysuszone sosnowe igły.

I był przy tym uczciwy. Teraz także: mury, obsypane zielonkawym, kosmatym liszajem, pomrukiwały cicho. A on czuł się za to

odpowiedzialny przed swymi lokatorami.

– Sam widzisz – jęknął. – Ale to jeszcze nie wszystko. Popatrz tylko. – Znalazł kij i wsadził go pomiędzy kępy mchu.

Pochyliwszy się, Fillegan zobaczył, jak ze ściany sypie się proszek. Pod mchem była pusta przestrzeń, jakby zajadły liszaj gryzł ścianę niby człowiek gomółkę sera.

Powiódł spojrzeniem po kamienicy. Mech wędrował w górę i rozrastał się na boki, aż na wysokość trzeciego, ostatniego piętra. Tam też widać było osypujące się drobiny muru. Dom przegrywał walkę ze zjadającym go roślinnym potworem.

– Jesteś naukowcem – rzekł błagalnie krawiec. – Poszukaj dla mnie jakiegoś lekarstwa na tę zarazę, zgoda?

* * *

Wracając do siebie, Fillegan klął okrutnie, pilnując jedynie, aby w gniewie nie rzucić jakiejś klątwy albo innego nieodwracalnego zaklęcia.

– Duendain! – wrzasnął, ledwie przekroczył próg domu. – Gdzie jesteś, cholero?!

Z kuchni wychynęła Orri, oblizując jakąś łyżkę. Za nią wysunęła się smuga zapachu tak rozkosznego, że rycerza aż skreśliło z głodu.

– A gdzie ma być? – mruknęła. – Na baby poszedł, jak zwykle. Falqueta wyprawileś, to w dodatku nie ma go kto pilnować.

Rycerz prawie gotował się z wściekłości.

– Ja go chyba zamorduję! Ty wiesz, co on zrobił?

Dziewczyna odgarnęła włosy z czoła i z ciekawością spojrzała na purpurowego ze złości mężczyznę.

– Co?

Fillegan już chciał wszystko opowiedzieć, ale w porę uświadomił sobie, że lepiej będzie nie straszyć Orri, skoro dziewczyna i tak nic nie może

pomóc.

– Kłopotów nam narobił, ot co. Jak przyjdzie, natychmiast przyślij go do mojej pracowni.

* * *

Wertował właśnie „Demonologię botaniczną”, ostatnią z ksiąg, w których bezowocnie poszukiwał inspiracji dla spacyfikowania złośliwego mchu, kiedy w drzwiach pracowni pojawił się giermek.

– Wzywałeś mnie, panie?

Fillegan uśmiechnął się nieprzyjaźnie. Gestem zaprosił Duendaina do środka, poczekał, aż ten zamknie za sobą drzwi.

– Powiedz mi, zacny giermku, co zrobiłeś z tą gadającą zieleniną, którą przed wyjazdem do Montcuq kazałem ci wywalić do krateru?

Chłopak spojrzał pytająco na swego pryncypała.

– Wyrzuciłem. A miska jest tu, o! – Wskazał wzrokiem naczynie, wciąż leżące w kącie.

Rycerz z trudem powstrzymał się od przekleństwa albo zamiany Duendaina na garść dżdżownic.

– Zacny mój giermku, który nigdy nie zostanie pasowany na rycerza... – zaczął, biorąc głębszy oddech. – Wiem, że wyrzuciłeś. Pytam, gdzie.

Duendain zbladł, pojmując wreszcie, ku czemu zmierza ta rozmowa.

– Do krateru – odparł niepewnie.

Fillegan zacisnął zęby, powtarzając sobie, że to nie jest sezon dla wędkarzy.

– Przerobię cię na kosmiczny eter, jak tak będziesz kłamać – warknął. – Ten mech oblaźł kamienicę krawca Goondiego, ty idioto!

Chłopak zbladł tak bardzo, że zaczęła przez niego przeświecać ściana.

– A bo, panie – jęknął – pomyślałem, że zrobię na złość Trignanionowi, który do tej samej dziewczyny co ja startował... pomyślałem sobie, niech

posłucha tego paskudztwa... podręczy się, że demony się nawołują... nawet chciałem coś mu rzec w tym guście... i nie wiedziałem, że ta kamienica należy do szanownego pana Goondiego... – Tu Duendain zatchnął się i urwał.

Rycerz westchnął ciężko.

– To nie myśl, bo po skutkach sądząc, słabo ci to wychodzi. A teraz precz, zanim zamienię cię w sowę!

* * *

Diogenes za nic nie potrafił pojąć, że jego wędrówki po kartach ksiąg doprowadzają Fillegana do szału. Wreszcie rycerz – wściekły, po prawdzie nie tyle na mysz, ile na samego siebie, że nie umie znaleźć prostego środka likwidującego wyprodukowane wcześniej plugastwo – zamknął Diogenesa w niewielkiej klatce dla ptaków, którą postawił w narożniku stołu. Gryzoń miotał się tam chwilę, nim dotarło do niego, że swoje będzie musiał odsiedzieć, dopiero wtedy się uspokoił.

Fillegan zaś spisał na kawałku pergaminu kilka potencjalnie najbardziej skutecznych zaklęć, choć żadne nie dawało jego zdaniem stuprocentowej gwarancji. Gotowy do wyjścia, wstał i skierował się do drzwi, zamierzając zostawić Diogenesa w klatce.

Na ten widok zwierzak ponownie zaczął piszczeć i miotać się pomiędzy prętami. Klatka drżała, grożąc lada chwila spadnięciem na podłogę.

Rycerz przybliżył twarz do prętów.

– Dobra, zabiorę cię ze sobą, ale obiecaj, że będziesz grzeczny – rzekł.

Odpowiedziało mu spojrzenie mówiące, że dla tak wysokich celów Diogenes gotów się zamienić choćby w anioła. Albo w orła cień.

* * *

– Będziesz musiał na jakiś czas wyprowadzić wszystkich ludzi z kamienicy – zaczął Fillegan. – Rozumiesz, wolę nie usuwać tego czegoś w obecności mieszkańców, bo nigdy nie wiadomo, co się stanie.

Goondi w milczeniu skinął głową.

– I jeszcze jedno – dodał rycerz po chwili namysłu. – Metoda nie będzie całkiem naukowa, raczej taka eksperymentalna...

Krawiec roześmiał się ochryple. Klepnął Fillegana w ramię.

– Przecież wiem, co mówią. Że się zajmujesz magią... Po prostu załatw to coś dowolnym sposobem, w porządku?

Rycerz uśmiechnął się lekko. Popatrzył na kamienicę. Był gotów. Kończąc przygotowania we własnej pracowni, uświadomił sobie, że właściwie dzięki przypadkowi zyskał sposobność sprawdzenia kilku zaklęć neutralizujących magię.

– No to wygoń ludzi na spacer.

Chwilę trwało, nim pod pozorem naukowo przeprowadzanego odszczurzenia mieszkańcy wynieśli się z kamienicy. Zaraz zresztą część z nich stanęła obok Fillegana z Goondim, w zamiarze przyglądania się darmowemu widowisku. Krawiec przepędził ich, zapowiadając, że jak kogo za dwie zdrowaśki zobaczy jeszcze w okolicy, to czynsz podniesie dwukrotnie albo i wywali na zbity pysk.

Fillegan wyjął pergamin. Skoncentrował się i zaczął czytać pierwsze zaklęcie.

– Psiakrew! – zaklął naraz. To Diogenes zaczął się wiercić, kto wie – może pod wpływem przywoływanej magii? Rycerz westchnął i wyjął go z kieszeni, pogłaskał uspokajająco po łebku i postawił na ziemi. Później od początku zaczął odczytywać z pergaminu zaklęcia, kalecząc różne języki, myśląc inkantacje – bo miał do dyspozycji wyłącznie tekst pisany, bez fonetycznego zapisu. Tej jednej rzeczy brakło mu we wszystkich księgach:

opisu, jak zaklęcia wypowiadać. Jedno kasznięcie czy przydech nie w porę, albo zwykłe przeziębienie – i zamiast posłusznego skrzata, wywołać można smoka albo dom obrócić w perzynę.

Za to może wiara okaże się pomocna – pomyślał, gdy wyczerpał zapas zaklęć i czekał na skutek. W jednej z ksiąg wyczytał, że jeżeli mocno się wierzy w takiego, dajmy na to, sukkuba, to on się pojawi nawet niewzywany. Miał więc nadzieję, że gorąca wiara w sukces, a co za tym idzie, trochę grosza od Goondiego, dokonają cudu.

– Coś nie pomogło – usłyszał za sobą sceptyczny głos krawca.

Faktycznie, mech nadal oblepiał kamienicę. Nie było widać żadnej zmiany, która by nastąpiła pod wpływem zaklęć.

– Zoba...

Urwał naraz, bo z kamienicy dobiegł jakiś bulgot... cichy skrzek, po czym nastąpiła nagła, niepokojąca cisza.

– Widzisz, magia jednak działa – stwierdził zadowolony Fillegan. – Poczekajmy na dalsze reakcje.

Mech na ścianach kamienicy zaczął szeleścić. Ale jego aktywność wkrótce znikła. Goondi patrzył na to wszystko szeroko otwartymi oczyma.

Fillegan tymczasem zaczął się rozglądać się za swoją myszą, bo pora było wrócić do domu i zacząć się przygotowywać do wyjazdu do Haltenburga.

– Diogenes, gdzie polazłeś, cholero? – rzekł półgłosem. Klatka była pusta, a zwierzę znikło. Myszorek nie przybiegł na wołanie.

Zaniepokojony, zrobił kilka kroków najpierw w jedną, potem w drugą stronę, rozejrzał się po ulicy...

Gwizdnął. Nauczył Diogenesa, żeby ten przychodził na taki sygnał.

Nic.

Już naprawdę pełen obaw postanowił obejść kamienicę Goondiego...

I wreszcie tam, za rogiem, wypatrzył swoją zgubę. Wstrząśnięty, podszedł i pochylił się nad obgryzionym do czystej kości szkieletem, przytulonym do ściany. Mech sięgnął tu poziomemu ulicy, częściowo wciąż przykrywał szczątki nieszczęsnej myszy.

– Widzisz, Diogenesie, a było się trzymać z dala od takich spraw, ziarenka pszenicy chrupać, skórka chleba się nacieszyć... – rzekł ze smutkiem Fillegan, przyklękając obok szczątków myszy. Dotarło do niego, co oznaczał ten rozpaczliwy krzyk w chwilę po uruchomieniu magicznych mocy.

Wyjął z kieszeni pergamin z bezużytecznymi zaklęciami i zebrał na niego wszystko, co pozostało po Diogenesie, starając się nie dotykać kępek mchu.

– Kłopoty? – rzekł Goondi, kiedy Fillegan wrócił przed kamienicę.

– Śmierć – odparł ponuro rycerz i zostawiwszy krawca z opadłą z wrażenia szczęką, ruszył do domu.

Tu pochował Diogenesa w ogrodzie niedaleko ławek, na wierzchu kopczyka sadząc krzak róży. Po czym, schował się w swojej pracowni i, wcześniej zapowiadając, żeby nikt mu nie przeszkadzał, pograżył się w żałobie.

* * *

Żałował, że wysłał Falqueta w długą drogę. Ten by przynajmniej umiał napisać jakiś poruszający utwór ku pamięci Diogenesa i wygłosiłby go nad jego grobem.

Obrzucił smutnym spojrzeniem pustą klatkę, wciąż stojącą na stole i z westchnieniem wstał. Cóż, może i uda mu się zostać znanym filozofem, jeżeli zimowa dysputa z von Durkheimerem przyniesie spodziewane owoce. Ale pamięć zacnej myszy przyjdzie mu uczcić w sposób niekoniecznie godny. Upije się. Schla się jak świnia. Może to pozwoli mu zapomnieć, że gdyby nie zabrał gryzonia ze sobą na tę niebezpieczną misję

ratowania kamienicy Goondiego, zwierzak wciąż by żył i cieszył się z wzajemnych kontaktów, psikusów i zabaw.

Miał potworne wyrzuty sumienia. Przestał już nienawidzić swego giermka ciężko myślącego, który złośliwie wywalił mech u drzwi swego konkurenta do tej samej dziewczyny. Nie, teraz rycerz winił wyłącznie siebie. W końcu to on sprowadził tę zarazę do miski po konfiturach. Tak magia ukarała go za pychę, która kazała mu sądzić, że wystarczy poznać parę zaklęć i przeczytać kilka ksiąg, aby poczuć się adeptem gotowym do rozpychania się łokciami w tym nadnaturalnym i pełnym wielkich mocy świecie.

Otworzył drzwi, aby podążać szlakiem wszelkich winożłopów, którzy chcieliby smutki utopić w alkoholu. Jego myśli uciekały w patetyczną rozpacz, bujającą metaforami pośród siedmiu sfer niebieskich. Czuł, że jeszcze chwila i dojdzie do wniosku, że Diogenes zginął w służbie narodu albo wręcz aby odkupić winy wszystkich ludzi nieudolnie posługujących się magią.

Otworzył drzwi... i wtedy do środka, pomiędzy jego nogami, wpadło z piskiem jakieś stworzenie!

W pierwszej chwili rycerz pomyślał, że to kot. Ale to coś było za małe na kota. Poza tym koty raczej nie mają w zwyczaju wspinać się po nogawce spodni i pakować obcemu do kieszeni.

Zdumiony do takich granic, że można to już było określić jako ciężki stan szoku, sięgnął do kieszeni, aby wyjąć stamtąd zwierzątko i dokonać oględzin.

Nie protestowało, kiedy przybliżał je do oczu.

Dziwnie przypominało Diogenesa, choć białe futerko miało mocno zakurzone. Jednak czarna plamka znajdowała się tam, gdzie powinna: na końcu lewego ucha.

– Zaraz – powiedział skonsternowany Fillegan, wciąż trzymając to coś na otwartej dłoni. – Co ja mam o tym wszystkim myśleć?! – Postawił mysz na podłodze.

Przecież osobiście pochował Diogenesa w ogrodzie. Czyżby ten zmartwychwstał?

Był tylko jeden sposób, aby się przekonać. Należało dojść do prawdy poprzez naukową weryfikację faktów. Dwaj Diogenesowie – jeden martwy, drugi żywy – nie mogli występować równocześnie. Chyba że Fillegan wcześniej spiłby się na umór, jak to miał w zamyśle.

Złapał mysz – choć po prawdzie, wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby zwierzę samo wspięło mu się na ramię – i powędrował do ogrodu.

Ze trzy pacierze stał nad grobem zwieńczonym różą, nim odważył się go rozkopać.

Kości zniknęły!

– A żeby cię! – mruknął, spoglądając na mysz, która, nie wiedząc zapewne, że bawi się na swoim własnym grobie, ścigała swój ogonek. W zadumie zasypał wszystko ziemią, przyklepał.

Zaczął podejrzewać, że Gibran-Diogenes jest nieśmiertelny, a ich spotkanie w Montcuq wcale nie było przypadkowe.

* * *

Tymczasem mech nie poddał się działaniu magii. Następnego dnia Goondi przyszedł odwiedzić Fillegana. Zastał go bawiącego się z myszą. Usiadł na krześle i chwilę obserwował te harce.

– Dalej gada – rzekł wreszcie z rezygnacją. – Twoje czary nie pomogły. Rycerz wzruszył ramionami.

– Mówiłem, że sprawa wygląda paskudnie i rzecz może się nie udać.

Gość poruszył się niespokojnie na krześle. Powiódł ciężkim spojrzeniem po pracowni, z której Fillegan ostatnio wywalił sporo niepotrzebnych

gratów, robiąc miejsce na półki z książkami.

– Jak myślisz, uda ci się pozbyć tego mchu? – spytał w końcu.

Rycerz zamyślił się. Diogenes przeszedł na drugą stronę stołu i zaczął obwąchiwać palce Goondiego.

– Powiedz prawdę – mruknął ten, drapiąc mysz w ucho. – Wszystko zniosę, przecież nie jestem babą.

– Będziesz się musiał przyzwyczaić – wyznał filozoficznie Fillegan. – Przynajmniej do czasu, póki nie wrócę z Haltenburga.

Goondi potarł podbródek nerwowym ruchem.

– Ja wszystko rozumiem, choć prosty krawiec ze mnie, żadna tam światowa osoba. Rozumiem, że to coś mamrocze sobie pod nosem. Ale gdy je zaczynam obrzucać klątwami, to ono mi odpowiada, rozumiesz? I tego to już naprawdę nie mogę wytrzymać!

Szybko się uczy! – pomyślał z przestachem rycerz. Jednak nie podzielił się tą myślą z Goondim, bo ostatnia rzecz, na jaką miał ochotę, to wybuch paniki w mieście. Krawiec powie sklepikarzowi, ten kramarzowi, tamten żonie piwowara... i tak po tygodniu wieść dotrze do Watykanu.

– To tylko jedna kamienica – rzekł na pocieszenie.

Goondi wstał, wzdychając z rezygnacją.

– Taa, jasne – odparł. – Tylko czemu musiało trafić akurat na moją?

Rozdział dziewiąty

Czasem jednak duszę Fillegana rozdzierała niemożność zdecydowania się, czy bardziej pociągga go magia, czy też nauka...

Hodia von Tutenberg, ***Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata***

Karawana wozów wyminęła Tuluzę i niespiesznie ciągnęła w stronę miasteczka Latrec położonego nieopodal Lyonu, gdzie miał się odbyć wielki targ zamykający tegoroczny sezon handlowy. Rozmokłe drogi niechętnie wiodły w stronę miasta, fury co rusz po osie utykały w grząskim gruncie. Wznoszące się po obu stronach drogi ściany lasu kradły słabe jesienne światło, czyniąc dzień ponurym, a powietrze niezdrowym.

Fillegan, rozciągnięty na pace, przysypiał, podczas kiedy Duendain wprawiał się w roli woźnicy, powożąc wehikułem udającym zwykły wóz pełen wszelakiego dobra. Tak naprawdę jednak cenne w nim były nie te wszystkie graty i pakunki na wierzchu, razem z klatką na ptaki, stanowiącą tymczasowy dom Diogenesa, lecz ukryta pod nimi długa skrzynia z Kartoflem. Baron, secundo voto Ramzes XII, został już zmumifikowany w należyтым stopniu, osuszony, przyodziany w płótno – jednym słowem, zdaniem rycerza, był w tej chwili wart w złocie tyle, ile ważył.

Dopiero po dobieciu targu z Pulardą zamierzali wóz sprzedać, a dalej wędrować konno, aby zima nie zastała ich w drodze do Haltenburga.

– Nie śpij, bo cię ukradną! – Fillegan usłyszał naraz głos Falqueta.

Otworzył oczy i uśmiechnął się do trubadura, rad, że ten zdołał dołączyć do kompanii.

Falquet zrównał się z wozem, pozwalając wierzchowcowi na swobodny marsz.

– Załatwiłeś?

Bard nieznacznie skinął głową i pomacał kaftan na piersi.

– Ale będzie cię to słono kosztowało – oznajmił, uśmiechając się zbójcko. – Ileż to drogi nadłożyłem niepotrzebnie, wracając do Beaufou...

Fillegan wskoczył na Bucefała Drugiego, człapiącego dotąd powoli za furą. Uśmiechnął się lekko do Duendaina.

– Pilnuj dobytku, giermku.

Chłopak przyglądał się im z ciekawością. Kompania wiedziała, że Falquet wyjeżdża, ale ani on sam, ani rycerz nie zdradzili się tak z celem wyprawy, jak z miejscem, dokąd zmierzał trubadur. Pytanie Orri, próbującej małego śledztwa, Falquet zbył śmiechem, że muzykanci tak już po prostu mają, że szukają własnych, choćby i ciernistych ścieżek.

Tymczasem teraz obaj mężczyźni wyprzedzili karawanę wozów. *Ciekawe, czy zima wymrozi ten cholerny mech?* – pomyślał przelotnie Fillegan. Jego wysiłki, także pokrzepione cudownym uratowaniem się Diogenesa z zielonego żywiołu, dały pewien efekt: gadający liszaj przestał zarastać kolejne ściany, albo czynił to bardzo powoli, niezauważalnie dla oka. Rycerz liczył, że może Durkheimer coś mu doradzi, znajdzie jakieś panaceum na tę zieloną zarazę. Jeżeli nie, trzeba będzie wiosną sprzedać dom... Ten na razie pozostawał pod opieką Perdigana, który nie miał ochoty na długą podróż do Haltenburga. Albo też miał ochotę pobyc z Orri kilka miesięcy bez natrętnych świadków.

Naraz Falquet wyrwał Fillegana z rozmyślań. Trącił go w ramię, wskazując niewielką przecinkę biegnącą w poprzek drogi. Wjechali w nią

na kilkadziesiąt kroków w głąb lasu. Dopiero wtedy trubadur wyciągnął bezpiecznie dotąd ukryte zawiniątko i podał je rycerzowi.

– Dwie uncje proszku, jak prosiłeś – rzekł. – Podobno z młodego jednorożca, takiego, co to nie widział jeszcze dziewicy – dodał z półuśmiechem.

– Cudnie! – W głosie Fillegana pojawił się prawdziwy entuzjazm. A więc po powrocie od von Durkheimera będzie mógł spróbować zmierzyć się z mocami, za pomocą których – jeżeli zdoła je związać ze sobą i zapanować nad nimi – stanie się silnym, a może nawet potężnym magiem.

– Ile zapłaciłeś? – Opamiętał się wreszcie, bo przecież na razie były to tylko miraże, choć zdobycz Falqueta pozwalała myśleć o nich bardziej realnie.

Trubadur uśmiechnął się krzywo. W dali słychać już było skrzypienie kół. To zbliżała się karawana.

– Wszystko, co dałeś, i jeszcze więcej – rzekł. – Ale Bonquetto nie żądał dalszych pieniędzy. Kazał ci powiedzieć, że kiedy będziemy wracać z Haltenburga, chce z tobą porozmawiać. Resztę zapłaty zamierza wziąć w odpisach ksiąg i nabytej przez siebie wiedzy praktycznej.

Fillegan skinął głową. Falquet, podążając do Paryża, aby porozumieć się z przywódcą czarnoksięskiego podziemia tego miasta, miał całkowicie wolną rękę w kwestii negocjacji. Zresztą i sam rycerz chętnie zamieniłby kilka słów z owym Bonquetto. Wymiana wiedzy mogła okazać się opłacalna dla obu stron.

– Nie ma sprawy. Na razie jednak trzeba sprzedać mumię i dotrzeć do Haltenburga – rzekł. – Wracajmy, bo Duendain i Diogenes pewnie już tam usychają z tęsknoty za nami.

* * *

Dla rycerza przybycie Falqueta, w dodatku opromienionego sukcesem misji, było wspaniałą nowiną. Dla kupców i ich ludzi – także. Ledwie znaleźli polanę przydatną na nocne obozowisko, jeden z nich, niejaki Thunderaux, dotąd trzymający się na uboczu, przyszedł do trubadura z prośbą, aby ten umilił im wieczór przy ognisku.

Trubadur dumnie odrzucił warkocz włosów na plecy i rzekł:

– Zdrożony jestem, goniłem was grubo ponad tydzień... Może innym razem.

To zwarzyło atmosferę i choć Fillegan próbował nieco załagodzić niemiłe wrażenie, wyciągnąwszy część zapasu swego najlepszego wina, karawana zgodnie i tak uznała ich za odszczepieńców. Jeszcze tych dwóch kupców, co to pochodzili z Beafou, Jaquill oraz Deppard, okazywało pewien szacunek. Większość jednak, która tylko przejeżdżała przez miasteczko w drodze na targ w Latrec, zaczęła ich traktować z otwartą pogardą.

I gdyby nie chęć trzymania – ot, na wszelki wypadek – ustosunkowanego rycerza w swych szeregach, zapewne fura prowadzona niepewną ręką giermka musiałaby się samotnie zmagać z grząską drogą, wyjącmi po lasach wilkami, zbójami oraz podobnymi atrakcjami dybiącymi na każdego podróżnika.

* * *

Pogoda psuła się coraz bardziej. Dwa dni później nadeszła pierwsza prawdziwie jesienna ulewa, siekąc deszczem zmieszonym z kryształkami gradu.

– Ciężko będzie na czas dotrzeć do Haltenburga – posępnie stwierdził Falquet. – Zima jak nic zastanie nas w drodze.

Fillegan nie odpowiedział. Zastanawiał się, czy deszcz nie zaszkodzi jego mumii. Tego by tylko brakowało, żeby wyprodukowany w takim trudzie i

znoju specjał teraz rozpuścił się za sprawą słoty!

Kolejnego dnia już w południe widać było, że zbiera się na potężną burzę. Nieboskłon posiwiął, ostre dotąd kolory rozmyły się w szarość równie nieprzyjemną jak burzyny podczas gotowania alchemicznych wywarów. Kupcy, bardziej doświadczeni w takich sprawach, poprowadzili karawanę nieco w bok, w stronę miasteczka Duby, aby popołudnie i noc spędzić w jego murach, bo wiadomo – burza sama w sobie niebezpieczna, a i zbójce najchętniej atakują w taki czas.

– I znów opóźnienie – narzekał Falquet, popatrując na zbliżającą się miejscinę. – W trzy konie szast-prast byśmy dotarli do tego twojego Pulardy i jeszcze przed śniegiem zdążyli zobaczyć wieże Haltenburga...

Fillegan przecząco pokręcił głową.

– W trzy konie to jeszcze się najeźdźmy, aż ci tyłek spuchnie – rzekł szorstko. – Trzeba wykorzystać sytuację, że do Latrec można jechać wspólnie.

Zaskoczony trubadur tylko pokręcił głową, bo nie spodziewał się takiej bojaźliwości po rycerzu.

Tymczasem przepowiednie kupieckich meteorologów sprawdziły się w pełni. Niebo zrobiło się już całkiem ciemne, zerwał się silny, porywisty wiatr łopoczący plandekami wozów niby sztukami bielizny suszącej się na sznurach. Kupcy pozostawiali pachołków w wozach, aby pilnowali dobytku, sami zaś udali się do odległego o sto kroków zajazdu.

Tam też zastała ich burza. Łomot ulewy w wierzeje zbiegł się z biciem w dzwony, co wedle tradycji miało odpędzić nawałnicę.

– Nie dość, że wino rozcieńczone – mruknął Fillegan, który źle znosił wszelkie zmiany pogody, w szczególności zaś właśnie takie gwałtowne ulewy – to jeszcze jakiś kretyn siedzi na tej wieży i dzwoni. Hałas robi, a pomoże to tyle co umarłemu kadzidło.

Siedzący po drugiej stronie stołu Thunderaux uniósł zmęczone spojrzenie znad swego dzbana i wbił je w rycerza.

– A co ci się nie podoba w dzwonieniu, że się tak wprost spytam? – rzekł złowroźnie. – Wolałbyś, żeby burza trwała?

Rozmowa przy stole zamilkła, pozostali kupcy, ich pomocnicy, a także Falquet, z ciekawością spojrzeli na obu mężczyzn. Od czasu, gdy trubadur odmówił zaśpiewania przy wieczornym ognisku, Thunderaux z rycerzem odnosili się do siebie z widoczną niechęcią – ten pierwszy podejrzewał bowiem, że to właśnie Fillegan zabronił minstrelowi śpiewać, aby go mieć na własność, tylko dla siebie. Tego drugiego zaś irytowały rozsiewane za jego plecami plotki.

Teraz kupiec szukał okazji do odkucia się. Było to widać w jego oczach.

– Niechby sobie dzwonili, co mi do tego – zaczął ostrożnie rycerz – ale ludzi szkoda. Przecież każdy kretyn wie, że pocieranie metalu o metal, w szczególności zaś dzwonienie w czas burzy, tylko ściąga pioruny. I prędzej zginie ktoś na wieży, niż błyskawica spadnie na miasteczko. No, ale może właśnie o to chodzi... – zafrasował się w ostentacyjny, udawany sposób.

– To chcesz zaprzeczyć temu, co mówią biskupi? – zdumiał się kupiec. – Przecież to właśnie oni orzekli, że bicie w dzwony odstrasza pługaników, zmienia drogę burz...

– I zabija ludzi, Thunderaux – podrzucił Fillegan, odsuwając dzban, żeby mu nie przeszkadzał. Zawsze, jak chciał coś wytłumaczyć jakiemuś kretynowi, rozwikłać jakąś naukową kwestię, potrzebował miejsca do gestykulacji. – Papież może i jest nieomylny, ale w kwestii dogmatów. A sprawy naukowe poddaje się weryfikacji. Wierz albo nie, tak wielu ludzi dzwoniących na burzę zginęło od uderzenia pioruna, że u nas, w Anglii, sprawa doczekała się nawet traktatu naukowego, napisanego przez niejakiego Benjamina Firefoxa. Eksperymentował, w czasie nawałnic

przywiązując do liny kury. Jeśli zechcesz, to ci wyszperam to dzieło, może się czegoś nauczysz... a przynajmniej dowiesz się, ile ptaków poświęciło życie dla nauki, zamiast w garnku, lądując jako zwęglone truchła w śmietniku.

Thunderaux gniewnie zagryzł wargę, ale pośród jego towarzyszy zapanowała konsternacja. Niewielu wiedziało, że Fillegan zajmuje się magią, od czasu pojedynku z Kuiperem przynajmniej kupcom z Beaufou był natomiast znany jako naukowiec. A słowo uczonego miało pośród tych żołnierzy pieniądza swoją wagę. Zwłaszcza tam, gdzie chodziło o życie.

– Dzwonienie jest bezpieczne – zaperzył się kupiec, czując, jak grunt usuwa mu się spod nóg. – Gdyby było inaczej, nikt by nie dzwonił.

Logika tego wyводу była równie słaba, jak reakcja reszty towarzystwa zgromadzonego wokół stołu. Kupcy i ich pomocnicy milczeli. Rycerz uśmiechał się szyderczo. Falquet pogwizdywał pod nosem jakąś pokręconą melodię, w której chyba tylko on potrafił odnaleźć regularność.

– Jasne. A trupy to oczywiście dzieło szatana – podsumował szyderczo Fillegan. – Co innego byś mówił, gdybyś musiał w tym deszczu i pośród piorunów stanąć tam i machać sznurem, nad głową mając wielki dzwon.

– Co, myślisz, że się boję? – warknął Thunderaux. – Myślisz, że strach mnie obleciał?

Są takie chwile, kiedy słowa wypowiedziane bez żadnych szczególnych intencji, za sprawą przypadku, zrzędzenia opatrności czy nawet czyjegoś kaprysu nabierają niezwyklej wagi. To właśnie uświadomił sobie Fillegan, spoglądając na pociemniałą twarz swego adwersarza.

Miał do wyboru dwie drogi: zbagatelizować wypowiedziane słowa albo, przeciwnie, pójść tą drogą, powiedzieć: sprawdzam. *Wielbłądy* – pomyślał Fillegan. – *Wielkie stado bojowych wielbłądów. Poczec ciężkozbrojnych, ze dwa lekkiej jazdy.*

– Myślę, że się boisz – odparł więc. – Że nie wejdiesz na tę wieżę, nie zaczniesz dzwonić... Ale ja wiem, że nie za każdym razem piorun trafia w dzwon. Myślę sobie, że jak chcesz się założyć, to będziesz musiał ze trzy burze przesiedzieć na wieży w mijanych miasteczkach...

W miarę tego przemówienia Thunderaux bladł coraz bardziej. Obok siedzieli inni kupcy, a pomiędzy nimi od zawsze trwała cicha rywalizacja, który lepszy, mądrzejszy, odważniejszy. Po takich słowach nie było już możliwości wycofania się z honorem.

– Stawiam dwadzieścia denarów, że nic mi się nie stanie! – zawołał piskliwym głosem.

– Wchodzę – powiedział z aprobatą Fillegan.

W tej chwili Falquet szturchnął go ostro pod żebro. Nie przejmując się sytuacją, odciągnął rycerza na bok.

– Chcesz stracić tyle pieniędzy? – sarknął. – Lepiej je było dać Bonquetto...

– A kto powiedział, że przegramy zakład? – mruknął cicho Fillegan, rozglądając się po sali. Nikt jednak nie zwracał na nich większej uwagi, kupcy z ożywieniem komentowali zakład, tylko Thunderaux zawiesił na nich ponure spojrzenie. – Jak nie wygramy przy pierwszych dwóch burzach, natrze się liny jakimś wspomagaczem. Ktoś musi sfinansować te wielbłądy, co to ich poczet chciałbym wystawić.

– To co, idziemy? – spytał, gdy wrócili do stołu. – Czy też jednak strach cię obleciał i do ławy przykleił?

W normalnych okolicznościach nikt by nie wyszedł na deszcz i zawieruchę, skoro we wnętrzu zajazdu piwa, wina i mięs nie brakowało. Jednak perspektywa zakładu wywiodła na dwór nie tylko kupców z karawany, także kilku innych ciekawskich.

Tymczasem burza jakby straciła siłę, pioruny były coraz rzadziej. To jednak nie powstrzymało Fillegana. Spojrzał groźnie na Thunderaux i nie zważając na siekący deszcz, ruszył w stronę miejskiej wieży, na której ktoś, zapewne wyznaczony strażnik, wciąż poruszał serce dzwonu.

Kupiec podążył za nim. Widać jednak było, że na dworze stracił mocno na pewności siebie.

Przystanęli przy wieży. Była to niewielka, murowana, trzypiętrowa konstrukcja z otworami zamiast okien.

– To co, testamentu zmienić nie chcesz? – spytał Fillegan kupca. – Bo to może ostatnia szansa...

Thunderaux tylko ciężko westchnął i zaczął się wspinać po schodach. Nie spieszyło mu się, przy każdym okienku przystawał, niby to ciężko dysząc z wysiłku. Rycerz tylko się uśmiechnął krzywo. Burza odchodziła. Wciąż padał deszcz, ale zerwał się ponownie porywisty wiatr, gnając chmury dalej, poza miasteczko.

Jakieś piętro przed platformą z dzwonem kupiec zwolnił tak bardzo, jakby oblano go smołą.

– No, zwawo tam! – pogonił go Fillegan.

Thunderaux niechętnie ruszył dalej. Znalazł się na pomoście i coś tłumaczył dzwonnikowi. Nic nie słyszeli z dołu, bo wichura porywała słowa, cięła je na niezrozumiałe strzępki.

Wreszcie kupiec ujął sznur i zadzwonił dwa razy. A potem razem ze strażnikiem na wieży szybko zeszli na dół.

– Raz dzwoniłem – rzekł, oddychając z ulgą.

– Jeszcze nam kawał drogi został – wycedził niedbale Fillegan. – I burz też nie braknie.

* * *

Utarcie nosa Thunderaux miało ten pozytywny aspekt sprawy, że choć nienawiść samego kupca do Fillegana jeszcze wzrosła, reszta uczestników karawany zaczęła spoglądać na rycerza bardziej przychylnym okiem. Coraz to ktoś przychodził i radził się w różnych prostych, naukowych sprawach. A on chętnie tych rad udzielał. Sprawiało mu to dużą przyjemność.

– Nasza niewiedza sięga coraz dalszych światów – mawiał przy tym. – Ale jak już coś wiemy, to trzeba to upowszechniać, niech idzie w lud.

Jeden Thunderaux nie za bardzo cieszył się z rozpowszechniania nauki przez rycerza. Podążając w stronę Lyonu, drugą burzę spotkali niedaleko miasteczka Lepardieu – ale właśnie wtedy kupiec zaniemógł, złapały go korzonki, o żadnym wspinaniu się na wieżę mowy być nie mogło, jak stwierdził jego pomocnik.

A kolejna nawałnica dopadła ich w szczerym polu.

* * *

– Psiakrew! – klął Fillegan. – Ramzes mi zgnije! – Wyjęta z pudła mumia suszyła się na pace, bo po jednym z poprzednich deszczy w skrzyni, gdzie dotąd spoczywała, uzbierało się trochę wody i bandaże zamokły.

Plandeka wozu wciąż była źle przywiązana, a na dodatek Duendain zerwał jeden ze sznurów i teraz kawał płótna łopotał jak szalony, zapraszając ulewę do środka. Obaj mamrotali klątwy, starając się doprowadzić wszystko do ładu. Karawana stanęła chwilę wcześniej. A trubadur jak zwykle gdzieś się pałętał, bo – jak twierdził – miarowy ruch karawany doprowadzał go do depresji oraz nietwórczej zgryzoty. Krążył więc w pobliżu, powracając na chwilę, by po upewnieniu się, że wszystko w porządku, znów oddalić się na pół dnia. I oczywiście zabrakło go w najważniejszej chwili.

– Idę poszukać zapasowych sznurów – krzyknął wreszcie Fillegan do Duendaina. – A ty siedź, pilnuj dobytku. I uspokój Diogenesa! – Mysz

bowiem źle znosiła trudy podróży, ciągle zamknięta w klatce i wypuszczana tylko w czasie postoju.

Wyskoczywszy z wozu, nie bacząc na deszcz, ruszył szukać wsparcia u pozostałych kupców. Mógł ich uczyć, jak wygląda uprawianie nauki, ale za to od nich dużo mógł się dowiedzieć na temat przygotowywania wozu do dalekiej podróży.

– Trzeba było zrobić to wcześniej... – mrucał niezadowolony, zbierając cięgi od ulewy bijącej z siłą pomocnika kata wykonującego publiczną chłostę.

Szczęśliwie, bez większych problemów umówił się z Jaquillem, wziął zwój konopnej liny i ruszył z powrotem w kierunku swego wozu.

I wtedy, w nagłym przebłysku pioruna, zobaczył jakiegoś człowieka ukrytego pod kołami ich fury.

Złodziej – pomyślał – albo jakiś bandyta.

Zaczął się ostrożnie skradać. Ale gdy dotarł na miejsce, człowiek zniknął.

Zniknął też Duendain!

Fillegan wlaźł do środka i zaczął nasłuchiwać. Pomacał miecz. Szmery pod wozem nie milkły.

Ja ci dam, bandyto – pomyślał. – Zaczego rycerza rabować...!

Naraz przyszła mu do głowy inna myśl. Trzymając w pogotowiu miecz, sięgnął po mumię.

Tymczasem zbój odchylił płótno, Fillegan w marnym świetle zobaczył jego rękę... i wypchnął Kartofla do przodu, wprost w twarz złodzieja!

Trudno ocenić, co na szubrawca podziało bardziej: widok mumii szczerzącej zęby czy jej gęsty, aromatyczny zapach, z którym miał okazję zetknąć się nos w nos. Krzyknął przenikliwie i upadł na ziemię. Fillegan chwycił miecz i wyskoczył za nim, krzycząc jednocześnie na cały głos.

– Duendain! Ludzie!

Giermek pojawił się zaraz, w pośpiechu chowając koszulę w spodnie. Zdębiał na widok swego pana trzymającego ostrze miecza niemal wbite w skulonego na ziemi złodzieja. Ten jęczał i udawał, że go tu nie ma.

– No co tak stoisz?! – wrzasnął Fillegan na giermka. – Bierz linę i wiąż go!

Tak też uczynili. Tymczasem z pozostałych wozów wyjrżeli kupcy i ich pomocnicy. Ciekawi, co zaszło, otoczyli ich ciasnym kołem.

Fillegan teraz dopiero uważniej przyjrzał się umazanemu błotem złodziejowi. Odwrócił go na plecy.

– Ja cię znam... – rzekł powoli, z wyraźnym zaskoczeniem. – Przecież ty jesteś...

– To mój człowiek – przyznał Thunderaux, wysuwając się z kręgu. – Każę go oćwiczyć – dodał z ponurą miną. – Nie wiem, czemu cię napastował, panie.

– Może szukał sposobu na pioruny? – wycedził drwiąco rycerz.

Odwrócił się i wskoczył do wozu, bo trzeba się było zająć Kartoflem. Chowając mumię do skrzyni, wciąż uśmiechał się błogo pod nosem. Wreszcie posłużył się zwłokami, których nie musiał pasować. Nigdy tamtego zajęcia nie lubił, uważał je za mało szlachetne, porzucił z ulgą.

Magia była zdecydowanie lepszym, ciekawszym, niosącym większe wyzwania zajęciem.

Niech żyje sztuka czarnoksięska! – chciało mu się krzyżeć.

* * *

Falquet pojawił się pod wieczór, gdy kolumna stanęła na spoczynek. Rycerz zrugął go łagodnie, że nie pojawił się w najciekawszym momencie. Trubadur w skupieniu wysłuchał relacji, po czym zapowiedział – z uśmiechem tak zagadkowym, że nie wiadomo, czy mówił serio, czy

żartował – że niech się rycerz nie waży odbierać mu chleba, pisząc na ten temat jakąś książkę czy inne dzieło nienaukowe, bo doczeka się w rewanżu takiego opisu własnej osoby, że ze wstydu nigdy się już nie pozbiera.

– Ty sobie pogadaj lepiej z Perdiganem – odparł mu na to Fillegan, według wskazówek Jaquilla sprawdzając, czy wóz aby nie rozpadnie się rankiem, na jakiejś dziurze. – W nim drzemie demon muzyczny, tylko rzadko się ujawnia, bo Jos odwagi ma niewiele, za to majątku ojcowskiego dosyć, aby nie porzucać sytego życia kupca na rzecz chudego żywota muzyka.

I zostawiwszy zdumionego tym stwierdzeniem trubadura, rozłożył sobie posłanie na wozie i poszedł spać.

W nocy obudził Fillegana koszmar. Duendain chrapał obok, ale muzyka nigdzie nie było. Rycerz postanowił rozprostować kości, zsunął się z wozu na ziemię.

Falquet siedział przy gasnącym ognisku. Bezużyteczna lutnia leżała obok.

– Dziwny miałem sen – mruknął Fillegan, podchodząc do towarzysza. – Wlazłem do smoczego pyska i próbowałem wyrwać poczwarcze język.

Falquet wzruszył ramionami. Nie był widać w nastroju do rozmowy, obracał się w jakimś własnym, zagadkowym świecie.

– I co, udało się? – spytał wreszcie, w chwili gdy wydawało się, że nic już nie powie.

Rycerz pokręcił głową.

– Obudziłem się. Nie wiesz, co to może znaczyć?

Trubadur pogrzebał patykiem w węglach.

– Jeżeli przyjąć, że sny spełniają się na opak – mruknął – to pewnie spotkasz smoka, który spróbuje ci wyrwać język.

* * *

– Jeszcze nie skończyliśmy, Thunderaux – rzekł Fillegan następnego dnia rankiem, przed wyruszeniem karawany w drogę, odnalazłszy kupca. – Zakładu nie rozstrzygniemy, bo jutro pewnie dotrzemy do Latrec i tam nasze drogi się rozejdą, z czego bardzo się cieszę... Radzę ci jak komuś dobremu, nie wierz we wszystko, co ci księża mówią. W sprawie piorunów prawda jest po stronie nauki. Popytaj ludzi, czy ktoś w mijanych miasteczkach nie zginął na wieży w trakcie burzy. Odkąd nie dzwonią u mnie w Beaufou, nikt nie padł od pioruna. A wcześniej się zdarzało...

Kupiec milczał ponuro. Rycerz do tej pory nie wspomniał o jakiejś próbie rekompensaty za wczorajsze zajście. Thunderaux nie miał jednak złudzeń, że będzie musiał za to zapłacić. I nie mylił się.

– A co do napaści twego człowieka – ciągnął Fillegan – uznamy ją za niebyłą, kiedy ów pomagier zastuka do drzwi mego domu w Beaufou i dziewczynie Perdigana, Orri, wręczy tyle ciemnobłękitnej materii z aksamitu, żeby starczyło na wystawną suknię, rozumiesz?

Podczas kiedy kupiec ponuro kiwał głową, Fillegan starał się panować nad sobą. Dopiero, gdy kupiec wrócił na swój wóz, zaczął chichotać pod nosem niby uczniak.

Myśl, że Orri dostanie taki prezent od rycerza, oddalonego o wiele mil, strasznie go bawiła.

Zastanawiał się, czy Orri będzie się bardziej cieszyć, czy złościć.

* * *

Pularda, do którego dotarli po dalszych kilku dniach podróży, okazał się wysuszonym człowieczkiem sprawiającym wrażenie, jakby żył lat co najmniej tysiąc. Skóra na jego szyi i dłoniach pełna była plam wątrobowych. Przyjął ich w swoich włościach na skraju miasta. Po krótkich wyjaśnieniach przystąpili do interesu. Wnieśli pudło do specjalnie przygotowanego pomieszczenia wyglądającego jak sala operacyjna, pełna

różnych narzędzi, lancetów, wanienek i innych przyborów charakterystycznych dla alchemika.

Kolega po fachu – pomyślał Fillegan. Pularda pochylił się tymczasem nad Kartoflem, przyglądając mu się badawczo.

– Jak to jest Ramzes XII, to ja mam na imię Cin-Cin bej – orzekł wreszcie, skończywszy oględziny. – Może to jakiś wysoki urzędnik albo dowódca wojsk, bo nadzwyczaj dobrze odżywiony i zachowany, a przecież wiadomo, że pospólstwo to tylko stopy mumifikowało, bo ich na więcej stać nie było, ale mimo to trudno rozpoznać w nim faraona. W każdym razie – zmarszczył brew – wprowadzono was w błąd. A ja mogę za to truchło dać ze trzydzieści denarów, nie więcej.

Rycerz zachnął się.

– Ramzes jak malowanie – rzekł szorstko. – Nie chcecie, poszukam innego kupca. – Bystro przy tym spoglądał na Pulardę, czy chwyci przynętę.

Ten jednak tylko wzruszył ramionami, czekając na decyzję swego gościa.

– Niech będzie trzydzieści – zgodził się w końcu Fillegan, wzdychając ciężko. – Przepląciłem, ale niech się chociaż trochę grosza zwróci.

Pularda zegnał ich z przyjaźnią.

– Pamiętaj, Filleganie, kolekcjonuję takie starocie, więc gdyby co...

Rycerz skinął głową.

– Gdyby co, wiem: ma być coś więcej niż czarne stopy.

* * *

– No, to jesteśmy wolni – rzekł z zadowoleniem po wyjściu od Pulardy. W sumie interes i tak się opłacił. Produkcja mumii nie kosztowała przecież nawet denara, a wizyta w Lyonie była im po drodze. – Ostatni dzban wina w jakiejś zacnej knajpie i hajda, do Haltenburga.

Epilog

Jak to w poemacie dygresyjno- aluzyjnym, nie całkiem ostateczny

Fillegan z Wake wykorzystał tę wizytę w sposób szczególny. Co więcej, nie popełnił błędu, który spowodowałby przepadek tych iście aleksandryjskich zbiorów...

Hodia von Tuttenberg, *Dole i niedole Fillegana z Wake, czyli Zarys dziejów Europy i świata*

I kichnął. Było to tak oczywiste, że nawet się nie zdenerwował. Kurz, dodać ciasne pomieszczenie z książkami, dodać intruz, równa się zdrowy kich. Fillegan przeszedł więc do porządku dziennego nad własną słabością i czujnie nadstawił ucha.

Na szczęście Durkheimer przebywał w innej części domu, a przede wszystkim – nie był sam. Nawet stąd dochodziły stłumione odgłosy zażartej dyskusji. Niemiecki uczyony, używając całej mocy swego autorytetu, czyli walnięć pięścią w stół oraz spojrzeń zamieniających wino w lodowy sorbet, próbował wyjaśnić Ruppertowi von Trottkę, że proszki będą działać, jeżeli tylko szewc zacznie je zażywać zgodnie z tym, co tu – zapewne w tym miejscu Olgan dźgnął palcem w skreślony własną ręką zapissek – zostało wyznaczone.

Problem tkwił w tym, że Durkheimer nie znał największego sekretu, jaki skrywał von Trottkem. Ten nigdy by się do tego nie przyznał, ale tak właśnie było: nie umiał czytać. A rycerz dowiedział się tego przez czysty przypadek, bo tajemnicę szewca wyjawiała jego gospodyni, która, za poruczeniem Duendaina, przyszła do Fillegana po leki z mandragory. Oczywiście leki sercowe, na miłość. I od słówka do słówka, rycerz wyciągnął z niej wiele sekretów Haltenburga.

Wizyta u Durkheimera spełniła wszystkie oczekiwania Fillegana. Choć sam naukowiec okazał się w rzeczywistości człowiekiem jeszcze bardziej irytującym i złośliwym, niż wynikało to z wcześniej wysłanych listów, to jednak poprzez rozmowy z nim horyzonty rycerza znacznie się poszerzyły.

I tak na przykład zerknąwszy na księgę, która go tu ściągnęła – „Sonetu nieregularnego parcia na rzeczywistość literacką” niejakiego Konradusa Malcontentusa – Fillegan szybko doszedł do wniosku, że należy tę teorię filozoficzną albo w całości odrzucić, albo dogłębnie zrewidować, gdyż – jeżeli serio wziąć słowa autora – każde parcie równa się wyparciu. A rycerz nie bardzo chciał wypierać. W ogóle nie odpowiadało mu takie nazewnictwo. Pochłonięty magią, na tworzenie od nowa terminologii i struktur logicznych nie miał ani czasu ani też, w rezultacie, ochoty.

Postanowił więc porzucić filozofię. Magia wystarczała mu w zupełności. Tym bardziej, że choć sam Haltenburg okazał się miasteczkiem małym i równie zapyziałym jak Beaufou, to jedna rzecz rekompensowała mu to w pełni: biblioteka Durkheimera.

Teraz, nasłuchując donośnych krzyków uczonego, który nadal pastwił się nad biednym von Trottkem, rozglądał się po regałach najważniejszej części biblioteki, zawierającej dzieła szczególnie rzadkie. Był tu już kilka razy, ale zawsze za wiedzą Olgana, który czujnie spoglądał mu na ręce. To nie pozwalało przyjrzeć się kolekcji, co najwyżej ją powąchać. Więcej o

zbiorach naukowca dowiedział się z jego opowieści, z wymieniania tytułów niż z własnych doświadczeń.

Aż wreszcie Duendainowi udało się ukraść Durkheimerowi klucze do pokoi z księgami, gdy ten spał w pobliskiej knajpie. Zaczynał się, doskonale znający marzenia i zamiary swego pryncypała, natychmiast pobiegł do najbliższego kowala, aby cenny łup skopiować. Uwinął się tak prędko, że zdołał podrzucić oryginały kluczy na trawniku przed domem, a rankiem, gdy rozeźlony uczoney zaczął go szukać, giermek dzielnie włączył się w śledztwo, a nawet naprowadził Durkheimera na właściwy ślad, aby ten sam mógł zgubę znaleźć i nic nie podejrzewając, szybko o całej sprawie zapomnieć.

I dopiero wtedy Duendain przyznał się pryncypałowi, że zdobył klucze do bibliotecznego raju.

– To chyba jednak nadam się na rycerza? – spytał, podrzucając łakomy kąsek w dłoni.

Cóż było robić, Fillegan potwierdził. I tak oto biblioteka stała przed nim otworem. Musiał tylko znajdować na jej oglądanie takie pory, kiedy Durkheimer był zajęty leczeniem mieszkańców Haltenburga, a jego sekretarz, Hodia von Tutenberg, spełniał jakieś poruczone mu obowiązki. Jak w tej chwili właśnie.

Wszedł pomiędzy regały i zaczął brać do ręki poszczególne zakurzone tomy. Odstawiał na bok dzieła ściśle naukowe, w pierwszej kolejności zależało mu bowiem na pracach poświęconych magii.

Przy jednym z takich dzieł, „Medycynie transcendentальной”, zatrzymał się na dłuższą chwilę, w skupieniu wertując stronicę. Wreszcie trafił na coś, co naprawdę przykuło jego uwagę.

Oto zaklęcie uwalniające od choroby, polecane przeze mnie jako dobra magia:

Ofano, Oblamo, Ospergo.

Hola Noa Massa.

Światło, Beff, Cletemati, Adonai.

Pax, Sax, Sarax.

Fillegan wyjął z sakiewki tabliczkę z rysikiem na sznurku i szybko wynotował sobie zakłęcie.

Jak opowiadała gospodyni szewca Pakotka, chorych w Haltenburgu było nie mniej niż w Beafou. A rycerzowi zaczął doskwierać brak rywalizacji.

* * *

Tymczasem świat poza biblioteką Olgana von Durkheimera także dopominał się o uwagę. Haltenburg nie był interesującym miastem, poza Olganem brakowało tu znakomitości, na których spotkanie po cichu liczył Fillegan. Okazało się jednak, że małomiasteczkowe klimaty nie różnią Beafou od Haltenburga, wręcz przeciwnie, rycerz szybko odnalazł zaskakujące podobieństwa. Durkheimer był jedynym tu naukowcem, a inną podobno znamienitą – choć nie w oczach niemieckiego uczonego – postacią był poeta Rychus Fuflick. Trudno to ocenić, bo ten twierdził, że poetą się bywa, a on ostatni raz był nim lat temu dziesięć i pół. Jak na Haltenburg, tamten akt strzelisty wystarczył, mieszkańcy nadal darzyli Fuflicka szacunkiem. Fillegan z rozbawieniem myślał, że i Beafou by się nie oparło, tym bardziej że sam poeta był co prawda niebieskim ptakiem, wciąż odcinającym kupony od sławy wiersza, który spodobał się przejeżdżającemu przez miasteczko księciu Slamburga, ale także człowiekiem miłym i uczynnym.

Jego przeciwieństwo stanowił niejaki Ergg, postać obleśna i niesympatyczna, a przy tym w słowach, deklaracjach i uczynkach kompletnie niewiarygodna, co w niczym mu nie przeszkadzało wciąż zwracać Filleganowi głowę.

Szybko bowiem okazało się, że przybycie drugiego znamienitego naukowca – a w tym względzie, zapraszając go pod swój dach, Durkheimer wyrobił swemu gościowi swoistą markę i dał tego gwarancję – zmieniło bieg zdarzeń Haltenburga, a losy rycerza i złotnika, takim bowiem zajęciem parął się Ergg, zbiegły się i za nic nie chciały ponownie rozbiec.

Ów namolny rzemieślnik uważał bowiem, że pora wyjść poza konserwatywny gust niemiecki, małomiasteczkowy, i za wszelką cenę postanowił skorzystać z przybycia gościa z dalekiej Prowansji.

– Nowy człowiek, nowe wzory – powiadał, doprowadzając Fillegana do białej gorączki.

I teraz, ledwie blade słońce zawisło w zenicie, umęczony po całonocnej pracy nad księgami Fillegan został wyrwany z łoża przez Duendaina. Giermek, rozumiejąc co prawda, że pryncypał nocami pracuje, w dzień odsypiając trudy intensywnej roboty, pozostawał jednak pod wpływem Ergga, a raczej jego złota, wciskanego mu do kieszeni.

– Panie, znów przyszedł na konsultacje – niby to jęknął, widząc, że rycerz dopiero dochodzi do siebie. – Nie udało się go skopać ze schodów, ale wymyślę coś, żeby przynajmniej nie siedział za długo.

Durkheimer oddał im gościnną część domu, specjalnie na ten cel przerobioną, bo zapewne niejedną wybitną postać miał okazję u siebie przyjmować. Były to dwa pokoje na tyłach kamienicy, z osobnym wejściem. Duendain zamieszkał na parterze, jego pan zaś zajął większy pokój na górze.

Teraz złotnik już wspiał się za giermkim po schodach, nie czekając na pozwolenie, już wciskał się do środka, niosąc przed sobą torbę. A w niej odręczne szkice przyszłych wyrobów, próbki złota, a także kilka świeżo wykonanych lub nabytych precjozów.

Ależ ze mnie magister elegantiorum, psiakrew! – pomyślał Fillegan. Ostentacyjnie ziewnął, po czym wstał, racząc Ergga swoją nagością.

Złotnika, zaabsorbowanego wykładaniem wszystkich tych przyniesionych rzeczy na stół obok łóżka, widok ten nie powalił, co więcej, chyba nawet nie zauważył tak manifestacyjnego lekceważenia. Był kompletnie ślepy i głuchy na wszystko, co nie dotyczyło jego samego oraz prowadzonego przez niego interesu.

– Podoba się wam? – Uniósł spojrzenie na Fillegana.

Ten prychnął. Już chciał powiedzieć „Precz!”, ale naraz przyszedł mu do głowy lepszy pomysł.

– A wiecie, Ergg, u nas zaczyna się moda na ozdoby w kształcie maszyn. No, rozumiecie, młyna, wozu drabiniastego czy zegara...

Na to Ergg przygryzł w skupieniu wargę.

– A niby jakiej wielkości?

– Jak dłoń – odparł rycerz, kończąc się ubierać. – W końcu jakoś te mieszczki muszą pokazać swe bogactwo, nieprawdaż?

To poskutkowało, Ergg wkrótce opuścił pokój na pięterku, pozwalając jego lokatorowi wrócić do własnych zajęć.

Korzystając bowiem ze skąpo wydzielanych przez Olgana oraz ukradkiem podczytywanych w bibliotece woluminów (które bał się wynosić, aby Durkheimer nie zorientował się w sytuacji), rycerz zaczął pracować nad pewną koncepcją wiążącą magię z materią. Źródła do rozwijania tej teorii miał wciąż skąpe, ale za to posiadał trochę wiedzy praktycznej, zaklęć i omówień.

Mając w ręku proszek z jednorożca i wiedzę z ksiąg, prawie już czuł się panem i władcą tego świata.

* * *

Pomysły rodzące się w głowie Fillegana sięgały poza mury Haltenburga. Wybiegały zarówno w przyszłość, jak i w dal. I wymagały często wsparcia przyjaciół.

Tak się porobiło, że giermek wspomagał rycerza, mieszkając i podróżując z nim, Falquet zaś wypełniał misje specjalne. Trubadur godził się na nie chętnie, bo pozwalało mu to nie siedzieć bezczynnie, gnuśnieć pod dachem, tylko wędrować, korzystając w dodatku z cudzych pieniędzy, co sprawiało, że nie musiał nikogo udawać. Śniegi, które przykryły ziemię, nie zniechęcały go wcale, był im rad tak samo, jak jesiennym wichurom czy letniej spiekocie.

No, a kiedy wyruszał, było pewne, że wróci – i powierzoną misję wypełni. Fillegan nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Bawił się akurat z Diogenesem – który skazany został na przebywanie wyłącznie w jego pokoju, gdyż Durkheimer nie cierpiał wszelkich gryzoni – kiedy zza okna dobiegło charakterystyczne pogwizdywanie. Rycerz uśmiechnął się i umieściwszy mysz w klatce, wyszedł Falquetowi na spotkanie.

Ten wkrótce wstąpił na schody, otrzepując się z płatków śniegu. Na plecach niósł duży worek.

– No, jestem. – Wyciągnął na powitanie dłoń. Fillegan uścisnął ją mocno.

W pokoju, najpierw dokładnie zamknąwszy drzwi, trubadur opróżnił zawartość worka.

– Fu! – powiedział z niesmakiem rycerz. – Uech!

Falquet roześmiał się z satysfakcją.

– A pomyśl, co będzie przeżywał nasz szacowny uczonec, badając to świństwo...

Przyglądali się resztkom zwierzęcia. Można było rozpoznać wilcze łapy, ale uszy – a właściwie jedyne ocalałe ucho – stworzenie miało

pędzelkowate jak u rysia, nos zaś, razem z kawałkiem czaszki leżący osobno, wydłużony był niczym u kreta.

– Istny diabeł z ciebie, Falquet – z uznaniem mruknął Fillegan, odkładając worek na bok. – Czasem ci zazdrozczę tych znajomości. Kim ty do diaska jesteś, co? Czy zaraz mi tu jakiegoś cyrografu nie podsuniesz, co?

– Kim jestem? – Trubadur roześmiał się, powtarzając pytanie rycerza. Oparł się o ścianę, zamknął oczy i cicho zaczął recytować:

Byłem służącym, byłem zbójem;
Kim jeszcze byłem, wnet zrachuję:
Byłem kusznikiem, przemytnikiem,
Obwoźnym mięsa hurtownikiem,
Byłem piratem i kaperem,
Rybakiem, giermkim, sutenerem;
W stawianiu murów jestem śmigły,
A jako krawiec – niedościgły;
Woziłem wapno na budowie,
Upolowałem ptaków mrowie,
Dzisiaj – trubadur jam wsławiony,
Bo sirwentesy i tensony
Układam; jestem też żonglerem...

Otworzył oczy. Z jego twarzy znikł uśmiech, twarde spojrzenie spoczęło na twarzy Fillegana.

– Dostyc przeżyłem, żeby rozumieć, co to zemsta. Kiedyś ci opowiem, niech tylko nadejdzie właściwy dzień.

* * *

Zemsta. Zemsta na Olganie von Durkheimerze. O tym rozmyślał Fillegan od dawna.

Nie zapomniał bowiem o złościwościach, jakie prawił mu w listach uczony. Co więcej, Olgan nie zaprzestał ich także pod własnym dachem, taki już miał paskudny charakter. Niewątpliwie też stały za nim wiedza i pozycja, niemniej rycerz od dawna szukał okazji, aby się zrewanżować.

I okazję taką znalazł. Jak to bowiem powiadają: każda potwora znajdzie swojego inkwizytora. Olgan mógł się wywyższać, ale jak każdy człowiek miał swoje słabości. I rycerz na taką właśnie słabiznę Durkheimera trafił, po czym postanowił ją wykorzystać.

Uczony pracował nad atlasem katalogującym wszystkie zwierzęta duże i małe zamieszkujące ziemie od Renu po Łabę. I psikusą dotyczącego tegoż właśnie katalogu postanowił mu sprawić Fillegan.

Była to akcja przemyślana i przygotowana. Zaczął od zachwyków nad prawie ukończonym dziełem, później dopiero wspomniął, że słyszał o rzadkim zwierzęciu zamieszkującym okolice Trewiru, a zwanym nosaczem złocistym. I spytał, czy w swoim atlasie Durkheimer nadał mu rangę odpowiednią do cech tego niezwykłego zwierzęcia.

Mina uczonego po usłyszeniu tego pytania idealnie odpowiadała prawdzie: nic o nosaczu nie wiedział ani tym bardziej o jego niezwykłych cechach, co ze wstydem i zażenowaniem malującym się czerwonymi placami na policzkach wyznał. Biorąc pod uwagę, że zwierzę takie istniało wtedy wyłącznie w umyśle Fillegana, nie było w zdumieniu i zafrasowaniu Durkheimera niczego dziwnego. Słabość Olgana polegała na tym, że przerażała go sama myśl, iż mógłby ominąć w swoim katalogu jakieś ważne stworzenie. To właśnie zręcznie postanowił wykorzystać rycerz.

– I tak, zacny Olganie – oznajmił teraz tryumfalnie, trzymając szczerze zawiązany worek przed sobą – Falquetowi udało się zdobyć egzemplarz

tego zwierzęcia.

Uczony wiercił się niespokojnie. Naszli go w chwili pracy nad dziełem jego życia, wciąż myślami krążył przy trumienniku żwawym, owadzie znanym z żerowania na ciężkozbrojnych rycerzach rannych podczas turniejów i bitew. Podlatywał, wyszarpywał kąsek ciała i uciekał, nim przeciwnik kontuzjowanego zbliżył się z mizerykordią albo służba z pomocą.

– Doprawdy? – rzekł Olgan, marszcząc nos. – Żywe?

Na to trubadur tylko się roześmiał.

– Martwe jak sto diabłów i mocno niekompletne. Jak wspomniał Fillegan, nosacz to zwierzę niezwykle rzadkie, prawie jak kwiat paproci albo jednorożec. Chcieliśmy ci się zrewanżować za goszczenie nas pod swoim dachem. – W tym punkcie rozmowy rycerz posunął worek w stronę Olgana. Ten rozwiązał go z ciekawością, jednak zapach płynący stamtąd sprawił, że zaraz odłożył go na bok, jak najdalej od siebie.

– Później obejrzę – rzekł. – Ale nie zapomnę o waszym wkładzie w rozwój nauki, obiecuję.

Mam nadzieję, że nie zapomnisz – pomyślał Fillegan.

Wprowadzenie bowiem nosacza złocistego do atlasu było tylko pierwszym ruchem w długim szeregu posunięć mających skompromitować Durkheimera.

* * *

Karczmy w Haltenburgu miały swoisty, raczej przaśny urok. O ile włoskie czy prowansalskie zajazdy zbierały zwykle gości tak samo żywiołowych i wesołych poza ich ścianami, to ziemie niemieckie słynęły z tego, że mieszkańcy, ponurzy w swoich domach, w tawernie zyskiwali na odwadze i humorze, a szczególnie pod wpływem tutejszego piwa i roznoszących je

cycatych, dających się poklepywać po pośladkach dziewczek. Takie przynajmniej obserwacje poczynił Fillegan.

Sącząc swoje piwo i usiłując się nawrócić na haltenburskie obyczaje, błędził myślami po różnych magicznych krainach, póki nie dosiadł się szukający go Falquet.

– Jeszcze parę tygodni i zima się kończy – powiedział. – Zastanawiałeś się, co dalej?

Rycerz w zamyśleniu skinął głową.

– Dobrze by było pokłusować jeszcze w bibliotece Durkheimera...

Trubadur prychnął niecierpliwie, odwrócił wzrok od urodziwej Helgi, po czym westchnął z ubolewaniem nad oderwaniem Fillegana od spraw życiowych.

– Drogi mój – zaczął tonem bardziej pasującym do ojca dzieciom niż do płochego muzykanta. – W miłym, cichym miasteczku pozostawiliśmy dwoje przyjaciół, niejakich Perdigana i Orrifleminę. Pomijam już fakt, że język tutejszy obraża moje uszy, piwo, które raczysz żłopać, jest nieznośne, a to reńskie, co to niby ma je sam cesarz pijać z uwielbieniem, tak się ma do naszych jak, nie przymierzając, szczyny kota do uczciwego wina z okolic Troyes. Nie o tym mowa. Jak długo jeszcze? Poproszę o jakiś konkretny termin albo sam ruszę do Prowansji, a ty tu sobie siedź choćby i rok.

– Daj mi miesiąc – mruknął rycerz, wbijając ponury wzrok w kufel przed sobą. – Akurat śniegi z dróg zejda.

Falquet roześmiał się, pokręcił głową i wydeklamował półgłosem:

I cóż gromada pocznie zatroskana
Tych, którzy kiedyś weszli w służby twoje
Od ciebie pragnąc wziąć nagrody swoje?
Winni się także własną ręką zgładzić

Ci, których miałeś wysoko posadzić.

Pokręcił głową i dodał:

– Pilnuj, żeby nie skończyło się tak, jak w tej pieśni, bo będą cię kochać z nienawiścią, a nienawidzić z miłością. Tego ci zaś nie życzę.

* * *

Nic dziwnego, że po niezbyt przyjemnej rozmowie z Falquetem Fillegan nie potrafił się pozbyć chmurnego nastroju. Już od wejścia warknął na Duendaina, aż ten skulił się, wyczuwając, że pryncypał nie w sosie.

Co więcej, ledwie Fillegan zasiadł do stołu, aby popracować trochę nad księgami, stwierdził, że ktoś je poprzestawiał.

– Ruszałeś moje księgi? – spytał groźnie.

Duendain patrzył na niego z przerażeniem.

– Ja, panie? Ja bym ruszał? A niby po co?

Rycerz wzruszył ramionami. Może to tylko przewrażliwienie.

Ale nie dawało mu to spokoju. A kiedy zbłądził myślą do biblioteki Durkheimera, olśniło go: jak grzebiesz w cudzej własności, nie powinno cię dziwić, że ktoś zaczął grzebać w twojej.

* * *

Durkheimer chodził po pokoju i dyktował von Tutenbergowi dalszy ciąg wspomnień. Hodia bowiem, oprócz zwyczajnego sekretarzowania, pełnił rolę żywotopisarza. Nie to nawet, żeby chciał – rycerz sam słyszał, jak sekretarz zarzeka się, że krztyny talentu literackiego nie posiada, że wyjdzie z tego tylko grafomania. Jego szczupła, pociągła twarz co rusz krzywiła się w wyrazie ubolewania, że barwnych przygód i mądrości nie umie przybrać w odpowiednie słowa.

– Przynajmniej niczego nie będziesz upiększać ani wprost kłamać – sucho odpowiadał na to Durkheimer.

Na widok Fillegana przerwał dyktowanie.

– O co chodzi?

– Myślę opuścić cię wkrótce, powrócić do Beaufou – zaczął rycerz. – Ale chciałbym wcześniej więcej skorzystać z twojej biblioteki. Może wypożyczyć jakieś dzieła...

Olgan gestem wyprosił Hodię z pokoju. Usiadł przy stole, wskazał krzesło po drugiej stronie.

– O pożyczeniu mowy nie ma. Co do biblioteki, sam wiesz. Zgoda, poświęcę na to więcej czasu... i dzieł użyję w szerszym zakresie.

Chwilę pomilczał, ale gdy gość wciąż nie siadał, zaprosił go.

– Ale tym nosaczem zabiliście mi ćwieka. Dałoby się zdobyć żywy egzemplarz? Bo chciałbym opisać anatomię, a z tych na wpół zepsutych resztek to nawet porządna nota nie wyjdzie...

W duchu Fillegan uśmiechnął się szeroko. Rys, kret i wilk, każde z osobna odpowiadało za owego nosacza. Bo przecież w trójcy siła.

– Pomyślimy z Falquetem, on nawet pośród kłusowników ma swoje znajomości. A jak nie zna odpowiednich ludzi, to chętnie pozna. Możesz tu, drogi Olganie, wprowadzić tylko notę, a samemu zwierzęciu poświęcić później osobną monografię?

* * *

Następny dzień zaczął się grubo przed pierwszym kurem, jeszcze w nocy. Duendain zbudził Fillegana. Szlochał. Rycerz pomyślał, że giermkowi coś się stało, bo popołudniem puścił go do jakiejś dziewczki. Nie byłoby więc niczym dziwnym, gdyby ktoś zrobił młodziakowi krzywdę w zaułku, oskubał z grosiwa albo uczynił coś podobnego. Nie zaskoczyłoby go też odkrycie przez Duendaina u siebie jakiejś szpetnej choroby.

– Czego? – Odemknął jedno okno. – Czemu, do diaska, nie dajesz mi spać?

– Zgrzeszyłem, panie – łkał chłopak. – Pychą zgrzeszyłem, i nie dość, że mnie ukarzesz, to jeżeli nie pomożesz, nie wybawisz z kłopotu, to przyjdzie mi ognia zaznać, najpierw na suchym stosie, później piekielnego...

Fillegan nic z tego wyводу nie zrozumiał. Oprzytomniał szybko i zabrał się za przesłuchanie. Wkrótce dowiedział się całej prawdy o przestępczej działalności swego podopiecznego.

Nie mylił się, podejrzewając, że ktoś szperał w jego księgach! A jakże! Tyle że to wcale nie Durkheimer ani wysłany przez niego Tuttenberg, korzystający z nieobecności Fillegana w pokoju, tylko ta żmija, hodowana na jego własnym łonie, zdradziecki giermek sięgnął do zakazanych ksiąg.

I to w jakim celu sięgnął! Aby zaimponować jakiejś dziewczce, którą dręczył kaszel! Zwykły, banalny kaszel!!!

Chociaż... Musiał przyznać, że Duendainowi nie brakło przy tym fantazji. Bo znalazłszy zaklęcie mające sprawić, że przypadłość męcząca jego wybrankę przejdzie na zwierzę, wybrał kozę. No i odprawił te swoje nieudolne czary. W efekcie koza co prawda zaczęła kaszelec, za to dziewczyna... beczeć. Na szczęście dla chłopaka, swe konszachty z magią rozpoczął późnym wieczorem, kiedy służka mogła się wymknąć od swoich państwa niepostrzeżenie. Ale rano sprawa się wyda... i co?

– Zachciało ci się magii używać, psiakrew! – mruczał Fillegan, zbierając się do drogi.

– A bo wy, panie, dobrze sobie radzicie, i myślałem... myślałem... – łkał Duendain. – A teraz co się Maria odezwie, to beczy...

Rycerz odnalazł w swych szpargałach właściwą kartę i uspokajająco poklepał giermka po ramieniu.

– Ty mi nie kadź, podły kłamco, tylko prowadź do tej nieszczęsnej. A kochasz ją chociaż?

Duendain zamilkł, nerwowo przestępując z nogi na nogę. Rozglądał się po pokoju, zawiesił wzrok na krucyfiksie, jakby Miłosierny mógł tu coś zaradzić...

– Ładnie! – zdenerwował się Fillegan. – To eksperymentowałeś sobie na dziewczce, jak, nie przymierzając, na żabie albo króliku! A którego zaklęcia użyłeś? – dociekał dalej.

– Tego z zielonej księgi... – wydukał chłopak. – Było najkrótsze...

Fillegan pchnął go w stronę drzwi, bo jeżeli mieli cokolwiek zrobić, to lepiej przed świtem, nim obudzi się całe miasto.

Jak się używa „Równowagi magicznej” – pomyślał z rozbawieniem – to trzeba wiedzieć, że sam Albert Wielki nazywa ją szarlatanerią niegodną naukowca. I jak widać, słusznie.

Dotarwszy na miejsce przekonał się, że giermek, niestety, nie kłamał. Dziewczę, nie starsze niż czternastoletnie, ale o urodzie już rozkwitłej, istotnie zniewalającej, padło mu do nóg, widać pouczone wcześniej przez Duendaina. Co jednak próbowała Maria powiedzieć coś ludzkim głosem, to jej w kozi bek przechodziło. Rycerz ulitował się więc, wyjął z kieszeni pergamin i przy świetle trzymanej przez giermka świecy zaczął czytać:

– Helga, Felga, Obelga...

Gdy skończył, popatrzył na oboje młodych i rzekł:

– Tak to właśnie jest z magią. Nie każdemu dana, choć każdy by chciał jej używać.

I zostawiwszy ich, ruszył z powrotem do domu Durkheimera, podczas kiedy Duendain został, aby udowodnić dziewczce, że uczucie jego pozostaje szczere także w obliczu nieszczęścia.

* * *

Zemsta jest ambrozją bogów. Fillegan nie miał najmniejszych wątpliwości, że to prawda. Powiadają także, iż zemsta najlepiej smakuje na zimno, o chłodnym poranku.

I teraz czas zemsty nadszedł.

Zaczął się od tego, że stąpając po oblodzonej ulicy, Olgan złamał nogę. To go unieruchomiło w gabinecie, dosyć odległym od pomieszczeń ze zbiorem uczonych dzieł. Stracił też ochotę do pracy, tylko jęczał i maltretował Hodię. W kilka dni rycerz więcej się dowiedział na temat ksiąg w bibliotece niż przez parę wcześniejszych miesięcy.

Zaprzagnął zdobyć niektóre z tych dzieł. I obmyślił plan, godny prawdziwego sługi magii, jakim zamierzał zostać.

* * *

– Zrobisz to, Duendainie – rzekł swemu giermkowi, który oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia wpatrywał się w swego pryncypała. – Oczywiście najpierw nocą wykradniemy panu Durkheimerowi parę cennych drobiazgów...

Być może giermek do tej pory nie wierzył, że jego pryncypał jest zdolny do takich rzeczy, bo po prawdzie, to i sam Fillegan wciąż odkrywał w sobie nowe pokłady człowieczeństwa. Ale przecież działał na obie strony. Wędrując do karczmy, dostrzegł któregoś dnia trzy matrony wychodzące z kościoła. Wszystkie nosiły na piersi złote łańcuszki z kanciastym, szerokoskrzydłym młynem zbożowym wielkości dłoni, pyszniącym się niby trzecie, złote oko.

Uświadomił sobie wtedy, że przyczynił się do powstania nowego trendu w modzie. A czy można to nazwać rzeczą złą?

* * *

Ranek dla Durkheimera zaczął się fatalnie. Najpierw powróciły bóle w złamanej nodze, a później Fillegan z Falquetem uraczyli go jeszcze gorszą nowiną. Siedział teraz na łóżku z zasepioną miną, porażony kwotą, jaką za parkę żywych nosaczy złocistych zażądał kłusownik zdolny podobno do pochwycenia tych zwierząt.

– Sto denarów – powtórzył Olgan. – Przecież to astronomiczna kwota!

Falquet wzruszył ramionami, rozglądając się po pokoju Durkheimera w poszukiwaniu jakichś ciekawych ksiąg.

– Zwierzę rzadkie, złapać trudno, to i cena odpowiednio wysoka.

Olgan westchnął.

– No dam, co mam zrobić... – jęknął.

Naraz zza drzwi dobiegły krzyki:

– Gore! Gore!

Fillegan skoczył do drzwi, otworzył je jednym szarpnięciem. I zaklął.

Piętro niżej, w największym z czterech zajmujących całą kondygnację pomieszczeń bibliotecznych, wybuchł pożar. Do pokoju Olagna jednocześnie wtargnęły krzyki służby i dym.

– Dzieła, dzieła ratować! – krzyknął uczony, próbując podnieść się z łoża. – Moje księgi!

Fillegan z Falquetem ujęli go pod ramiona i, gwałtownie protestującego, znieśli na dół, przed kamienicę. Płomienie wylały się z pokoju zawierającego najcenniejsze księgi, żarłocznie sięgnęły po pozostałe księgi... ogień zaraz rozhulał się po wyższych piętrach, zapadł się strop nad pomieszczeniem z księgami... na ich oczach dom Durkheimera zamieniał się w ruinę.

Musieli przytrzymać Olgana siłą, bo ten za wszelką cenę pragnął ratować swą bezcenną kolekcję, a widok szalejącego żywiołu odebrał mu zmysły.

* * *

– Nie tak wyobrażałem sobie nasze pożegnanie – jęknął Durkheimer, wspierając się na lasce. Wciąż jeszcze znajdował się w szoku, mimo że słońce już niemal zachodziło, a pożar wygasł. Przyglądali się pogorzeliśku.

– Ja też nie – powiedział z udawanym smutkiem Fillegan. – Straciliśmy swoje rzeczy, ale chociaż skrzynkę z pieniędzmi Duendain odnalazł, więc bez obaw, kupimy, co trzeba. Bardziej szkoda mi twych ksiąg, z którymi nie miałem okazji się zapoznać. – Przeniósł wzrok na zgliszcza domu. Hodia von Tutenberg i Ergg, który napatoczył się z nowymi wzorami, wspólnie ze służbą wciąż przeczesywali zgliszcza w poszukiwaniu cennych przedmiotów.

Najcenniejsze księgi spoczywały, bezpiecznie ukryte, u dziewczyny Duendaina, owej słodkiej Marii. Zabiorą je po drodze.

– Cóż, pora jechać. – Westchnął. – Bywaj, zacny Olganie, może nasze drogi jeszcze się kiedyś skrzyżują.

Miał nadzieję, że tak będzie. Historia z nosaczem wciąż nie była skończona.

Durkheimer nie odpowiedział. Posępny wzrokiem ogarniał zgliszcza, które mu pozostały. Dziesiątki, setki ksiąg, których nie poznał, nie zrobił kopii, nikomu nie pozwolił sporządzić notatek...

Ciężki jest los naukowca – pomyślał smętnie.

Gdyby wiedział, że jego ksiąg wcale nie spotkał los zbiorów aleksandryjskich, pewnie byłoby mu jeszcze ciężiej na duszy.

O ile Olgan von Durkheimer duszę posiadał. Bo dla Fillegana kradnącego mu najlepsze dzieła wcale nie było to takie pewne.

* * *

Wyjechali już poza miasto. Fillegan z lekkim niedowierzaniem kręcił głową. Zaczynał czas jakiś temu od pasowania zwłok we Florencji, i nie miał wtedy nic, nawet przyjaciół, za to cel w życiu: odebrać rodzinny majątek kupcowi Ayermine'owi. A teraz? Czuł się magiem, wokół siebie miał przyjaciół, Ayermine wydawał mu się zaś mniej ciekawy niż księgi i możliwości z nich wynikające. Czy to nie dziwne? Może właśnie odkrył swoje prawdziwe powołanie, i powinien kupcowi podziękować, zamiast włóczyć go końmi albo zamieniać w słup soli?

Nagle spostrzegł, że Duendain ma coraz bardziej markotną minę.

– Co, nieskoro ruszać w dalszą drogę? – zagadnął, podjeżdżając bliżej, pozwalając Falquetowi przecierać szlak. – Zostałbyś z tą swoją Marią?

Giermek zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nawet nie to, panie. Ale tak sobie myślę, czy kiedyś mnie pasujesz na rycerza... czy bardzo się gniewasz o te czary, które mi nie wyszły...

– Ach, to cię gryzie! – mruknął Fillegan.

Chwilę jechali drogą, spoglądając na odradzającą się po zimie przyrodę. Po śniegach nie pozostało już śladu, wszędzie dominowała pierwsza, soczysta zieleń.

– Nie gniewam się wcale – rozwiął wątpliwości Duendaina. – Nie dziś, ani nie jutro, chłopcze, ale obiecałem i słowa dotrzymam w niedalekiej przyszłości. Zostaniesz rycerzem, jeżeli będziesz tego mocno chciał.

– Ja już chcę! – wrzasnął uradowany giermek.

– No, na co czekacie? – Zostawiwszy uśmiechającego się pod nosem pryncypała, giermek jak szalony pognał za zakręt, wyprzedziwszy Falqueta niby błyskawica.

– Co mu powiedziałaś, że się tak odmienił? – spytał zaskoczony trubadur, podjeżdżając do rycerza.

Fillegan roześmiał się cicho.

– Że gdzieś tam czeka na niego dobra przyszłość. Co prawda nie dodałem, że wcześniej może skrócić kark.

Słyszac kwik konia, dodał:

– A chyba jednak powinienem go uprzedzić.

Fantasy RW2010



Co może zrobić mag-pogodnik, który nie umie zapanować nad aurą? Może wylecieć z roboty u malarza, wplątać się w kłopoty, które zaprowadzą go na dno statku, potem wydźwigną do pałacowych kajut, by znów strącić w otchłanie niefortu. I tylko spotkany w więzieniu smok zdaje się rozumieć pechowego maga...



To opowieść o skrzatach i ludziach, radzących sobie w świecie bez słońca.

To opowieść o wyborach, wolnej woli, różnych obliczach miłości, o tym, że choć przeszłość jest jedna, niezmienna, ścieżek prowadzących do przyszłości może być wiele...

